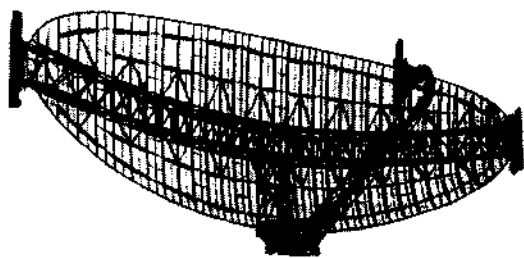
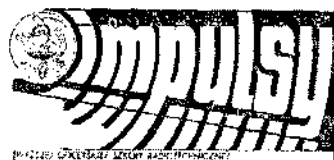


**„BIULETYN”
JELENIOGÓRSKIEGO STOWARZYSZENIA
ŻOŁNIERZY RADIOTECHNIKÓW ”RADAR”
– STYCZEŃ 2005 ROK**



ISSN 732-8667



Na rysunku powyżej, winięta pisma wydawanego w OSR i WOSR przez organizacje młodzieżowe. Ostatni numer, jako okolicznościowy, przygotowany przez por. Zbigniewa Żyłę, ukazał się w maju 1997 roku.

W „Biuletynie” wykorzystano zdjęcia z archiwum szkolnego oraz wykonane przez Jana Ginowicza i Mariana Wadowskiego.

„Biuletyn” Jeleniogórskiego Stowarzyszenia Żołnierzy Radotechników „Radar” redaguje kolegium w składzie członków Zarządu.

Przewodniczący Kolegium

- płk rez. dr hab. inż. Franciszek MROCZKO

Sekretarz i opracowanie DTP

- st. chor. sztab. rez. Jan GINOWICZ

Adres:

„Biuletyn” JSZR „Radar”

ul. Wesofa 44

58-500 Jelenia Góra

Telefon kontaktowy: 606 409 774

e-mail: jangino@wp.pl

Wydanie - styczeń 2005 r.

Nakład 350 egz.

Druk: Drukarnia APLA; 58-531 Łomnica, ul. Świerczewskiego 160

tel. (075) 713 02 56 w. 33

SPIS TREŚCI

MINIKRONIKA FOTOGRAFICZNA „RADARU”	4
APEL DO PRZYJACIÓŁ STOWARZYSZENIA	7
Płk w stanie spocz. prof. nadzw. dr hab. Lucjan KOWALCZYK Współczesne znaczenie organizacji pozarządowych	9
Pplk rez. mgr Janusz GÓRECKI Pierwsze Święto „STOWARZYSZENIA RADAR”	17
Pplk w st. spocz. Edward JAKUBOWSKI. Przemówienie na pożegnanie sztandaru CSR	24
St. chor. sztab Jan GINOWICZ Spotkanie organizacji pozarządowych działających na rzecz obronności kraju i bezpieczeństwa publicznego	29
Pplk w st. spocz. Edward JAKUBOWSKI Wolność krzyżami się mierzy	35
Pplk w st. spocz. Jan SZALAŁAJ 25 lat działalności Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy WP w regionie jeleniogórskim	38
Płk w st. spocz. prof. dr hab. Adolf STACHULA Obrona powietrzna Polski w latach 1945 – 1992	51
Pplk rez. dr inż. Bogdan GRABOWSKI Moje wspomnienia z pobytu lotników polskich we Francji w 1967 r.	67
Pplk rez. mgr Janusz GÓRECKI Tragiczne losy ppor. Mieczysława Bujaka	74
St. chor. sztab. rez. Jan GINOWICZ General dywizji Kazimierz Ladoś	77
St. chor. sztab rez. Jan GINOWICZ Janiny Bartosikowej pamiątka z lagru w Dubrowsee	80
St. chor. sztab. rez. Jan GINOWICZ Zawsze coś mnie nosiło Wspomnienia chor. w st. spocz. Julian Drzymały	94
Pplk rez. dr Tadeusz GAPYS Wybrane problemy etyki i moralności współczesnej	135
Z archiwum „Impulsów” NIEKIEDY BOLI JEDYNNIE MAŁY PALEC	139

MINIKRONIKA FOTOGRAFICZNA „RADARU”



Od czerwca 2002 r. „Stowarzyszeniem” kieruje Zarząd, w składzie: (od lewej) Jan Ginowicz - sekretarz, Janusz Górecki - zastępca prezesa, Józef Piekarczyk - prezes, Franciszek Mroczko - członek Zarządu i naczelny Kolegijski „Biuletynu”, Bronisław Marcinkowski - członek Zarządu, Kazimierz Stąpór - skarbnik i Jerzy Górski - zastępca prezesa.



6 czerwca 2003 roku zostało podpisane w Warszawie porozumienie o współpracy pomiędzy naszym Stowarzyszeniem i Ministrem Obrony Narodowej. Ministra reprezentował podsekretarz stanu, wiceminister Maciej Górski, a Zarząd „Radaru” - zastępca prezesa Jerzy Górski. W skład delegacji wchodził również Jan Ginowicz. Na zdjęciu po lewej: Panowie Górscy Maciej i Jerzy oglądają pamiątki od Stowarzyszenia „Radar”.



Na zdjęciu po prawej:

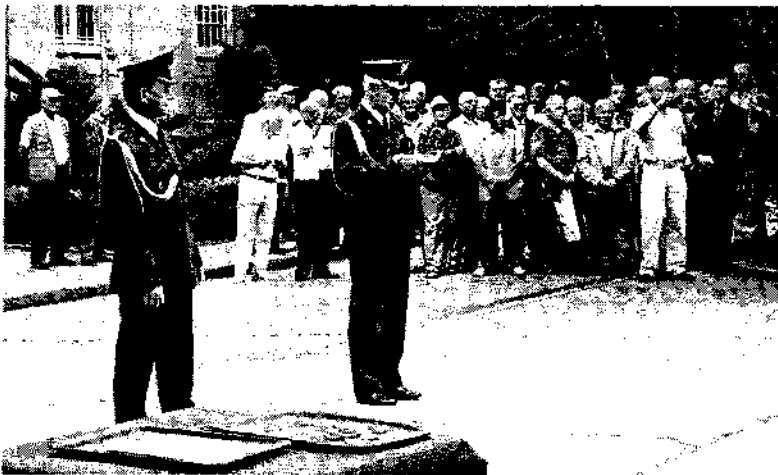
Minister Obrony Narodowej Jerzy Szmajdziski podczas spotkania z uczestnikami uroczystości 60. rocznicy

bitwy pod Lenino, 11 października 2003 r., zorganizowanej przez ZM ZZ LWP, przy współpracy z pozostałymi organizacjami żołnierskimi, pod pomnikiem „Pionierów Jeleńskiej Góry” w Skansenie Uzbrojenia WP.



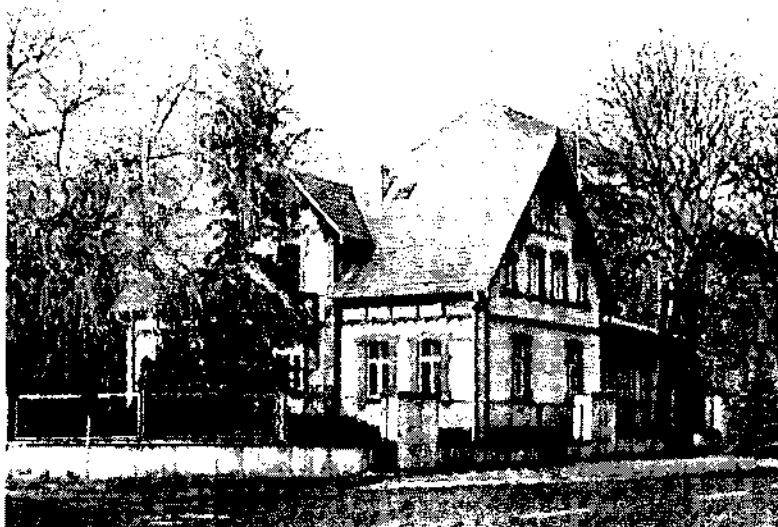
W czerwcu 2003 roku zawiązał się Komitet Rozbudowy Skansenu Uzbrojenia WP w Jeleniej Górze. W pierwszej kolejności postanowiono uprzętnąć plac pod przyszłą ekspozycję stacji radiolokacyjnych, na terenie skansenu przy ul. Sudeckiej. Do pracy przystąpili solidarnie członkowie trzech organizacji skupiających byłych żołnierzy zawodowych w Jeleniej Górze. Na zdjęciu od prawej: ppłk Zbigniew Kowal - prezes ZR ZBZZ i OR WP, płk Józef Piekarczyk - prezes Stowarzyszenia „Radar” i prezes ZM ZZ LWP - mjr Jerzy Maron (w okularach).





W CSR odbyła się w sierpniu 2004 r. ostatnia uroczystość wojskowa - Święto Wojska Polskiego zorganizowane wspólnie ze Stowarzyszeniem „Radar”. Na zdjęciu: Płk Jerzy Balcerkowski otwiera uroczystość z udziałem członków organizacji skupiających byłych żołnierzy zawodowych.

Stowarzyszenie „Radar” przy poparciu ZBZZ i OR WP oraz ZZ LWP w Jeleniej Górze wystąpiło z wnioskiem do Ministra Obrony Narodowej o przekazanie na cele organizacyjne budynku po biurze przepustek. Zamiarem Stowarzyszenia „Radar” jest utworzenie w nim środowiskowego klubu dla weteranów i rezerwistów WP. W tym celu znowelizowano również statut Stowarzyszenia, jako organizacji pożytku publicznego. Na zdjęciu budynek biura przepustek.



APEL

DO PRZYJACIÓŁ STOWARZYSZENIA

Z satysfakcją informujemy, że Jeleniogórskie Stowarzyszenie Żołnierzy Radiotechników „Radar” posiada status organizacji pożytku publicznego i jest zarejestrowane w Krajowym Rejestrze Sądowym pod nr KRS 0000118256.

Na podstawie art. 27d ustawy z dnia 24 kwietnia 2003 r. o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie (Dz.U. nr 96, poz. 873) oraz ustawy z dnia 24 kwietnia 2003 r. – Przepisy wprowadzające ustawę o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie (Dz.U. nr 96, poz. 874), istnieje możliwość przeznaczenia na nasze Stowarzyszenie (bez uszczerbku dla budżetu rodzinnego) do 1 % ze swojego podatku.

Jak to zrobić?

1. Wypełniając PIT – 36 lub PIT – 37 obliczamy podatek za 2004 r. oraz kwotę stanowiącą 1 % tego podatku.
2. Obliczoną kwotę wpłacamy (do dnia złożenia PIT w Urzędzie Skarbowym) w banku lub na poczcie (może być przez internet) wypełniając dowód wpłaty, w którym wpisujemy:
 - Nazwę organizacji i jej adres, tj. : JSZR „Radar”, ul. Wesola 44, 58-500 Jelenia Góra;
 - Numer konta: PKO BP O/Jelenia Góra nr 47 10202124 0000 8002 0054 3462;
 - Kwotę dokonanej wpłaty, do 1 % z wyliczonego podatku;

- Swoje imię i nazwisko oraz adres zamieszkania;
 - Tytułem: 1 % z podatku na rzecz OPP – KRS 0000 118256
3. Rozliczając się z Urzędem Skarbowym wyliczoną kwotę wpisujemy do poz. 192 (PIT – 36) lub do poz. 123 (PIT – 37) i odliczamy od należnego podatku. W ten sposób podatek, który musimy odprowadzić do budżetu państwa, zostaje pomniejszony o kwotę wpłaty na rzecz Naszego Stowarzyszenia jako organizacji pożytku publicznego.
 4. Zachowujemy dowód wpłaty do ewentualnej kontroli przez Urząd Skarbowy.

Jeśli zdecydujecie się Państwo przekazać naszemu Stowarzyszeniu kwotę 1 % swojego podatku, możecie być pewni, że pieniądze te zostaną wykorzystane zgodnie z prawem na cele statutowe Stowarzyszenia, z korzyścią dla naszego środowiska wojskowego i obronności kraju.

Każda złotówka oddana do naszej dyspozycji, to szansa lepszego zachowania historii i tradycji oraz pamięci o żołnierzach korpusu osobowego radiotechnicznego; to wsparcie budowy muzeum polskiej radiolokacji.

Informacje o nas są pod adresem internetowym:

www.csr.prv.pl

WSPÓŁCZESNE ZNACZENIE ORGANIZACJI POZARZĄDOWYCH

1. Wprowadzenie

Istotą współczesności jest **niepewność**, której źródłem jest duża złożoność i zmienność warunków życia człowieka i funkcjonowania organizacji (instytucji, przedsiębiorstw). Zapewnienie egzystencji człowieka oraz przetrwania i rozwoju organizacji w tych warunkach wymaga **elastyczności** – zdolności reagowania na zmiany, najlepiej byłoby jednak uprzedzić zmiany. Szansę elastycznego reagowania na zmiany może zapewnić **aktywność i zaangażowanie** człowieka, a rola współczesnych organizacji polega na tworzeniu warunków ku temu. Nadzędne znaczenie przy tym ma **świadomość** każdego z nas o życiu w warunkach **niepewności** i konieczności zaangażowania i aktywności; często tragedie i rozczarowania ludzi wynikają z braku tej świadomości i jesteśmy bardzo zaskoczeni utratą stałego źródła dochodu. Ludzie aktywni potrafią częściej wyjść z tej sytuacji, mniej aktywni, doświadczeni przez los (tragedie rodzinne, klęski żywiołowe, wojny itp.) trudniej sobie z tą sytuacją radzą.

Nie zawsze też szkoła i środowisko pracy tworzą warunki spełnienia się, bycia aktywnym i robienia tego, co sprawia satysfakcję; nie są w stanie sprostać wielorakim potrzebom i oczekiwaniom jednostek ludzkich i społeczeństwa – dotyczy to także opieki zdrowotnej, oświaty, kultury, wypoczynku itp. Są to dość ogólnie zasygnalizowane przesłanki wskazujące na to, że obok dwóch podstawowych sektorów, mających zapewnić odpowiednie warunki życia obywateli: sektora władzy – określanego jako sektor publiczny, i sektora prywatnego, czyli biznesu zorientowanego na maksymalizację zysku, w państwach demokratycznych o rozwiniętej gospodarce rynkowej funkcjonuje sektor trzeci – społeczny, określaný również jako sektor organizacji pozarządowych.

2. Czym są organizacje pozarządowe – według poglądów Petera F. Druckera

Organizacje pozarządowe, określane jako *Non Governmental Organizations* - NGO, tworzące sektor społeczny, nie są nastawione na zysk, stąd ich określenie jako organizacje non-profit. Ich znaczenie międzynarodowe podkreśla fakt istnienia bogatej literatury zorientowanej na zapew-

nienie sprawnego zarządzania nimi. Pionierskie znaczenie ma praca Philipa Kotlera (znanej postaci w środowisku teoretyków i praktyków marketingu), wydana w roku 1971, pt. *Marketing strategiczny dla organizacji pozarządowych*. Szczególną rolę w propagowaniu założeń i zarządzania organizacjami pozarządowymi spełnił Peter F. F. Drucker, profesor politologii, filozofii i zarządzania, uznawany powszechnie za ojca nowoczesnego zarządzania. Przez dziesiątki lat swoje zainteresowania koncentrował na organizacjach biznesowych, dostrzegając równocześnie wzrost znaczenia w gospodarce rynkowej sektora społecznego. W roku 1990 zostaje założona, nazwana i kierowana przez niego *Fundacja im. Petera F. Druckera na rzecz rozwoju zarządzania organizacjami nie nastawionych na zysk* (The Drucker Foundation for Nonprofit Management). Jej celem jest „pomoc organizacjom społecznym w osiąganiu doskonałych wyników działania i tworzeniu odpowiedzialnej postawy obywatelskiej”¹. W założeniach Fundacji zawarte jest wyjaśnienie roli organizacji pozarządowych. Czytamy tam między innymi:

- *„Zdrowemu społeczeństwu potrzebne jest funkcjonowanie trzech sektorów: państwowego ze sprawnie działającym systemem rządzenia, prywatnego z efektywnie działającymi firmami i przedsiębiorstwami oraz społecznego ze sprawnie funkcjonującymi organizacjami społecznymi;*
- *Wszystkie trzy sektory powiązane są ze sobą wzajemnie, ale każdy z nich jest i musi być niezależny;*
- *Każdy sektor ma do spełnienia własną misję i realizuje swoje zadania. Każdy wymaga odpowiednich kompetencji i skoncentrowania działań na tym, co potrafi robić najlepiej;*
- *Misją sektora społecznego i organizacji w nim działających jest identyfikacja potrzeb ducha i umysłu jednostek, społeczności i całego społeczeństwa. Jest nią także mobilizacja i wykorzystanie energii oraz środków będących w posiadaniu jednostek działających w społeczeństwie i wspólnotach do owocnej pracy w celu zaspokojenia tych potrzeb. Podstawowym zadaniem tego sektora i organizacji społecznych jest również wytworzenie wśród jednostek i społeczności odpowiedniej i zaangażowanej postawy obywatelskiej”.*

W pracach Petera F. Druckera wyodrębnia się dwa obszary, na które zorientowane są organizacje pozarządowe. Pierwszy obszar tradycyjnie zorientowany jest na *działalność charytatywną*: pomoc ubogim, niepełnosprawnym i ofiarom różnych nieszczęść. Drugi natomiast ma na celu *zmianę społeczeństwa i ludzi*: produktem organizacji pozarządowej jest *zmiana, która zachodzi w człowieku pod wpływem jej działania*. W obu obszarach potrzeby społeczne będą rosły równie szybko. W najbardziej rozwinię-

niętych i stabilnych społeczeństwach będą ludzie, dla których przedstawienie się na wysoko kwalifikowaną pracę będzie źródłem problemów. Również pełne zaspokojenie zróżnicowanych i ciągle rosnących potrzeb w sferze edukacji, zdrowia i kultury nie jest możliwe w najbogatszych krajach. Zdaniem Petera F. Druckera: „Najistotniejszym jednak wkładem, jaki wnoszą niezależne organizacje (czytaj: organizacje pozarządowe, moja uwaga) do społeczeństwa, jest ich rola jako nowych *centrów postawy obywatelskiej*”. „(...) bez obywatelstwa, bez postaw obywatelskich ustrój polityczny jest pustym pojęciem”. (...) „Aby móc działać w gwałtownie zmieniającym się i niebezpiecznym świecie, potrzebne jest zatem odrodzenie się w postkapitalistycznym świecie obywatelstwa”².

Przytoczone powyżej znaczenie organizacji pozarządowych i rosnące oczekiwanie społeczne stawiają wysokie wymagania przed nimi w zakresie zarządzania: „Organizacje pozarządowe zrozumiały (...), że dobre zarządzanie jest im ogromnie potrzebne właśnie dlatego, że nie muszą wypracowywać zysku finansowego. Wiedzą, że konieczne jest nauczenie się korzystania z zarządzania jako narzędzia służącego działaniu, po to, by rozwój sytuacji ich nie przerósł i nie przytłoczył. Rozumieją, że zarządzanie jest im potrzebne, aby mogły skoncentrować się na misji”³. W kontekście powyższych wymagań ważnego znaczenia nabiera dobór osób kierujących organizacjami pozarządowymi, dotyczy to zwłaszcza organizacji o zasięgu krajowym i międzynarodowym⁴.

3. Organizacje pozarządowe w Polsce – ogólne podstawy działania, typy organizacji

Instytucje sektora trzeciego zorientowane na zaspokajanie potrzeb społecznych stanowią szczególną formę i miejsce aktywności społecznej poza zbiurokratyzowanymi strukturami instytucji publicznych. W ich działalności łączy się wolne środki prywatne i publiczne służące do podjęcia zadań niekomercyjnych poza obszarami aktywności sektorów publicznego i prywatnego. W uzupełnieniu należy dodać, że podmioty sektora publicznego działają z mocy prawa oraz w interesie publicznym, natomiast podmioty sektora rynkowego z własnej inicjatywy oraz w interesie prywatnym, a trzeci sektor obejmuje podmioty działające z własnej inicjatywy, ale w interesie publicznym, są to podmioty niezależne od administracji publicznej.

Ogólną podstawę prawną działania organizacji pozarządowych w Polsce określa art. 12 *Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej* gwarantując obywatelom prawo do organizowania i rozwijania własnej aktywności w różnego rodzaju organizacjach politycznych, społecznych, kulturalnych i

gospodarczych. Nie określa się tam ani sposobu ich zawiązywania, ani też reguł dalszego działania, pozostaje to do rozstrzygnięcia w odpowiednich ustawach. Od 24 kwietnia 2003 obowiązuje *Ustawa o działalności pożytku publicznego i wolontariacie*⁵. W świetle tej regulacji prawnej organizacje pozarządowe działają jako stowarzyszenia lub fundacje. W sferze zadań publicznych mogą prowadzić działalność pożytku publicznego, to jest działalność społecznie użyteczną. Nie jest to działalność gospodarcza w rozumieniu przepisów prawa o działalności gospodarczej, i może być prowadzona jako działalność nieodpłatna lub jako działalność odpłatna, z której dochód służy wyłącznie realizacji zadań należących do sfery zadań publicznych.

Organizacje pozarządowe jako organizacje pożytku publicznego posiadają liczne przywileje, między innymi zwolnienie od: podatku dochodowego od osób prawnych, podatku od nieruchomości, podatku od czynności cywilnoprawnych, opłaty skarbowej, opłat sądowych – w odniesieniu do prowadzonej przez nie działalności pożytku publicznego.

W praktyce, ze względu na profil aktywności organizacji pozarządowych, można wyróżnić następujące ich typy:

- organizacje samopomocowe – ich specyfikę określa działanie na rzecz swoich członków;
- organizacje opiekuńcze – świadczą usługi dla wszystkich, którzy tego potrzebują lub tylko dla pewnej kategorii osób, np. dzieci niepełnosprawne;
- organizacje przedstawicielskie – reprezentują interesy jakiejś społeczności, np. społeczny komitet mieszkańców;
- organizacje mniejszości – reprezentują interesy osób różniących się od innych;
- organizacje tworzone ad hoc – powstają dla przeprowadzenia określonej akcji;
- organizacje hobbystyczno-rekreacyjne – np. organizacje filatelistyczne;
- organizacje zdaniowe – wykonują pewne funkcje zlecane przez władze ;
- organizacje „tradycyjne” – np. organizacja harcerska.

Zadania organizacji pozarządowych, to:

- zgłaszanie różnorodnych potrzeb społecznych oraz ich zaspokajanie;
- propagowanie czynnej postawy obywatelskiej we wszystkich sferach życia społecznego, zamiast biernego poddawania się władzy i opiece państwa;

- propagowanie pluralizmu i różnorodności życia społecznego, np. poprzez ochronę i rozwój tożsamości kulturowej, etnicznej, religijnej;
- tworzenie alternatywy dla scentralizowanych agend rządowych z myślą o większej niezależności, elastyczności świadczonych usług;
- stworzenie mechanizmów umożliwiających społeczną kontrolę działań samorządu.

Organizacje pozarządowe tworzą warunki do samoorganizacji społeczeństwa obywatelskiego w podstawowych formach, którymi są stowarzyszenia i fundacje, o czym wcześniej wspomniano. Podstawową instytucją zapewniającą prawo człowieka do zrzeszania jest stowarzyszenie. Jest ono przedmiotem norm i standardów międzynarodowych, wiążących Polskę. Fundacja natomiast jest instytucją regionalną, wobec której nie występują standardy międzynarodowe. W Polsce w roku 2002 było zarejestrowanych około 36 500 stowarzyszeń i ponad 5000 fundacji. Dominowały działania na rzecz sportu, oświaty i edukacji, ochrony zdrowia i pomocy niepełnosprawnym, kultury i sztuki oraz rozwoju lokalnego i regionalnego⁶.

4. Organizacje pozarządowe a potencjał społeczny i rozwój lokalny (regionalny)

W literaturze dość powszechnie prezentowany jest pogląd, że rozwój lokalny jest procesem różnicowania i wzbogacania aktywności społecznych i gospodarczych na danym terytorium. (gminy, powiatu, województwa). Rozwój jest rezultatem koncentracji wysiłku społeczności lokalnej wokół programów, projektów, których rezultatem ma być zmiana istniejącego stanu w dziedzinie gospodarczej, społecznej, kulturalnej itp. O dynamice rozwoju lokalnego decyduje inicjatywa i aktywne uczestnictwo obywateli zamieszkujących dane terytorium zorientowane na zaspokajanie potrzeb społecznych na wyższym poziomie warunków bytowych. W procesie rozwoju lokalnego niezbędnym warunkiem staje się silne zaangażowanie obywateli na rzecz tego rozwoju.

W ścisłej współzależności z aktywnością i zaangażowaniem obywateli gminy, powiatu pozostaje wartość potencjału społecznego jednostki terytorialnej. Wartość tego potencjału wyraża się zdolnością do działania wyzwalającego „uśpiony potencjał twórczy”. Istotę tego potencjału stanowią ludzie – ich stan wiedzy i stopień zorganizowania oraz wykorzystania swoich możliwości, sił twórczych i energii. Ważne miejsce w kształtowaniu potencjału społecznego danego te-

rytorium, obok potencjału przedsiębiorstw, instytucji publicznych, stanowią organizacje pozarządowe – ich potencjał społeczny.

Na potencjał społeczny organizacji pozarządowych składają się kompetencje, mentalność i gotowość do działania jednostek ludzkich – członków tych organizacji. Włączenie tego potencjału w proces rozwoju lokalnego wymaga stworzenia warunków do współpracy z władzami samorządowymi. Współpraca ta może mieć formę współpracy pozafinansowej lub jako zlecenie zadań⁷.

Współpraca pozafinansowa może obejmować:

- Wzajemne informowanie się o planowanych kierunkach działalności administracji samorządowej i zainteresowanych organizacji;
- Konsultowanie projektów aktów prawnych w dziedzinach dotyczących działalności statutowej pożytku publicznego organizacji pozarządowych;
- Tworzenie wspólnych zespołów doradczych i inicjatyw składających się z przedstawicieli sektora pozarządowego i administracji samorządowej.

Zlecenie zadań organizacjom pozarządowym odbywa się według zasad określonych w Ustawie i łączy się z przekazaniem środków finansowych na realizację danego zadania. Zlecenie może dotyczyć wspierania wykonania zadania publicznego wraz z udzieleniem dotacji na częściowe dofinansowanie jego realizacji lub powierzenia wykonania zadania publicznego wraz z udzieleniem dotacji na pełne jego sfinansowanie. Ustawa przewiduje też możliwość zlecenia zadań publicznych bez przekazania dotacji. Należy dodać, że zlecenie zadań publicznych do realizacji organizacjom pozarządowym odbywa się na zasadzie otwartego konkursu ofert.

Ogólną podstawę współpracy pomiędzy organizacjami pozarządowymi a władzami lokalnymi stanowi *roczny program współpracy*; Ustawa o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie przewiduje obowiązek uchwalenia przez organy stanowiące jednostek samorządu terytorialnego rocznych programów współpracy z organizacjami pozarządowymi. Przy tworzeniu programu obowiązują następujące zasady:

- 1) program współpracy dotyczy organizacji pozarządowych w ogóle, a nie wyłącznie organizacji pożytku publicznego;
- 2) program współpracy ma charakter obligatoryjny;

- 3) formalnie program współpracy ma charakter roczny, ale powinien być tworzony z perspektywą współpracy wieloletniej;
- 4) sam proces budowy programu współpracy powinien być efektem współpracy dwóch podmiotów: właściwej jednostki samorządu terytorialnego oraz organizacji pozarządowych działających na jej obszarze, aby mogły one w pełni wykorzystać swoje doświadczenie i zasoby;
- 5) program współpracy powinien dotyczyć różnych form współpracy a nie jedynie zlecenia zadań.

Są to zasady tworzące ogólną podstawę włączania szerokich rzesz członków społeczności lokalnej w proces rozwoju danego terytorium, niezależnie od wieku i aktualnie formalnej aktywności zawodowej.

5. Zamiast zakończenia - organizacje pozarządowe a druga połowa życia człowieka

Druga połowa życia człowieka nie rozpoczyna się w jednoznacznie określonym terminie; w zasadzie umownie rozpoczyna się z chwilą przejścia na emeryturę. W rzeczywistości jej rozpoczęcie ma charakter dość losowy, nie zawsze o tym decyduje sam człowiek; ma to związek ze współczesnością, którą charakteryzuje niepewność. Jest w zasadzie nieuchronna i powinna być w sposób świadomy „zago-spodarowana”. Świadomi potrzeby elastyczności możemy łatwiej dostosować się do nowej sytuacji, pamiętając o potrzebie bycia aktywnym jako warunku koniecznym zapewnienia egzystencji (przetrwania i rozwoju przez całe życie).

Człowiek w drugiej połowie życia może rozpocząć nową „przygodę życiową” (nową karierę zawodową), wykorzystując doświadczenie życiowe i kwalifikacje zawodowe może rozpocząć działalność, zdaniem P. F. Druckera, w zdecydowanie odmiennej organizacji – podejmując nowe wyzwania. Może też rozwijać karierę równoległe z wykonywaną pracą w swoim głównym zawodzie, podejmując jednocześnie działalność w organizacjach non-profit. Trzecia możliwość, „to zostać *przedsiębiorcą społecznym*”. Tę drogę w drugiej połowie życia wybierają osoby odnoszące sukcesy w swoim pierwszym zawodzie. Podejmują drugą działalność w organizacjach nie pracujących na zysk – czyli w organizacjach pozarządowych.. Szkoda, że dostrzegający potrzebę zachowania aktywnej postawy przez całe życie są w mniejszości.

Nasza aktywność i zaangażowanie w warunkach wysokiej nie-

pewności jest szansą na to, by nasz kontakt z organizacją pozarządową nie stawał nas w pozycji korzystającego z pomocy charytatywnej, lecz wspierającego tych, którzy tej pomocy potrzebują, ku zadowoleniu wspieranych naszą działalnością i własnej satysfakcji odbieranej w kategoriach sukcesu odniesionego w drugiej połowie życia. Przytoczę tu po raz kolejny pogląd P. F. Druckera, którego aktywność pozwoliła Mu dożyć sędziwego wieku – ponad dziewięćdziesięciu lat, przy zachowaniu sprawności intelektualnej: „(...) *Czyjaś rodzina może się rozpaść, ale pozostanie mu jeszcze działalność, w której nie zabraknie mu towarzystwa. Jest to niezwykle ważne w społeczeństwie, w którym liczy się sukces. Historycznie nie mieliśmy do czynienia z takim zjawiskiem. Przeważająca większość ludzi nie oczekuje od życia niczego więcej, jak tylko cichej przystani, o której mowa w dawnych modlitwach. Jedynym kierunkiem ruchu było spadanie w dół. Sukces był praktycznie nieznanym. W wykształconym społeczeństwie, w którym bardzo liczy się wiedza, od każdego oczekuje się <sukcesów>. Jest to jednak w sposób oczywisty niemożliwe. Większość ludzi w najlepszym wypadku może skończyć na braku porażek. Zawsze jednak tam, gdzie występuje sukces, występują też porażki. Dlatego też ważne jest dla każdego człowieka – a również dla jego rodziny – by znalazł sobie jakąś dziedzinę, której może się zasłużyć, w której widać jego wkład i w której jest kimś. Oznacza to, że trzeba mieć taką drugą dziedzinę, drugą karierę, równoległą karierę, działalność społeczną lub poważne zainteresowania zewnętrzne, coś, co daje szansę na pozycję lidera, na szacunek, na sukces⁸. Sądzę, że takie możliwości tworzą organizacje pozarządowe.*

¹ Wykorzystano prezentację Fundacji zawartą w pracy: *Lider przyszłości*. Redakcja: F. Hesselbein, M. Goldsmith, R. Beckhard. Warszawa: Business Press 1997.

² Przytoczone treści zaczerpnięto z pracy: P.F. Drucker: *Myśli rzewodnie Druckera*. Warszawa: MT Biznes 2002, z rozdziału – „Obywatelstwo jako zaangażowanie w sektorze społecznym”.

³ Temu celowi służy praca: P.F. Drucker: *Zarządzanie organizacją pozarządową*. Warszawa: Fundusz Współpracy, Program Phare Dialog Społeczny 1995.

⁴ Zob. *Lider przyszłości*. Op. cit.

⁵ Dz. U. z 2003 r. Nr 96, poz. 873.

⁶ Szerszą prezentację zawiera praca: J. Dąbrowska, M. Gumkowska, J. Wygnański: *Podstawowe fakty o organizacjach pozarządowych – raport z badań 2002*. Warszawa: Stowarzyszenie KLON/JAWOR 2002.

⁷ Zob. www.ngo.pl

⁸ Por. P. F. Drucker: *Myśli przewodnie Druckera*. „Najwybitniejszy myśliciel naszych czasów w dziedzinie zarządzania”. Warszawa: Wydawnictwo MT Biznes 2002, s. 421.

Ppłk rez. mgr Janusz GÓRECKI

PIERWSZE ŚWIĘTO „STOWARZYSZENIA RADAR” I OSTATNIE W HISTORII ŚWIĘTO CSR

Nawiązując do tradycji jeleniogórskich oficerskich szkół radiotechnicznych, 14 maja 2004 roku obchodziliśmy pierwsze święto naszego Stowarzyszenia.



W tym ciepłym i słonecznym dniu, z udziałem licznie przybyłych osób odbyło się kilka imprez, które na trwałe wpisały się w historię wojskowości Jeleniej Góry.

Pierwsza uroczystość odbyła się na placu apelowym Centrum Szkolenia Radioelektronicznego. W atmosferze godności i po żołniersku dokonano aktu związanego z zakończeniem działalności Centrum Szkolenia Radioelektronicznego, a tym samym i garnizonu jeleniogórskiego. Z udziałem kadry zawodowej, pracowników cywilnych wojska, mieszkańców Jeleniej Góry, prezydenta miasta Józefa Kusiaka i szefa Wojsk Radiotechnicz-

nych płk. Stanisława Słotwińskiego pożegnano sztandar Centrum. Symbolicznego pożegnania dokonali rodzice chrzestni sztandaru pani Zofia Czernow i płk rez. Edward Jakubowski. Jako pierwszy, zgodnie z ceremoniałem wojskowym pożegnał się ze sztandarem ostatni w historii szkół radiotechnicznych Komendant CSR płk Jerzy Balcerkowski. W tym momencie warto przypomnieć scenę z uroczystości naddania Centrum Szkolenia Radioelektronicznego sztandaru w 1995 r. w strugach ulewnego deszczu.



Obok komendanta CSR, gospodarzem uroczystości był zastępca prezesa Stowarzyszenia „Radar” Janusz Gorecki, który wygłosił okolicznościowe przemówienie do licznych gości uroczystości. - na fotografii obok.

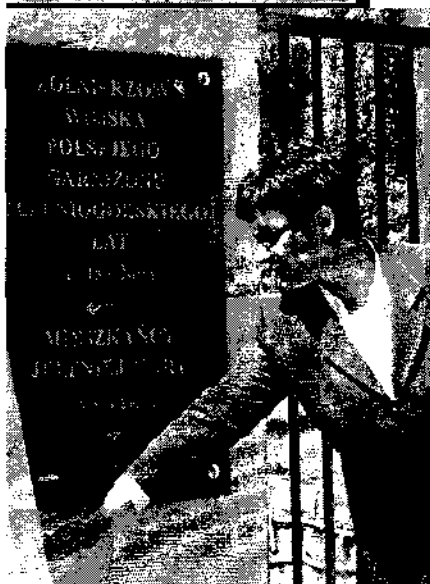
Na fotografii poniżej moment ostatniego przemarszu pocztu sztandaru ze sztandarem CSR przed szykiem kadry Centrum.

Na fotografiach obok po prawej, tablice pamiątkowe odsłonięte na bramy koszar.





Czyżby wtedy niebo płakało nad losem szkoły i przysłą pokrętnością polityków? Uroczystość uświetniły dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 2 imienia Bolesława Chrobrego, które pod kierownictwem pani Grażyny Wieczysty dały wspaniały występ narodowych pieśni i tańców. Grała Miejska Orkiestra Dęta utworzona przy Filharmonii Dolnośląskiej w Jeleniej Górze przebrana w mundury historyczne nawiązujące do okresu Powstania Listopadowego, a przejęte po naszej orkiestrze garnizonowej. Co najważniejsze usłyszeliśmy polskie melodie wojskowe, a nie jakieś światowe standardy grywane ostatnio przez orkiestry dęte Wojska Polskiego.



Następna uroczystość odbyła się przy bramie głównej koszar – przy słynnych posągach jeleni. W arkadach bramy, na których spoczywają odlane w spłzu jelenie, umieszczono dwie tablice pamiątkowe. Na tej po lewej stronie bramy – umieszczono tablicę upamiętniającą jeleniogórskie wojskowe szkoły radiotechniczne i ich komendantów. Tablicę ufundowało nasze Stowarzyszenie, a jej odsłonięcia dokonali wspólnie ostatni Komendant WOSR gen. bryg. rez. Bronisław Peikert i szef Wojsk Radiotechnicznych płk Stanisław Słotwiński. Ta po prawej stronie bramy, o treści: *Żołnierzom Wojska Polskiego Garnizonu Jeleniogórskiego lat*

1945-2004. Mieszkańcy Jeleniej Góry’, jest fundacji Stowarzyszenia „Wspólne Miasto”. Jej odsłonięcia dokonała prezes tego Stowarzyszenia pani Janina Harel. Ten akt hołdu żołnierskim pokoleniom, niestety, odbywał się bez udziału



Uroczystość uświetnił piękny występ dziecięcego zespołu pieśni i tańca ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Jeleniej Górze. W programie były nasze narodowe pieśni i tańce. Na fotografii fragment przedstawienia, które odbyło się bezpośrednio na płycie placu apelowego.

Na zaproszenie Zarządu Stowarzyszenia „Radar”, przybył do Jeleniej Góry z dalekiej Indonezji, absolwent Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej z 1964 roku płk Soejitno. Z tej okazji podpisano porozumienie o współpracy z podobnym stowarzyszeniem w Indonezji o nazwie „Stowarzyszenie Absolwentów Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej - Naya II”. Zaszczyc podpisania tego porozumienia w imieniu Zarządu mnie przypadł w udziale i był to dla mnie bardzo wzruszający moment.



Po raz pierwszy nadaliśmy tytuły „Honorowego Członka Jeleniogórskiego Stowarzyszenia Żołnierzy Radiotechników – Radar”. Stosowne patenty otrzymali:

*Prezes Stowarzyszenia „Naya II”
- płk Soejitno;*

*Szef Wojsk Radiotechnicznych
- płk dypl. Stanisław Słotwiński*



*Dowódca 3 Korpusu OP
płk/ gen. bryg. Zbigniew Janoś*



*Dowódca 2 Brygady Radiotechnicznej
płk dypl. Jerzy Pawelec*



*Dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej
płk / gen. bryg. Andrzej Kaczyński*



Kolejna uroczystość odbyła się w Skansenie Uzbrojenia Wojska Polskiego przy ul. Sudeckiej. Tu otwarto niewielką ekspozycję obrazującą historię garnizonu jeleniogórskiego na przestrzeni ostatnich 100 lat oraz wystawę okolicznościową na temat bitwy o Monte Cassino. Odstonięto też tablicę upamiętniającą pobyt na tych ziemiach przez ostatnie 200 lat żołnierzy polskich i niemieckich.

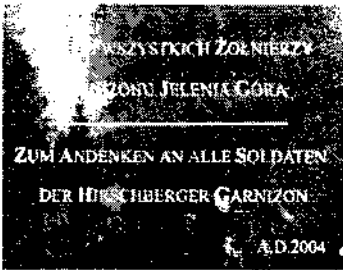
Na nasze święto i na pożegnanie ze sztandarem, licznie przybyli z różnych zakątków kraju zaproszeni goście oraz pierwsi absolwenci Szkoły Chożańskich Wojsk Radiotechnicznych (lata 1969 – 1975), dla których był to kolejny, już czwarty koleżeński zjazd.

Ten wyjątkowy dzień zakończył się tradycyjną żołnierską biesiadą przy grochówce i piwie.

Następnego dnia - w sobotę - niezapomnianych wrażeń dostarczyła nam wycieczka autokarowa z firmą turystyczną „Daltur” do „Złotej Pragi”.

Dwudniowe uroczystości naszego święta, przeprowadzone zostały (co podkreślali goście) wzorowo. To dzięki wspólnej inicjatywie naszego Stowarzyszenia i Komendy Centrum, mogliśmy godnie i po żołniersku pożegnać się ze sztandarem jednostki i wszystkim tym, co wiązało się z naszą służbą i pracą w „koszarach pod jeleniami”. To za sprawą takich kolegów jak: Jerzy Balcerkowski, Marek Gołębiowski, Stanisław Matejuk i Józef Zdeb, nasze pierwsze święto, miało taki, a nie inny wymiar. Dzięki osobistemu zaangażowaniu dyrektora Muzeum Karkonoskiego pana Stanisława Firsztę, możliwe było zorganizowanie w odremontowanym budynku przy Skansenie Uzbrojenia WP dwóch historycznych wystaw. To dzięki kolegom: Zdzisławowi Bigosińskiemu, Henrykowi Dąbkiewiczowi, Franciszkowi Mroczo i Janowi Ginowiczowi, wydany został wraz z płytą CD, niezwykle ciekawy, kolejny numer biuletynu. Szczególne słowa podziękowania należą się panu gen. Bronisławowi Peikertowi, za pozyskanie dla naszej sprawy licznych sponsorów.

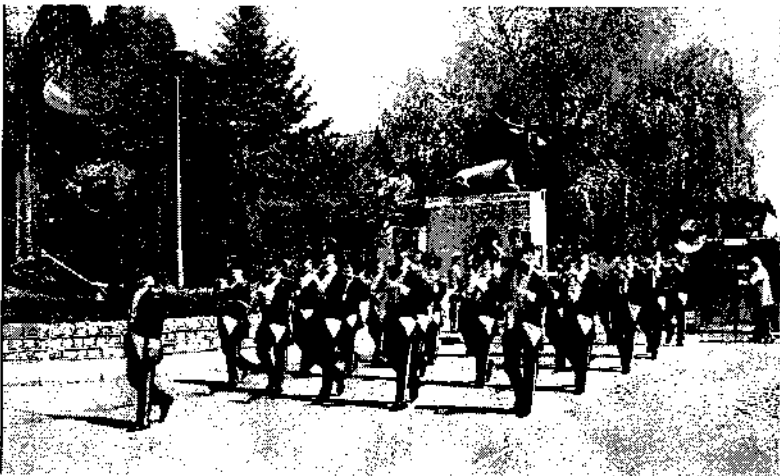
Kolejne święto Stowarzyszenia z pewnością też obchodzone będzie tak godnie i uroczysto jak to pierwsze. Mamy ku temu wszelkie warunki.



Na fotografiach. Powyżej widoczna część wystawy rocznicowej o Monte Cassino, w sali obok jest ekspozycja o historii garnizonu jeleniogórskiego.

Na fotografii obok jest tablica pamiątkowa wmurowana w budynek muzeum - Skansenu Uzbrojenia WP

Na fotografii poniżej moment przejścia orkiestry dętej Dolnośląskiej Filharmonii w Jeleniej Górze przez bramę CSR. Orkiestra jest przebrana w mundury poprzednio używane przez orkiestrę WLOP działającą przy CSR.



PRZEMÓWIENIE NA POŻEGNANIE SZTANDARU CENTRUM SZKOLENIA RADIOELEKTRONICZNEGO

Człowiek żyjący i chodzący po ojczystej ziemi, przeżywa różne chwile swojego życia, czasem radosne, innym razem smutne.

Nasze środowiska kombatanckie są tu dziś reprezentowane przez prezesów Kół wszystkich Związków i ich poczty sztandarowe.



Przybyliśmy tu na plac apelowy byłych szkół oficerskich, a obecnie Centrum Szkolenia Radioelektronicznego, by przeżyć smutne chwile pożegnania Sztandaru. On w deszczowy dzień 13 maja 1995 roku na Placu Ratuszowym przez gen. dyw. dr Pilota Jerzego Gotowalę, został wręczony w ręce ppłk. dr. Bronisława Peikerta – wówczas komendanta Centrum Szkolenia Radioelektronicznego. W tamtym dniu pożegnaliśmy sztandar szkół oficerskich, po to, by centrum mogło mieć swój nowy symbol związany z Jelenią Górą. Popatrzcie na drzewce sztandaru, na tę ilość gwoździ symbolizujących osoby i instytucje wtedy przy sztandarze obecne. Było to bardzo ważne wydarzenie w życiu zasłużonej Uczelni.

Mnie i Pani Zofii Czernow - wówczas Prezydenta Miasta Jeleniej Góry, przypadła zaszczytna rola Chrzestnych sztandaru. Dla mnie było to duże wyróżnienie.

Dzisiaj w smutnej uroczystości również uczestniczymy.

Są obecne poczty sztandarowe Związku Kombatanów RP i Byłych Więźniów Politycznych, a wśród nich Sztandar Osadnictwa Wojskowego nadany w 1948 roku w Lwówku Śląskim osadnikom – żołnierzom z 10 Dywizji Piechoty.

Uczestniczą również poczty sztandarowe Związku Inwalidów Wojennych RP, Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i Związku Kombatanów Solidarności. Jest obecny poczet sztandarowy Związku Sybiraków.

Razem jest 12 pocztów sztandarowych. Godnie stanęliśmy na ten ostatni apel z pięknym żołnierskim ceremoniałem.



Pragnę podkreślić, że wśród otrzymanych przeze mnie zaproszeń na przestrzeni lat 1955 – 2004, na różne uroczystości Szkoły, wszystkie sprawiły mi dużą radość i zadowolenie.

Dzisiejsze zaproszenie jest smutne i wprawia nas kombatanów w zadumę oraz żal, że nie będzie już jednostek wojskowych w Jeleniej Górze. Nie będziemy uczestniczyć już w promocjach oficerskich, przysięgach, w patriotycznych uroczystościach z apelami poległych.

Tysiące absolwentów szkół wojskowych tu działających są chlubą tych szkół, wśród nich są generałowie, profesorowie, politycy i przedsiębiorcy, są zwykli obywatele i społecznicy. Oni nie mogą zapomnieć swych szkół, jak i my jeleniogórzanie nie możemy o nich zapomnieć.

My kombatancki byliśmy zawsze dumni z eksportowej orkiestry (tak ją nazywano), która uczestniczyła w uroczystościach poza granicami naszego państwa. Szczęśliwie się złożyło, że mundury wzoru z Powstania Listopadowego, które dzięki odpowiednim zabiegom i życzliwemu wsparciu tu obecnej Pani Zofii Czernow i Związku Kombatanatów zostały uszyte w pracowni we Wrocławiu – dopilnował tego płk Henryk Sańko - obecnie są w dyspozycji muzyków Filharmonii Jeleniogórskiej, co życzliwie wsparli Pan gen. Bronisław Peikert i Pan płk Jerzy Balcerkowski.

Ktoś kiedyś powiedział:

„Ten jest większy między ludźmi, kto umie służyć i poświęcać siebie dla dobra innych”.

Te słowa pasują do kierownictwa szkoły w latach 1955 - 2004, kadry i całego stanu osobowego Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej, Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej i Centrum Szkolenia Radioelektronicznego, kiedy to przez 18 lat Komendantem Szkoły był płk Wacław Kazimierski, a po nim kolejno funkcję sprawowali wspaniali ludzie:

gen. bryg. Julian Paździor

gen. Tadeusz Jemiolo

gen. Edward Redwanz

płk Józef Piekarczyk

gen. Bronisław Peikert

i jako ostatni płk Jerzy Balcerkowski,

oni dostrzegali problemy kombatanckie i zawsze nam byli życzliwi.

Z okazji ostatniego Święta Centrum Szkolenia Radioelektronicznego i rozstania się ze Sztandarem , w imieniu 9 tysięcznej Rodziny naszego Związku, również Związku Inwalidów Wojennych RP, Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Związku Kombatanatów Solidarności i Związku Sybiraków oraz własnym, wyrażam najlepsze podziękowanie wszystkim Komendantom, ich Zastępcom, całej Kadrze i Pracownikom Cywilnym Wojska, za życzliwość i pomoc okazywaną przez wszystkie lata - od tych żołnierzy, którzy pół bitewnych na drodze do wolności sobie nie wybierali.

Dziękuję za Orkiestrę, która uczestniczyła w uroczystościach wręczenia sztandarów Kołom i Związkom tu obecnym i nieobecnym.

Dziękuję:

- Za udział w organizowaniu Złotów Kombatanckich,
- Za pomoc w organizowaniu uroczystości - szczególnie pod Mieczami Piastowskimi w Cieplicach z udziałem Orkiestry i Kompanii Honorowej,

a jak pamiętam apele poległych prowadzone przez mjr. Jakubika był wykonywane najlepiej w Wojsku Polskim,

- Za doznane wzruszenia podczas promocji oficerskich i składania ojczyźnie żołnierskich przysięg,
- Grupom podchorążych za pomoc w budowie „ Domu Kombatanta”,
- Za nieodpłatne długoletnie korzystanie z Garnizonowego Klubu Oficerskiego przy ul. Obrońców Pokoju, gdzie odbywały się różne patriotyczne uroczystości, Zjazdy sprawozdawczo - wyborcze oraz różne konkursy dla dzieci i młodzieży,
- za pełną życzliwość i okazywaną pomoc dla wszystkich Związków - bez podziału na lepszych i gorszych.

Pragnę stwierdzić, że w tych smutnych rozważaniach jest i pogodne spojrzenie na szczęśliwe rozwiązanie zagospodarowania najlepiej utrzymanych koszar wojskowych w Polsce, a szczególnie przejęcia przez Kolegium Karkonoskie bazę do wspaniałej nauki studentom i pracy dydaktyczno – wychowawczej pracownikom naukowym.



Wierzmy, że w piersiach tego pokolenia, które przychodzi tutaj, gdzie prawie 60 lat byli polscy żołnierze, serca będą również dla Polski gorące. Jesteście szczęśliwi, że nie musicie swego życia poświęcać w walce za ojczyznę, to życie możecie pięknie wykorzystać na dobrą naukę i pracę; na dbałość o ciągłość historii i trwałość naszej państwowości.

Pragnę tu wszystkich obecnych zapewnić, że kombatanci Jeleniogórskiej Ziemi i całego byłego województwa po bohatersku pełnili żołnierską służbę w okresie wojennych lat, solidnie pracowali w całym okresie powojennym i dziś pomimo zmęczenia i nadszarpniętych sił nadal potrafią służyć Ojczyźnie.

Cześć Tobie Sztandarze, symbolu honoru i godności żołnierskiej;

Cześć żołnierzom garnizonu jeleniogórskiego z wszystkich 59 lat służby, zasłużyliście sobie na wieczną pamięć.



St. chor. sztab Jan GINOWICZ

SPOTKANIE ORGANIZACJI POZARZĄDOWYCH DZIAŁAJĄCYCH NA RZECZ OBRONNOŚCI I BEZPIECZEŃSTWA W JELENIEJ GÓRZE 29 LISTOPADA 2004 R.

W kwietniu 2004 r. z inicjatywy przedstawicieli Sowarzystwa "Radar" w Koalicji Jeleniogórskich Organizacji Pozarządowych, na zebraniu plenarnym, powołano grupę "branżową" pod nazwą "Obronność kraju i bezpieczeństwo publiczne". Celem działania tej grupy jest stworzenie możliwości wzajemnego poznawania się członków organów kierowniczych organizacji, wypracowywanie wspólnych stanowisk w sprawach dotyczących działań w sferze obronności kraju i bezpieczeństwa obywateli, ewentualne podejmowanie wspólnych przedsięwzięć. Koordynatorem tej grupy został wybrany Jerzy Górski.

W listopadzie 2004 r., korzystając z okazji pobytu w Jeleniej Górze szefa Oddziału Komunikacji Społecznej departamentu Wychowania i Promocji Obronności MON, płk. Jarosława Dębskiego zorganizowaliśmy po raz pierwszy spotkanie organizacji pozarządowych z terenu miasta i powiatu Jelenia Góra, które mają podpisane umowy o współpracy z resortem Obrony Narodowej. Właśnie na to spotkanie przygotowane zostały tezy do dyskusji na tym spotkaniu, jak też i w organizacjach.

Liczymy na wsparcie kolegów dobrymi pomysłami i konkretnymi działaniami w sprawach poruszonych w tych "Tezach". Oczywiście one nie wyczerpują całości problemów związanych z działalnością na rzecz obronności i bezpieczeństwa.

Jedno jest pewne. Władze państwowe i samorządowe, również w sferze obronności oraz bezpieczeństwa muszą współpracować z organizacjami pozarządowymi. Z naszej strony to dopiero początek próby ogarnięcia spraw z tym związanych.

Myśl przewodnią przejęliśmy z naszej dewizy "Radarowej":
**„Służymy poczciwej sprawie. A jako kto może – niech ku pożytku dobra
wspólnego pomoże”**
(Jan Kochanowski)



Czy możliwe jest Jeleniogórskie porozumienie na rzecz obronności i bezpieczeństwa?

Gmina i powiat – to nasza najmniejsza ojczyzna.

Budowanie poczucia „obywatelskości”, więzi i solidarności w dążeniu do lepszych warunków życia w naszej małej ojczyźnie. Warunkiem jest poczucie bezpieczeństwa przez obywateli i osób do nas przybywających. Sytuacje kryzysowe i nowy rodzaj zagrożenia – terroryzm.

Jak zainteresować dzieci i młodzież oraz jak ich zachęcać do wysiłku w działalności na rzecz obronności i bezpieczeństwa? Jak uczynić z nich przyszłych obywateli w pełni obywatelskiego społeczeństwa?

Instytucje publiczne i organizacje pozarządowe - jedność celów. Główne instytucje publiczne: Władze państwowe i samorządowe, Wojsko Polskie, Policja Państwowa, Służby Ratowniczo – Gaśnicze, szkolnictwo; kościoły.

Brak spójności i koordynacji programów wychowawczych i przedsięwzięć. Czy potrzebna jest korelacja na szczeblu gminy i powiatu? Czy jest to możliwe przy założeniu, że nie będzie to naruszało suwerenności każdego z podmiotów? Jakie formy współpracy są możliwe praktycznie od teraz?

Jednym z warunków rozwoju społeczeństwa obywatelskiego jest funkcjonowanie organizacji pozarządowych realizujących zadania pożytku publicznego. Doświadczenia państw o wyższej kulturze demokratycznej wskazują na potrzebę federalizacji tych organizacji i ten proces w Polsce się rozwija. Powstają głównie partnerskie struktury terytorialne i tzw. „branżowe”. Przykładem może być Federacja Stowarzyszeń Rezerwistów i Weteranów Sił Zbrojnych RP. W naszym regionie przykładem federacji są: Koalicja Jeleniogórskich Organizacji Pozarządowych, Karkonoski Sejmik Osób Niepełnosprawnych i Dolnośląska Federacja Organizacji Pozarządowych. W ramach Koalicji Jeleniogórskich Organizacji Pozarządowych utworzona została grupa branżowa o nazwie: „Obrona

Kraju i Bezpieczeństwo Publiczne". Cel działania tej grupy jest jasny, został on bowiem wpisany w jej nazwę.

Koordinatorem grupy „Obrona Kraju i Bezpieczeństwo Publiczne” jest płk rez. dr inż. Jerzy Górski, w przeszłości zastępca szefa Katedry Zautomatyzowanych Systemów Dowodzenia WOSR i kierownik cyklu przedmiotowego w CSR. Współorganizator wysoko cenionych konferencji naukowych, społecznik. Z zamiłowania turysta i miłośnik historii regionu. Jest zastępcą prezesa Jeleniogórskiego Stowarzyszenia Żołnierzy Radiotechników „Radar”.

Tworzyć w Jeleniej Górze nową reprezentację organizacji działających na rzecz obronności i bezpieczeństwa, czy też wzmacniać istniejącą Koalicję Jeleniogórskich Organizacji Pozarządowych i grupę branżową „Obrona Kraju i Bezpieczeństwo Publiczne”? A może są inne rozwiązania umożliwiające efektywną współpracę podmiotów zainteresowanych działalnością na rzecz obronności i bezpieczeństwa na szczeblu gminy i powiatu?

Może uda się stworzyć ruch intelektualny wspierający gen. bryg. rez. dr. Bronisława Peikerta – członka „Zespołu do opracowania koncepcji roli i miejsca organizacji pozarządowych w systemie obronnym RP” - również wśród członków organizacji i instytucji współpracujących w ramach Koalicji Jeleniogórskich Organizacji Pozarządowych? General Peikert, jest doświadczonym społecznikiem. Obecnie jako emeryt wojskowy aktywnie uczestniczy w działalności kilku organizacji pozarządowych.

WNIOSEK 1.

Nam działającym na rzecz obronności i bezpieczeństwa jest potrzebne POROZUMIENIE, nie tylko po to, aby być lepszym partnerem dla władz państwowych i samorządowych, niż pojedyncza organizacja pozarządowa, również po to, by wzajemnie ubogacać się. **Formą organizacyjną tego porozumienia może być grupa branżowa „Obronność Kraju i Bezpieczeństwo Publiczne” Koalicji Jeleniogórskich Organizacji Pozarządowych.**

Do rozważenia są m. in. następujące problemy:

Obchody w 2005 roku 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej. (2 Armia WP nad Nysą; Bitwa budziszyńska; cmentarz wojenny w Zgorzelcu i inne cmentarze oraz groby żołnierskie; 10 Dywizja Piechoty w Jeleniej Górze; Pionierzy Jeleniej Góry; Osadnictwo wojskowe).

Rozbudowa Skansenu Uzbrojenia WP w Jeleniej Górze.

„Izby Pamięci” – w których szkołach jeszcze są? Możliwości odtworzenia zlikwidowanych i zbudowania nowych.

Organizowanie uroczystości państwowych, rocznicowych i „branżowych” – związanych z obronnością i bezpieczeństwem. (Potrzeba masowego uczestnictwa obywateli w mundurach żołnierskich, policyjnych, straży pożarnej, w mundurach harcerskich i w ubiorach organizacyjnych nawiązujących do tradycji obronnych. Obecnie widzi się na uroczystościach w mundurach głównie kombatantów).

Dobrze przygotowane miejsca do masowych uroczystości patriotycznych. Dopracowane, atrakcyjne ceremoniały. (Dotychczasowa sztampa nie przyciąga dzieci i młodzieży).

Pomniki historyczne i ich wykorzystanie w pracy wychowawczej szkół i organizacji pozarządowych.

Może już czas na realizację pomysłu ks. płk. Wilhelma Kubsza (z 1975 r.) – zbudowania przy kościele garnizonowym Grobu Nieznanego Żołnierza jako miejsca pamięci żołnierzy i ofiar II wojny światowej?

Sporty obronne dostępne dla dzieci i młodzieży w mieście i w powiecie jeleniogórskim. Czy jest możliwe większe zaangażowanie organizacji pozarządowych w tej działalności?

Czy brakuje nam jakiejś organizacji, aby wypełnić lukę w systemie wychowawczym miasta?

Związek Strzelecki „Strzefec”. Organizacja Społeczno – Wychowawcza (forma wojskowa, mundury).

Jelenia Góra – miasto radiotechników Wojska Polskiego. Symbol – brama główna koszar ze słynnymi posagami jeleni. Potrzeba ustanowienia bramy jako pomnika należącego do miasta Jelenia Góra.

Karkonoska Parada Obywatelska.

Parada jest sprawdzoną formą integrującą społeczność lokalną, dostarczającą o niej wiedzy, umożliwiającą prezentację osiągnięć miasta (powiatu) oraz poszczególnych instytucji, organizacji i obywateli w minionym roku poprzez atrakcyjną oprawę i zabawę. Wszędzie tam, gdzie organizowane są tego rodzaju przedsięwzięcia, mają one duże znaczenie wychowawcze, bowiem uczestnictwo w paradzie jest wyróżnieniem. Parada - to również możliwość prezentacji społeczeństwu organizacji pozarządowych.

WNIOSEK 2.

Należy w ramach organizacji pozarządowych, działających na rzecz obronności i bezpieczeństwa, organizować wspólnie przynajmniej jedno przedsięwzięcie obejmujące aktywnym uczestnictwem możliwie jak największą ilość mieszkańców. Takim przedsięwzięciem może być „Karkonoska Parada Obywatelska”.

Grupa branżowa KJOP „Obronność Kraju i Bezpieczeństwo Publiczne” zaplanowała do realizacji w 2005 r. sympozjum naukowe nt.: „Możliwości organizacji pozarządowych w zakresie działalności na rzecz obronności i bezpieczeństwa w regionie jeleniogórskim”. Zadaniem poprzedzającym jest utworzenie bazy informacji o organizacjach pozarządowych działających na rzecz obronności i bezpieczeństwa w mieście i w powiecie Jelenia Góra.

WNIOSEK 3.

Potrzebni są partnerzy dla grupy branżowej KJOP – OKIBP, do wsparcia przygotowania sympozjum naukowego nt.: „Możliwości organizacji pozarządowych w zakresie działalności na rzecz obronności i bezpieczeństwa w regionie jeleniogórskim”.





Grafika pod tytułem „Pamięć” - autor nieznany. Ze zbiorów „Impulsów”

Ppłk w st. spocz. Edward JAKUBOWSKI

WOLNOŚĆ KRZYŻAMI SIĘ MIERZY

Czas przemija szybko. Dość powiedzieć, że już od roku przygotowujemy się do obchodów 60 rocznicy forsowania Nysy Łużyckiej, które odbędą się 16 kwietnia 2005 roku w Zgorzelcu.

Planowana jest centralna uroczystość na Cmentarzu 2 Armii Wojska Polskiego, w której uczestniczyć będą władze centralne, wojewódzkie, gospodarze miasta i powiatu, a szczególnie delegacje kombatantów 2 Armii Wojska Polskiego z Ziemi Dolnośląskiej, sąsiednich województw, nie mówiąc o tych weteranach, którzy rozsiani są po całej Polsce. Nadchodzą już pierwsze zgłoszenia tych, którzy forsowali Nysę 16 kwietnia 1945 r.

Przewiduje się udział szkół, które za swych patronów przyjęły imiona bohaterów 2 Armii Wojska Polskiego, Kombatantów Ziemi Lubańskiej, Osadników Wojskowych, Bohaterów 10 Sudeckiej Dywizji Piechoty, Polskich Żołnierzy Września, Polskich Nauczycieli Tajnego Nauczania, Obrońców Poczty Polskiej.

Z dyrektorami tych szkół, jak również wielu innych placówek edukacyjnych, które za patronów przyjęły wielkie postaci historyczne, odbyło się 27 września 2004 roku w „Domu Kombatanta” w Jeleniej Górze spotkanie, w czasie którego staraliśmy się - my kombatanci - wyculić ich na konieczność rozpoczęcia już od razu przygotowań do obchodów wymownych rocznic.



Przewidujemy, że młodzież szkół średnich i podstawowych Zgorzelca oraz delegacji innych noszących chlubne imiona szkół, na ustalony sygnał zapali znicze na 3423 mogiłach i złoży po jednym kwiatku. To będzie najwspanialszy hołd oddania czci pamięci tych, których prochy spoczywają w tej ziemi przez nich ofiarowanej Polakom, także temu pokoleniu obecnemu przy grobach.

W tym miejscu warto przypomnieć, że w ramach operacji łużyckiej i praskiej, przeprowadzonych w kwietniu i maju 1945 roku, poległo 4981 żołnierzy, 2815 zaginęło, a 11.454 zostało rannych i kontuzjowanych.

Według danych zawartych w książce Romana Zgłobickiego pt. „Obozy i cmentarze wojenne w Zgorzelcu” na Niekropolii 2 Armii WP pochowano: podpułkownika Nikifora Jaśkiewicza, 7 majorów, 24 kapitanów, 43 poruczników, 195 podporuczników, 18 chorążych, 7 podchorążych (w czasie wojny zaliczano ich do oficerów) oraz 3048 podoficerów i szeregowców, w tym 6 kobiet. Około 80 proc. poległych nie przekroczyło 25 lat życia. Najmłodszy nie miał 16 lat, najstarszy liczył 53 lata.



Nad cmentarzem góruje piękny pomnik odsłonięty 6 maja 1978 roku, który przedstawia piastowskiego orła zwróconego w stronę granicy na Nysie Łużyckiej. Pomnik ten, na tle cmentarza, którego renowacja prowadzona jest z dużym trudem, prezentuje się wspaniale. We wrześniu 1978 roku pod tym pomnikiem odbyła się promocja oficerska absolwentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej. Wszystkich uczestników tamtego historycznego wydarzenia również zapraszamy, po to, by stanęły w szeregach wszystkie pokolenia żołnierzy, obecne na Dolnośląskiej Ziemi.

2 października 2004 roku kierownictwo Ministerstwa Obrony Narodowej z Jerzym Szmajdzińskim na czele, gospodarze miasta Zgorzelca i powiatu, Społeczny Komitet Ochrony Pomników Walk i Męczeństwa oraz kombatancki uczestniczyli w otwarciu Izby Pamięci w Zespole Szkół im. Bohaterów 2 Armii Wojska Polskiego. Następnie goście i gospodarze miasta przy udziale kombatancków zapoznali się z przebiegiem prac renowacyjnych cmentarza.

Z tego rozpoznania nasuwa się jeden wniosek - trzeba jeszcze bardzo wiele zrobić, aby rozpoczęte prace zostały zakończone tak, jak zostały zaplanowane. Należy między innymi wykonać tablicę imienną dla przeszło 2000 poległych żołnierzy Wojska Polskiego, których groby znajdują się na Łużycach, za Nysą. W latach 1946-1947 z różnych przyczyn nie udało się ich ekshumować. Nazwiska poległych są wpisane w księgi cmentarne i z nich wiemy kto i gdzie jest pochowany. Jakże rzadko te cmentarze odwiedzają Polacy by zapalić symboliczną lampkę pamięci.

Pisząc o poległych w czasie forsowania Nysy Łużyckiej i na Łużycach, a pochowanych na cmentarzu 2 Armii Wojska Polskiego, uzmysłowiłem sobie, że podobnie jak na zgorzeleckim cmentarzu, również na wszystkich innych cmentarzach i grobach żołnierskich powinny płonąć symboliczne znicze, by oddać należny hołd poległym za Ojczyznę.

W Zgorzelcu, przechodząc przed mogiłami uszeregowanymi w 40 równych rzędach, pomyślmy, że ci młodzi ludzie zginęli dosłownie w ostatnich dniach wojny, kiedy nasz umęczony naród budził się do nowego życia.

„Historia ten jeden ma błąd, że wolność krzyżami się mierzy”.

25 LAT DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKU BYŁYCH ŻOŁNIERZY ZAWODOWYCH I OFICERÓW REZERWY WOJSKA POLSKIEGO W REGIONIE JELENIOGÓRSKIM.

Na wstępie należy zaznaczyć, że w chwili powołania do życia Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych obowiązywał inny niż obecnie podział administracyjny kraju.

Istniało województwo jeleniogórskie obejmujące m.in. te miasta i gminy, w których powstawały poszczególne koła Związku, a więc Jelenią Górę, Bolesławiec, Lubań Śląski, Szklarską Porębę, Zgorzelec. W wymienionych miejscowościach działały koła (w liczbie od 1 do 3), a kierował nimi Zarząd Wojewódzki z siedzibą w Jeleniej Górze.

W 1999 roku - po zmianie podziału administracyjnego - przestało istnieć województwo jeleniogórskie, a powołane z niego powiaty włączono do województwa dolnośląskiego. Strukturę Związku zachowano dotychczasową, zmieniając nazwę Zarządu Wojewódzkiego na Zarząd Rejonowy obejmujący swym zasięgiem te same miejscowości co uprzednio.

1. Nastroje i postawy środowisk emerytów i rencistów wojskowych przed powstaniem Związku

Trudno z perspektywy 25 lat dokonać rzetelnej oceny nastrojów i postaw ludzi jeśli nie dysponuje się konkretnymi danymi badań socjologicznych. Nie ma też rzetelnej dokumentacji, która pozwalałaby na taką ocenę. Dlatego możemy odwołać się jedynie do wypowiedzi i wspomnień uczestników tamtych wydarzeń.

W publicystyce i literaturze, zwłaszcza autorów, którzy nadal obsesyjnie walczą z komuną dominuje totalne potępienie tamtego okresu, nazywanie stanu wojennego „wojną z narodem” itp.

Przy okazji młodym pokoleniom Polaków wciska się tyle zakłamania i głupoty, że dziś z języka codziennego i stylu życia znikają takie pojęcia jak patriotyzm, gotowość poświęceń dla Ojczyzny, uczciwość czy zaangażowanie społeczne.



*Na zdjęciu były wykładowca OSR i WOSR
półkrez. Jerzy Grabowski, pierwszy prezes
Zarządu Wojewódzkiego ZBZZ w J. Górze*

Zdecydowana większość członków naszego Związku w tamtych latach jeszcze pełniła zawodową służbę wojskową.

Początek lat 80 - tych to wyjątkowo trudna sytuacja społeczno - gospodarcza i na tym tle narastające Konflikty. Zarówno emeryci wojskowi, jak i pełniący czynną służbę tkwili w samym środku ówczesnych wydarzeń.

Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że dla zapobieżenia kryzysowi państwa i zagrożenia bytu narodu muszą być podjęte konkretne przedsięwzięcia.

Dla środowiska emerytów i rencistów wojskowych, takim realnym zagrożeniem była pogarszająca się z dnia na dzień sytuacja finansowa i materialna. Dlatego nie dziwi, że niektórzy wówczas byli nawet gotowi wstąpić do powstającej „Solidarności”.

Pojawiły się oddolne naciski by zacząć tworzyć organizacje, które w jakimś sensie reprezentowałyby to środowisko. Próby takie już wcześniej podejmowano w powoływaniu Kół Oficerów Rezerwy.

2. Okoliczności powołania struktur ZBZZ

W 1981 roku oddolne inicjatywy zmierzające do powołania organizacji reprezentującej emerytów i rencistów wojskowych poparło Ministerstwo Obrony Narodowej i wyraziło zgodę na założycielski Zjazd Krajowy Stowarzyszenia. Na tym zjeździe powołano do życia Związek Byłych Żołnierzy Zawodowych. Celem związku było reprezentowanie środowiska wobec władz państwowych, obrona godności i honoru żołnierza polskiego, przestrzeganie nabytych praw oraz organizacja pomocy socjalnej rodzinom. Zakładano ścisłą współpracę Związku z Ministerstwem Obrony narodowej i jednostkami wojskowymi na terenie działania poszczególnych zarządów i kół. Jednostki wojskowe zostały zobowiązane do udzielania pomocy miejscowym kółom ZBZZ.

W dniu 4 maja 1981 roku odbył się I Zjazd Wojewódzki ZBZZ w Jeleniej Górze. Znaczącej pomocy w jego organizacji udzielił Komendant Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej gen. bryg. pil. Julian Paździor i szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego płk Stanisław Kapusta. Na tym zjeździe powołano Zarząd Wojewódzki ZBZZ, którego pierwszym prezesem został płk w st. spocz. Jerzy Grabowski, a sekretarzem kpt. rez. Edward Kowalczyk. Miejsce pracy Zarządu Wojewódzkiego wyznaczono w ówczesnym Klubie Garnizonowym.

W tym samym okresie w poszczególnych, garnizonach zaczęły powstawać koła ZBZZ, i tak już w marcu 1981 roku w Bolesławcu powstały 3 koła, a w sierpniu w Jeleniej Górze.



3. Rozbudowa ogniw terenowych

Działalnością Zarządu Wojewódzkiego ZBZZ od chwili utworzenia do kwietnia 1989 roku kierował płk w st. spocz. Jerzy Grabowski. Na III Zjeździe Wojewódzkim na prezesa wybrano kpt. w st. spocz. Edwarda Kowalczyka. Na VI Zjeździe w maju 2001 roku - w związku ze zmianą podziału administracyjnego - w miejsce Wojewódzkiego powołano Zarząd Rejonowy, a jego prezesem ponownie wybrano kpt. w st. spocz. Edwarda Kowalczyka, który tę funkcję pełnił aż do śmierci w lutym 2002 roku. Od marca 2002 roku prezesem Zarządu Rejonowego ZBZZiOR WP w Jeleniej Górze jest ppłk w st. spocz. Zdzisław Kowal.

Wśród pełniących różne funkcje w kolejnych kadencjach Zarządu Wojewódzkiego, a następnie Rejonowego aktywnością wyróżnili się następujący członkowie:

W komisji rewizyjnej:

- ppłk rez. Kazimierz Jabłoński,
- mjr rez. Jan Szablowski,
- ppłk w st. spocz. Stefan Muczek,
- ppłk w st. spocz. Ryszard Liszewski,
- chor. szt. rez. Konstanty Trochimiak;

W Sadzie Koleżeńskim:

- ppłk w st. spocz. Józef Jurczyński,
- ppłk w st. spocz. Henryk Dziedzic,
- ppłk w st. spocz. Wiesław Pawłowski,
- płk rez. Józef Galicki;

W komisji społecznej:

- ppłk w st. spocz. Zygmunt Wójcik.

W działalności Związku istotne znaczenie ma liczba i aktywność zrzeszonych członków w poszczególnych kółach. I tak w początkowym okresie - czyli I kadencji - Zarządowi Wojewódzkiemu podlegało 10 kół o następującej liczebności:

Bolesławiec:

- Koło nr 1 przy JW 4355 - 27 członków,
- Koło nr 2 przy WКУ - 26 członków,
- Koło nr 3 przy J W 1259 - 13 członków;

Jelenia Góra:

- Koło nr 4 przy WOSR - 21 członków,
- Koło nr 5 przy JW 2773 - 45 członków,
- Koło nr 6 przy WКУ - 26 członków;

Szklarska Poręba:

- Koło nr 7 przy bat. WOP - 16 członków;

Lubań Śląski:

- Koło nr 8 przy Łużyckiej Brygadzie WOP - 34 członków;

Zgorzelec:

- Koło nr 9 przy bat. WOP - 53 członków,
- Koło nr 10 przy JW 2335 - 37 członków.

Łącznie w województwie w tym czasie Związek liczył 311 członków.

W następnych kadencjach stan członków wzrastał, by na przełomie lat 2001-2002 osiągnąć liczbę 674. Niestety, od tego czasu liczebność Związku gwałtownie zmniejsza się. Na dzień dzisiejszy ma on w całym rejonie 239 członków. Zjawisko tym bardziej zastanawiające, że w wyniku likwidowanych jednostek znacznie w rejonie wzrosła liczba oficerów, cho-

rażych i podoficerów zwalnianych do rezerwy. Jednak niewielu z nich decyduje się na wstąpienie w szeregi Związku.

4. Działalność ZBZZ w latach 1981 – 1989

Początek tego okresu to przede wszystkim wprowadzenie w kraju stanu wojennego. Całą Polskę ogarnęła fala strajków i niekończących się protestów społecznych. Groziło to kompletną dezorganizacją gospodarki i destabilizacją bezpieczeństwa państwa.

Poszczególne struktury organizacyjne i członkowie naszego Związku z racji swych doświadczeń życiowych czuli się zobowiązani do aktywnego włączenia się do różnych form działalności mającej na celu nie dopuszczenie do tragedii narodowej. Mimo wielu krytycznych uwag pod adresem ówczesnej władzy większość z nas opowiedziała się po stronie tejże władzy. Wielu Dzisiejszych członków ZBZZIOR WP w tamtych latach pełniło czynną służbę wojskową i już przez ten fakt zostało włączonych do różnych struktur realizujących zadania stanu wojennego. Spora część członków pełniła różne funkcje kontrolno-nadzorcze w ogniwach administracji państwowej i samorządowej, w zakładach pracy, przedsiębiorstwach, aż na PGR kończąc. Jak większość z nich dziś wspomina tamte wydarzenia - kierowała nimi idea zapobieżenia złu, a nie jakaś ubzdurana przez krytyków wojna z narodem. Nie mieliśmy - na szczęście - w naszym województwie tak drastycznych konfliktów - jak w Kopalni „Wujek” czy w Lubinie, gdzie w starciach zginęli ludzie.

Był to również okres pogarszającej się sytuacji gospodarczej, a to ujemnie rzutowało na warunki socjalno-bytowe emerytów. Dlatego poszczególne Zarządy Kół podejmowały działania wspólne z dowództwami jednostek wojskowych by zorganizować pomoc materialną najbardziej potrzebującym - chodziło głównie o dystrybucję towarów konsumpcyjnych od żywności zaczynając, a na sprzęcie gospodarstwa domowego kończąc.

Doświadczenia stanu wojennego - co może się wydawać wręcz skakujące - wpłynęły korzystnie na dalszą działalność naszego Związku. Wzmocniły się jego struktury organizacyjne, zdobył doświadczenie działania w trudnych okolicznościach, zwłaszcza w skomplikowanej sytuacji społeczno-politycznej w kraju. Nauczono się organizowania pomocy potrzebującym kolegom i ich rodzinom.

Zjawisko tzw. starego portfela emerytalnego zepchnęło wielu emerytów wręcz w skrajną biedę materialną. Toteż dla nich wstąpienie do ZBZZ dawało jakąś nadzieję na skuteczniejsze zabiegi o poprawę sytuacji.

Okres od zakończenia stanu wojennego do końcówki lat 80-tych nie zapisał się w naszej pamięci jakimiś szczególnymi wydarzeniami.

Zarząd Wojewódzki i poszczególne koła koncentrowały się na bieżącej działalności. Wspólnie z patronackimi jednostkami wojskowymi organizowano uroczystości rocznicowe, imprezy o charakterze wojskowo-obronnym (np. zawody strzeleckie), wycieczki historyczno - turystyczne. Najwięcej czasu i wysiłku zajmowały sprawy socjalno - bytowe.

5. Nastroje i postawy członków ZBZZ wobec transformacji ustrojowej

Przemiany ustrojowe zapoczątkowane na przełomie lat 1989/90 wywołały w naszym środowisku sprzeczne reakcje. Jedni członkowie wyrażali zadowolenie i nadzieję, że wreszcie zmierzamy we właściwym kierunku. Inni natomiast byli pełni pesymizmu i z niepokojem patrzyli na nadchodzącą niepewną przyszłość.

Historia potoczyła się tak, że przemianom ustrojowym w Polsce sprzyjały równoległe dokonujące się zmiany u sąsiadów. Najważniejsze, że stopniowo znikła groźba jakiegokolwiek interwencji z zewnątrz. Niestety, tym pomyślnym przeobrażeniem towarzyszyło znowu wyraźne pogorszenie się sytuacji materialnej emerytów i rencistów wojskowych. W organach rządowych państwa coraz bardziej dochodzili do głosu radykalni przeciwnicy wszystkiego co wiązało się z PRL-em.

Żołnierze zawodowi LWP i emeryci wojskowi stawali się obiektem niewybrednych ataków, aż po stwierdzenia w rodzaju, że byliśmy wojskiem „polskojęzycznym”. W tym opluwaniu munduru pomijano fakt, że służyliśmy Ojczyźnie takiej i w takich warunkach, jakie nam „zafundowali” sojusznicy z czasów II wojny światowej.

Członkowie ZBZZ bardzo przeżywali lekceważący stosunek do nas ze strony kolejnych ministrów obrony narodowej i kolejnych ekip rządowych. Do tego doszły manipulacje przy świadczeniach emerytalno - rentowych. W latach 1993 - 94 wszystkie struktury od zarządów kół po Zarząd Rejonowy ZBZZ podejmowały oficjalne przeciwdziałania tym negatywnym zapędom władz. Podejmowano odpowiednie uchwały, wysyłano pisma protestacyjne do prezydenta RP, do Sejmu, Senatu i Rządu.

Niestety, w większości nie było na nie żadnej reakcji ówczesnych władz państwowych. Pod koniec lat 90 - tych Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji wystąpiło z propozycją likwidacji Wojskowych Biur Emerytalnych i powołania w to miejsce Urzędu ds. Zaopatrzenia Emerytalnego

Służb Mundurowych - czyli wrzucenia wszystkich do jednego worka. Od razu stało się jasne, że to kolejna próba zepchnięcia emerytów wojskowych do jeszcze gorszego poziomu życia. Poszczególne koła i Zarząd Rejonowy zgodnie podjęły uchwały popierające Zarząd Główny w akcji protestacyjnej. Tym razem skutecznej, bo rząd wycofał się z pomysłu tworzenia urzędu wspólnego dla wszystkich służb mundurowych.

Zarząd Rejonowy wielokrotnie kierował do władz centralnych państwa negatywne opinie o krzywdzącej nas waloryzacji emerytur i rent, a także wobec wprowadzanej w 1999 roku reformy ubezpieczeń zdrowotnych. Niestety, te protesty również pozostały bez echa.

6. Problemy nurtujące ZBZZIOR WP w latach 1990 – 2004

W statucie, wśród różnych celów i form działalności zarządów i kół szczególnie wyeksponowano zagadnienie warunków socjalno - bytowych, zdrowotnych i kulturalnych byłych żołnierzy zawodowych i to zarówno członków Związku jak i osób niezrzeszonych środowiska wojskowego w tym wdów i sierot po żołnierzach.

Zarówno Zarząd Rejonowy jak i poszczególne koła starają się w miarę możliwości aktywnie uczestniczyć w realizacji tych zadań.

Funkcjonujące komisje socjalne na bieżąco rozpoznają sytuację materialną i bytową oraz zdrowotną w swoim środowisku. Zbierają i opiniują wnioski o pomoc składane przez emerytów i ich rodziny znajdujące się w najtrudniejszej sytuacji życiowej. W tym miejscu trzeba wyraźnie podkreślić znaczenie współpracy Zarządu Rejonowego ZBZZ z Wojskowym Biurem Emerytalnym w Zielonej Górze. I choć poważnym utrudnieniem jest konieczność pokonywania odległości prawie 150 km (koszt przejazdu jest tylko częściowo rekompensowany przez WBE), mimo to członkowie Zarządu Rejonowego starają się jak najlepiej wywiązać z tego obowiązku statutowego. Tak jak przez szereg lat tej dziedzinie pracy wiele uwagi poświęcał ówczesny prezes Zarządu Rejonowego mjr w st. spocz. Edward Kowalezyk, tak obecnie równie ofiarnie pracują prezes ZR ppłk w st. spocz. Zdzisław Kowal i przewodniczący komisji socjalno - bytowej ppłk w st. spocz. Zygmunt Wójcik. Oni codziennie są do dyspozycji kolegów w biurze Zarządu.

Za ten rodzaj działalności również na wyróżnienie zasługują następujący członkowie:

- ppłk w st. spocz. Ignacy Kwik - prezes Kołca nr 1 w Bolesławcu,

- ppłk w st. spocz. Włodzimierz Markowski - prezes Koła nr 2,
- ppłk w st. spocz. Wiesław Pawiowski - prezes Koła nr 3,
- mjr rez. Tadeusz Smoliński - prezes Koła nr 4 w Jeleniej Górze,
- chor. rez. Janusz Śliwiński - prezes Koła nr 5 w Jeleniej Górze,
- kpt. w st. spocz. Kazimierz Filipiak - prezes Koła nr 7 w Szklarskiej Porębie,
- chor. w st. spocz. Stefan Potacki - prezes Koła nr 9 w Zgorzelcu.

Wymienieni działacze w każdym roku rozpatrują społecznie setki spraw indywidualnych, by w zgodzie z rzeczywistością udzielić poparcia tym, którzy najbardziej tego potrzebują. A trzeba dodać, że w kwestiach zapomóg działalność ZBZZ obejmuje nie tylko członków naszego Związku, ale również osoby niezrzeszone środowiska wojskowego i członków innych stowarzyszeń.

Jak ta forma działalności będzie wyglądała w przyszłości na razie trudno powiedzieć, bo od stycznia 2005 roku przechodzimy na zaopatrzenie Wojskowego Biura Emerytalnego we Wrocławiu.

W bieżącej działalności ZBZZiOR WP istotne znaczenie ma bezpośredni kontakt zarządów i kół z dowództwami patronackich jednostek i instytucji wojskowych. W minionych latach - dawaliśmy temu wyraz w podejmowanych uchwałach lub publikacjach - bardzo dobrze układała się współpraca w takich garnizonach jak Bolesławiec, Lubań i Jelenia Góra.

Za bardzo ważne dla nas uznaliśmy podpisane 6 kwietnia 2004 roku porozumienie o współpracy między Ministrem Obrony Narodowej, a Stowarzyszeniami i Fundacjami - w tym składzie jest również ZBZZiOR WP. W paragrafie 4. jest wyraźne stwierdzenie, że resort obrony narodowej poprzez instytucje i jednostki wojskowe obejmuje patronat nad ogniwami organizacyjnymi Stowarzyszeń, a w punkcie 4. tego paragrafu jest mowa o udostępnianiu pomieszczeń, sprzętu i środków łączności do działalności statutowej organizacji.

Niestety, rzeczywistość w wielu przypadkach bardzo odbiega od tych sformułowań w oficjalnym dokumencie, zwłaszcza ma to miejsce tam, gdzie są likwidowane jednostki wojskowe. W maju 1998 roku został rozwiązany 11 Bolesławiecki Pułk Przeciwlotniczy, a działające przy nim Koło nr 3 ZBZZiOR WP jako jednostkę patronacką, decyzją przełożonych, otrzymało 4 Pułk Przeciwlotniczy w Czerwieńsku koło Zielonej Góry.

Jeszcze gorzej sytuacja kół przedstawia się w Jeleniej Górze, która przez dziesięciolecia była znaczącym garnizonem na Dolnym Śląsku. Kilka lat temu na szczeblu centralnym podjęto decyzję o likwidacji Wyższej

Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej i powołania w jej miejsce Centrum Szkolenia Radioelektronicznego. Następnie zlikwidowano 18 Karkonoski Pułk Przeciwlotniczy. W roku 2004 również i Centrum uległo likwidacji. Jedyną instytucją o charakterze wojskowym, w tak dużym niegdyś garnizonie, będzie tylko Wojskowa Komenda Uzupelnień. Obiektami po byłych koszarach dysponuje Agencja Mienia Wojskowego, która organizuje akcje przetargowe i ich sprzedaż. Koło nr 4 ZBZZIOR WP, które przez ponad 20 lat istnienia za patrona miało WOSR, a potem CSR nagle znalazło się w takiej sytuacji, że nie ma miejsca na odbywanie zebrań. Jest wręcz paradoksem sytuacja, w której byli oficerowie znanej uczelni wojskowej muszą zabiegać u miejscowych organizacji czy partii politycznych o udostępnienie sali konferencyjnej.

Zarząd Rejonowy Związku na razie korzysta z lokalu przydzielonego przez Oddział Regionalny Wojskowej Agencji Mieszkaniowej - ale i tu przewiduje się likwidację obiektu.

Żeby jakoś bronić się przed zupełną degradacją i zepchnięciem w zapomnienie, działające w mieście organizacje nawiązały bliższe kontakty i współpracę. Tu trzeba wyrazić uznanie Kolegom z Jeleniogórskiego Stowarzyszenia Radiotechników „RADAR”, którzy podjęli inicjatywę utworzenia czegoś, co byłoby materialnym świadectwem wieloletniego życia garnizonu. Do tej inicjatywy przyłączył się nasz Związek, a także działające w mieście koło Związku Żołnierzy LWP.

W dniu 16 czerwca 2003 roku odbyło się założycielskie zebranie Komitetu Rozbudowy Skansenu Uzbrojenia Wojska Polskiego w Jeleniej Górze. Wykorzystano istniejący jeszcze z czasów 18 Karkonoskiego Pułku Przeciwlotniczego niewielki teren przystosowany do celów plenerowej ekspozycji zgromadzonego sprzętu bojowego, głównie obrony przeciwlotniczej. Za zgodą Agencji Mienia Wojskowego teren ten trochę powiększono i udostępniono na cele muzealne budynek po biurze przepustek. Skansen jest oddziałem Muzeum Karkonoskiego, które dzielnie radzi z utrzymaniem dotychczasowej ekspozycji i rozbudowie nowej. Urządzono stałą wystawę o historii garnizonu jeleniogórskiego i organizowane są wystawy czasowe.

Przez kilka tygodni członkowie wcześniej wymienionych organizacji porządkowali rejon skansenu. Przy pomocy żołnierzy CSR, pracowników MPGK i niezbędnego sprzętu udało się w zasadzie wykonać zaplanowane przedsięwzięcia.

W pracy społecznej na rzecz muzeum wyróżnili się: gen. bryg. Bronisław Peikert, płk Józef Piekarczyk, płk Andrzej Rogalski, płk Kazimierz

Stachowicz, płk Jerzy Górski, ppłk Stanisław Matejuk, ppłk Zdzisław Kowal, ppłk Zygmunt Wójcik, ppłk Wawrzyniec Pióro, mjr Tadeusz Smoliński, st. chor. sztab. Jan Ginowicz. Pomocy również udzielił płk Jerzy Balcerkowski i ppłk Andrzej Nawrot, który stawiał się w jedną z sobót z grupą strażaków OSP.

Skansen stał się miejscem organizowania ważnych uroczystości rocznicowych. Już w październiku 2003 roku z udziałem Ministra Obrony Narodowej Jerzego Szmajdzińskiego i władz miasta oraz powiatu zorganizowano uroczystości 60 – tej rocznicy bitwy pod Lenino.

Z jeszcze większym rozmachem zorganizowano uroczystości zakończenia działalności Centrum Szkolenia Radioelektronicznego w dniu 14 maja 2004 roku.

Okazało się, że po likwidacji garnizonu taki obiekt może być miejscem okolicznościowych spotkań weteranów, a także lekcji wychowania patriotycznego młodych pokoleń.

I jeszcze jedno ważne doświadczenie - mimo początkowych trudności - stało się możliwe wspólne działanie takich organizacji jak naszego ZBŻ-ZiOR WP, Stowarzyszenia Żołnierzy Radiotechników „RADAR”, Związku Żołnierzy LWP oraz Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych.

7. Podsumowanie

W związku ze zbliżającą się 25 rocznicą powstania ZBŻZiOR WP wśród działaczy i członków jest chęć dokonania jak najrzetelniejszego bilansu naszej działalności. Można postawić pytanie - czy 25 lat istnienia to dużo czy mało? Jeśli odnieść do życiorysów wielu naszych członków, którzy służbę wojskową pełnili po 35 i więcej lat, to ten okres 25-letni nie jest aż tak długi. Ale jeśli uwzględnić wszystko to, co w tych latach przeżyliśmy, czego doświadczyliśmy, jest to okres czasu bogaty w historyczne wydarzenia. Związek nasz powstał w warunkach ustrojowych PRL. Wtedy Polska była członkiem RWPG pod względem gospodarczym i w Układzie Warszawskim pod względem polityczno-militarnym. Obie instytucje były zdominowane przez ZSRR. Wtedy naszym przeciwnikiem gospodarczym była EWG, a militarnym NATO. Dziś już Układu warszawskiego i RWPG nie ma, a Polska jest stała się członkiem Unii Europejskiej i NATO. Cała transformacja ustrojowa, rozpad tamtych struktur międzynarodowych i wchodzenie do tych, które przez wiele lat były nam przeciwnie to wielkie przemiany

historyczne. W tych przemianach ustrojowych większość naszych struktur związkowych i członków aktywnie uczestniczyło. Nie było w naszych szeregach jakiejś euforii, czy tego co popularnie nazywamy oszołomstwem. Dzięki doświadczeniu i powadze traktowania dokonujących się przemian i Związek i my wszyscy zachowaliśmy godne postawy patriotyczne, społeczne, obywatelskie.

Żałujemy tylko, że cała ta transformacja ustrojowa - jak dotychczas - nie wpłynęła znacząco na poprawę naszego poziomu życia pod względem materialnym i socjalnym. Wręcz odwrotnie, w wielu przypadkach obserwujemy pogarszanie się nastrojów właśnie w związku z narastającym ubóstwem wielu emerytów, rencistów i ich rodzin.

Również krytycznie trzeba widzieć przyszłość naszej działalności zwłaszcza tam gdzie są likwidowane instytucje i jednostki wojskowe sprawujące patronat i wspierające działalność Związku.

Rozpoczynająca się kampania sprawozdawczo-wyborcza w kołach i przyszłoroczny kolejny VII Krajowy Zjazd Delegatów będą musiały wypracować takie formy działania, które powstrzymają narastanie negatywnych zjawisk.



Trzeba również zastanowić się nad wzrostem liczebności naszego Związku. W zasięgu działania Zarządu Rejonowego ZBZZiOR WP żyje kilka tysięcy byłych żołnierzy zawodowych, a z nich tylko niewielka część należy do naszego Związku lub do innych stowarzyszeń.

Kolejny ważny wniosek - zastanowić się nad tym jak realizować statutowe zadanie, potwierdzone w Porozumieniu MON ze Stowarzyszeniami - o popularyzowaniu tradycji i historii oręża polskiego, kształtowaniu patriotycznych i proobronnych postaw młodzieży szkolnej. To co w ostatnich latach się dzieje - jest kompletnym zaprzeczeniem tego szczytnego celu działania.

Wypada również stwierdzić, że przez 25 lat istnienia przez szeregi naszego Związku przewinęły się setki emerytów i rencistów wojskowych. Niestety, wielu z nich nie doczekało obchodów jubileuszu, oto nazwiska

tych, którzy wnieśli znaczący wkład pracy w Zarządach Wojewódzkim i Rejonowym oraz w kołach:

- mjr w st. spocz. Edward Kowalczyk,
- ppłk rez. Ryszard Nierodko,
- mjr rez. Jan Korościk,
- ppłk rez. Stefan Gawel,
- ppłk w st. spocz. Jan Mierzwa,
- ppłk w st. spocz. Alojzy Rygielski,
- ppłk w st. spocz. Ludwik Murczak,
- ppłk w st. spocz. Czesław Pietras,
- płk w st. spocz. Czesław Kozłowski,
- chor. w st. spocz. Julian Drzymała.

Niestety, czas płynie nieubłaganie i każdego roku wielu naszych kolegów odchodzi na wieczną wartę.

Ciągle pozostaje otwartym pytanie - co w naszym Związku należałoby uczynić, aby stał się bardziej atrakcyjnym, przyciągającym nowych członków, zwłaszcza młodszych wiekiem emerytów wojskowych, bo przecież ich liczba znacznie się powiększa, zwłaszcza tam, gdzie są likwidowane jednostki wojskowe.





Zdjęcie z 1955 roku, wykonane w „Beniaminowie” nad Narwią. Od lewej: ppor. Zygmunt Wójcik, nie znany podchorąży i plut. pchor. Józef Piekarczyk. Zygmunt Wójcik w tym czasie był dowódcą plutonu.



Na zdjęciu: płk dr hab. Adolf Stachula, wówczas szef Katedry Nauk Humanistycznych w WOSR. Zdjęcie wykonane na początku lat dziewięćdziesiątych.

OBRONA POWIETRZNA POLSKI W LATACH 1945 – 1992

1. PRZEMIANY ORGANIZACYJNE I STRUKTURALNE SIŁ OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ POLSKI W LATACH 1945 – 1992

Zakończenie drugiej wojny światowej spowodowało dość istotne zmiany w charakterze zadań i strukturach sił zbrojnych państw biorących czynny udział w wojnie. W konsekwencji powstałej sytuacji z zasady wszystkie armie świata, w tym i Wojsko Polskie przechodziły na stopę pokojową. Przejście na stopę pokojową oznaczało nie tylko zmniejszenie stanów osobowych, ale także, zmuszało do szukania rozwiązań w zakresie bezpieczeństwa i obronności państwa. Szczególne miejsce zajmowała obrona powietrzna danego kraju wobec zagrożenia ze strony coraz doskonalszych środków napadu powietrznego.

W Polsce po zakończonych działaniach wojennych i zmianach terytorialnych problem organizacji obrony przeciwlotniczej na obszarze kraju rozpatrywany był w zasadzie już od połowy maja 1945 roku. Mimo przedstawiania wielu koncepcji i propozycji uwzględniających stan ekonomiczny państwa, przez pierwsze pięć lat od zakończenia wojny, do utworzenia systemu obrony przeciwlotniczej nad obszarem Polski nie doszło. Twórcy przedkładanych koncepcji przez wiele lat nie zdołali przekonać kierownictwo Ministerstwa Obrony narodowej o konieczności utworzenia jednolitego systemu obrony przeciwlotniczej Polski. Istotną przeszkodą utworzenia jednolitego systemu obrony przeciwlotniczej Polski stanowił brak istnienia wyspecjalizowanego organu dowodzenia obroną przeciwlotniczą.

W omawianym czasie funkcjonował jedynie oddział OPL przy Dowództwie Artylerii WP. Oddział ten już w maju 1945 r. przedłożył Naczelnemu Dowódcy WP koncepcję obrony przeciwlotniczej Polski. Koncepcja ta przewidywała organizację obrony przeciwlotniczej Polski w oparciu o powstałe wówczas okręgi wojskowe. W każdym z nich obroną przeciwlotniczą kierować miał dowódca obrony przeciwlotniczej okręgu wojskowego, w gestii którego znajdować się miały środki aktywne walki jak i bierne miejscowej ludności. Projektowana struktura organizacyjna przewidywała centralne kierowania obroną przeciwlotniczą na obszarze kraju, którą dowodzić miał Naczelny Dowódca WP poprzez dowódcę wojsk OPL bezpo-

średnio kierującego obroną przeciwlotniczą okręgów wojskowych. Ważne znaczenie w całokształcie obrony przeciwlotniczej miał spełniać system wykrywania i powiadamiania, podstawę tego systemu stanowiłyby trzy pułki obserwacyjne - meldunkowe rozmieszczone w Poznaniu, Warszawie i Krakowie. Organizację lotnictwa myśliwskiego oparto na 18 pułkach, które wejść miały w skład czterech dywizji lotnictwa myśliwskiego, a dowództwa tych dywizji rozmieszczono w Warszawie, Krakowie, Toruniu i Poznaniu. Natomiast obronę punktową ważnych obiektów Warszawy, Katowic, Poznania i Łodzi uzupełnić miała artyleria przeciwlotnicza zorganizowana w 7 pułkach artylerii przeciwlotniczej.

Okres przechodzenia wojska na stopę pokojową nie sprzyjał ani nie stworzył korzystnego klimatu nad podjęciem prac organizacyjnych i utworzenia od podstaw nowego rodzaju sił zbrojnych w zakresie obrony przeciwlotniczej Polski.

Druga koncepcja powstała w lipcu 1946 r. stanowiła uzupełnienie pierwszej koncepcji i zakładała głównie rozwój artylerii przeciwlotniczej, dla potrzeb obrony przeciwlotniczej kraju na lata 1947 - 1948. Wraz z rozwojem organizacyjnym jednostek artylerii przeciwlotniczej, na początku 1947 roku przewidywano utworzenie przy Inspektoracie Artylerii WP, Inspektoratu Obrony Przeciwlotniczej z Inspektorem Obrony Przeciwlotniczej Kraju na czele. W skład tego inspektoratu wchodzić miały dwa wydziały: Wydział Obrony Przeciwlotniczej Czynnej i Wydział Obrony Przeciwlotniczej Biernej. Powyższy projekt organizacji obrony przeciwlotniczej państwa nie został zrealizowany.

Kolejna trzecia koncepcja opracowana została we wrześniu 1946 roku. Zakładała ona stopniowy rozwój obrony przeciwlotniczej Polski w latach 1947 - 1951. W ciągu kolejnych pięciu lat zamierzano zbudować system obrony powietrznej państwa i dopiero pod koniec 1952 roku osiągnąć odpowiednie nasycenie aktywnymi środkami walki najbardziej newralgiczne obiekty, do których zaliczono: Warszawę, Łódź, Katowice, Gdańsk, Wrocław, Szczecin i Poznań. W pierwszym roku realizacji tej koncepcji zamierzano zorganizować załóżki przyszłych ośrodków obrony przeciwlotniczej, a w następnym roku organizację dowództw obrony przeciwlotniczych w okręgach wojskowych. Jak łatwo zauważyć kolejna koncepcja budowy systemu obrony powietrznej kraju za podstawowe ogniwo w systemie obrony przeciwlotniczej preferowała siły i środki okręgu wojskowego. Jednocześnie starano się rozbudowywać organizacyjnie te siły i środki, które bezpośrednio zaangażowane były do wykrywania i zwalczania środków napadu powietrznego przeciwnika, takie jak: lotnictwo myśliwskie, artylerię przeciwlotniczą, służbę obserwacyjno - meldunkową i łączności, reflektory przeciwlotnicze, balony zaporowe, stacje radiolokacyjne i bierną obronę

przeciwlotniczą. Do pełnego zabezpieczenia i obsługi planowanego uzbrojenia i sprzętu obrony przeciwlotniczej potrzeba było około czterdziestu tysięcy kadry i różnych specjalistów. Całością obrony przeciwlotniczej Polski miał kierować Główny Sztab Obrony Przeciwlotniczej WP.

W przedstawionej wersji koncepcja organizacji systemu obrony przeciwlotniczej Polski nie została zrealizowana. Przez kilka pierwszych lat po wojnie scieranie się różnych koncepcji i poglądów w zakresie organizacji i funkcjonowania systemu obrony przeciwlotniczej państwa spowodowało, że dopiero w 1947 roku zdołano częściowo zrealizować i zorganizować jeden z trzech istotnych elementów systemu obrony przeciwlotniczej, którym była służba obserwacyjno - meldunkowa i łączności. Nieco wcześniej, od października 1946 roku funkcjonował sztab Obrony Przeciwlotniczej Państwa, który wprawdzie bezpośrednio podlegał Głównemu Inspektoratowi Artylerii WP, przyjął jednak część zadań planistycznych i kierowniczych nad systemem łączności i służby obserwacyjno - meldunkowej. Natomiast w lutym 1947 roku Sztab Obrony Przeciwlotniczej Państwa przemianowany został na Inspektorat Obrony Przeciwlotniczej, którego koncepcje zostały wyraźnie ograniczone. Spod jego kompetencji wyłączono służbę obserwacyjno - meldunkową i łączności, jednak w późniejszym okresie zmieniono pierwotną decyzję i przywrócono kierowanie tą służbą.

Od stycznia 1949 roku zaszły istotne zmiany w organizacji służby obserwacyjno - meldunkowej i łączności na obszarze kraju. Decyzją Ministra Obrony Narodowej przystąpiono do organizowania sieci obserwacyjno - meldunkowej na terenie Polski. Obowiązek zorganizowania sieci obserwacyjno - meldunkowej spoczywał na dowódcach: Wojsk Lądowych, Wojsk Lotniczych i Marynarki Wojennej przy współpracy z ministerstwem Poczty i Telegrafów, ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego i ministerstwem Komunikacji. Obserwacja powietrzna w sieci obserwacyjno - meldunkowej miała być prowadzona przez całą dobę. We wrześniu 1949 roku przystąpiono do zorganizowania Grupy Organizacyjno - Przygotowawczej Dowództwa Obrony Przeciwlotniczej, której głównym zadaniem było usprawnienie funkcjonowania sieci obserwacyjno - meldunkowej i Głównego Posterunku Obserwacyjno - Meldunkowego Dowództwa Wojsk Lotniczych. W drugiej kolejności przystąpiono do organizacji posterunków obserwacyjno - meldunkowych kompanijnych i batalionowych rejonów obserwacyjno - meldunkowych. Pod koniec 1949 roku ostatecznie zakończono budowę podstaw obrony powietrznej Polski.

W lutym 1950 roku istniejącą Grupę Organizacyjno - Przygotowawczą Dowództwa Obrony Przeciwlotniczej przeformowano w Dowództwo Wojsk Obrony Przeciwlotniczej. Powołanie dowództwa ostatecznie zamknęło etap prac koncepcyjnych i organizacyjno - przygotowawczych które trwały

od połowy 1945 roku. W okresie tym wypracowano teoretyczne i praktyczne podstawy pod rozwój oddziałów i związków taktycznych artylerii przeciwlotniczej pododdziałów i systemu obserwacyjno - meldunkowego, wykorzystania lotnictwa myśliwskiego oraz utworzono jednolity organ dowodzenia tymi rodzajami wojsk i stworzonymi przez nich systemami.

Pewnym paradoksem był fakt utworzenia Dowództwa Wojsk Obrony Przeciwlotniczej, które w 1950 roku praktycznie nie dysponowało wystarczającą ilością sił i środków, ani też organizacyjnie ukształtowanym rodzajem wojsk zdolnych do wykonywania zadań w systemie obrony powietrznej kraju.

Utworzone Dowództwo Wojsk Obrony Przeciwlotniczej już w drugiej połowie 1950 roku rozpoczęło intensywne prace organizacyjne nad formowaniem od podstaw jednostek artylerii przeciwlotniczej, pododdziałów i systemu obserwacyjno - meldunkowego. Prace organizacyjne miały na celu utworzenie w krótkim czasie takiej liczby jednostek artylerii przeciwlotniczej i obserwacyjno - meldunkowych, aby utworzyć system obrony powietrznej kraju zdolny do wykonywania zadań bojowych. Najbardziej dynamicznie w latach 1950 - 1951 postępowały prace nad organizacją jednostek artylerii przeciwlotniczej. W drugiej połowie 1951 roku Dowództwu Wojsk Obrony Przeciwlotniczej podlegały: 7 Korpus Artylerii Przeciwlotniczej w składzie siedmiu pułków, 9 Dywizja Artylerii Przeciwlotniczej, w składzie czterech pułków i sześciu samodzielnych pułków artylerii przeciwlotniczej. Związki taktyczne i oddziały artylerii przeciwlotniczej broniły głównie następujących obiektów na obszarze kraju: Warszawy, Katowic, Chorzowa, Nowej Huty, Bytomia, Będzina, Wrocławia, Wałbrzycha, Łodzi, Poznania, Stałowej Woli, Szczecina, Bydgoszczy i Gdyni.

W październiku 1952 roku dokonano reorganizacji istniejącego korpusu artylerii przeciwlotniczej i organizacyjnie pozostawiono trzy dywizje artylerii przeciwlotniczej: 9 DAPłot w Warszawie, 13 DAPłot w Bytomiu oraz 15 DAPłot we Wrocławiu oraz cztery samodzielne pułki artylerii przeciwlotniczej w Gdyni, Nisku, Szczecinie i Bydgoszczy. Ukształtowane struktury artylerii przeciwlotniczej Wojsk Obrony Przeciwlotniczej pozostały niezmiennie przez parę następnych lat, prawie do 1960 roku.

Równoległe z trwającymi pracami organizacyjnymi artylerii przeciwlotniczej w latach 1950 - 1951, prowadzono prace organizacyjne nad utworzeniem systemu obserwacyjno - meldunkowego na obszarze kraju. Podstawę przyszłego systemu organizacyjnie tworzyły trzy bataliony obserwacyjno - meldunkowe i Główny Posterunek Obserwacyjno - Meldunkowy. Zorganizowano 25, 31 i 49 batalion obserwacyjno - meldunkowy, które tworzyły sieć posterunków na północnej, zachodniej i południowej granicy kraju, od Braniewa do Ustrzyk Górnych.

Utworzony system obserwacyjno - meldunkowy Opierał się głównie na obserwacji wzrokowej, był podstawowym i jedynym wówczas środkiem wykrawania i powiadamiania o naruszeniach obszaru powietrznego kraju i przetrwał prawie do połowy 1952 roku. Dopiero w maju 1952 roku rozpoczęto formowanie pierwszego pułku radiotechnicznego o mieszanej strukturze organizacyjnej, kompanii radiotechnicznych i obserwacyjno - meldunkowych. Był to 8 samodzielny pułk obserwacyjno - meldunkowy. Od tego roku rozpoczęta została reorganizacja pododdziałów obserwacyjno - meldunkowych i trwała przez kilka następujących lat prawie do 1958 roku. Miała na celu wyeliminowanie pododdziałów i systemu obserwacyjno - meldunkowego przez zastąpienie go pododdziałami i oddziałami radiotechnicznymi.

W latach 1950 - 1954 lotnictwo myśliwskie organizacyjnie nie wchodziło w skład Wojsk Obrony Przeciwlotniczej i po 1952 roku również nie podlegało Wojskom Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju, a bezpośrednio podlegało Dowództwu Wojsk Lotniczych. Niezależnie od występujących kompetencji i podległości Dowództwo Wojsk Lotniczych dla potrzeb systemu obrony powietrznej kraju wydzieliło trzy dywizje lotnictwa myśliwskiego: 5, 7 i 10 DLM każda w składzie trzech pułków lotnictwa myśliwskiego. Dowództwa dywizji i pułków rozmieszczono następująco: w Warszawie, Łęczycy, Krakowie, Mierzęcicach i w Babich Dołach.

W latach 1950 - 1952 nastąpiły zmiany organizacyjne w Dowództwie Wojsk Obrony Przeciwlotniczej, które przemianowano na Dowództwo Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju. Jednocześnie zwiększono jego kompetencje i zakres odpowiedzialności za stan bezpieczeństwa obszaru powietrznego kraju. W ramach dowództwa w latach 1952 - 1954 toczył się spór kompetencyjny o podporządkowanie lotnictwa myśliwskiego Dowództwu Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju. W październiku 1954 roku Minister Obrony Narodowej podjął decyzję o połączeniu obu rodzajów sił zbrojnych i utworzono jeden rodzaj sił zbrojnych i jedno dowództwo - Wojska Lotnicze i Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju. Połączone wojska i dowództwa przetrwały do kwietnia 1962 roku. Istotą dokonanych zmian organizacyjnych było utrzymanie kierunków rozwoju lotnictwa, artylerii przeciwlotniczej i wojsk radiotechnicznych. Mimo pierwotnych założeń organizacyjnych i rozwojowych w ramach połączonych wojsk, najbardziej jednak dynamicznie rozwijało się lotnictwo myśliwskie, bombowe, szturmowe i wojska radiotechniczne. Wymienione rodzaje wojsk były przezbrajane i wyposażane w sprzęt techniczny nowszej generacji i przechodziły wówczas tzw. drugą modernizację techniczną. Natomiast zupełna stagnacja wystąpiła w związkach taktycznych i oddziałach artylerii przeciwlotniczej, od 1957 roku pozostały one w pierwotnym składzie organizacyjnym i wyposażeniu technicznym. Jedynie w tym czasie na wyposażenie artylerii wprowadzono artyleryjskie stacje radiolokacyjne.

W latach 1957 – 1958 nastąpił widoczny postęp w rozwoju wojsk obrony przeciwlotniczej, lotnictwie myśliwskim i w systemie wykrywania. Jednocześnie nagromadziło się wiele nowych problemów w dowodzeniu wojskami, szkoleniu kadr i szkoleniu wojsk. W celu usprawnienia dowodzenia w lipcu 1957 r. podjęto decyzję o organizacji Korpusów OPL OK., jako związków operacyjno – taktycznych. Korpusy OPL OK przeznaczone zostały głównie do realizacji kompleksowych zadań obrony określonych rejonów kraju przed rozpoznaniem, uderzeniami i dywersją przeciwnika z powietrza. Utworzono wówczas trzy związki operacyjno - taktyczne: 1, 2 i 3 Korpus OPL OK. Powstały one na bazie dowództw trzech dywizji lotnictwa myśliwskiego. Dowództwa Korpusów OPL OK rozmieszczono następująco: 1. – w Warszawie, 2. - w Bydgoszczy i 3. - we Wrocławiu. Zorganizowane Korpusy przejęły dowodzenie jednostkami artylerii przeciwlotniczej, pułkami lotnictwa myśliwskiego i oddziałami radiotechnicznymi. W pierwszych latach istnienia Korpusów, spełniały one pośrednie ogniwo dowodzenia i stanowiły pierwszy etap reorganizacji Wojsk Lotniczych i Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju, a w 1962 roku stały się podstawą organizacji i funkcjonowania Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. W swojej istocie przetrwały do końca 1992 roku.

Niezależnie od roli i funkcji Korpusów, jaką spełniały i nadal spełniają w systemie obrony kraju, przeobrażenia techniczne i organizacyjne przechodziły poszczególne rodzaje wojsk: lotnictwo myśliwskie, artyleria przeciwlotnicza i wojska radiotechniczne.

W latach 1954 - 1962 do czasu zorganizowania Korpusów lotnictwo ogólnie dysponowało czternastoma pułkami lotnictwa myśliwskiego, trzema pułkami lotnictwa bombowego i sześcioma pułkami lotnictwa szturmowego. Powstanie Korpusów spowodowało rozdzielenie pułków lotnictwa myśliwskiego, część pułków organizacyjnie weszło w ich struktury, a część podporządkowana została powstałym później Wojskom Lotniczym. W latach 1958 - 1962 lotnictwo myśliwskie wchodzące organizacyjnie w skład Korpusów zachowało strukturę pułkową, taka struktura utrzymana została po utworzeniu Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Pierwotnie lotnictwo myśliwskie podporządkowane Korpusom składało się z jedenastu pułków lotnictwa myśliwskiego. W miarę zachodzących zmian jakościowych liczba pułków lotnictwa myśliwskiego stopniowo zmniejszała się.

W artylerii przeciwlotniczej w latach 1954 - 1962 zmiany organizacyjne i techniczne przebiegały stosunkowo wolno i nie nadały za rozwojem lotnictwa. Dopiero w 1953 roku rozpoczęto częściowo reorganizację artylerii przeciwlotniczej wraz z utworzeniem korpusów, rozformowano jedynie 15 DAPlot, a jej pułki przemianowano na samodzielne pułki artylerii

przeciwlotniczej. Istniejące pierwotnie dywizje i samodzielne pułki podporządkowano poszczególnym Korpusom, które broniły wyznaczonych im obiektów.

Dopiero od 1958 roku datuje się dynamiczny rozwój artylerii przeciwlotniczej, dzieląc ją na tradycyjną artylerię lufową i raketową. Stopniowo dywizje i pułki artylerii przeciwlotniczej przezbrajano w zestawy raketowe typu ziemia - powietrze, nadając im nowy kształt organizacyjny. Podstawową jednostką bojową stał się dywizjon raketowy organizacyjnie podporządkowany dywizji lub brygadzie raketowej. Od lutego 1960 roku przystąpiono w pierwszej kolejności do reorganizacji dwóch dywizji artylerii przeciwlotniczej: 9 i 13 DAPlot, stopniowo wyposażono je w dywizjony artylerii raketowej. Dywizje te całkowicie zmieniły pierwotną strukturę organizacyjną. W wyniku trwających prac organizacyjnych do końca 1962 roku zdołano zreorganizować wspomniane dwie dywizje artylerii przeciwlotniczej w składzie szesnastu dywizjonów artylerii raketowej, czterech dywizjonów technicznych oraz Centrum Szkolenia Specjalistów Artylerii i Radiotechniki.

Organizacja jednostek raketowych stworzyła podstawę do rozwoju systemu raketowego w obronie powietrznej kraju i zakończyła pierwszy etap reorganizacji zapoczątkowany w Wojskach Lotniczych i Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju. Tym samym zmodernizowana została obrona obiektowa dwóch ważnych rejonów: Warszawy i Śląska. Stworzono podstawy do przeprowadzenia kolejnego etapu reorganizacji artylerii raketowej.

Na podobnych zasadach w latach 1954 - 1958 przebiegała reorganizacja w wojskach obserwacyjno - meldunkowych. Pod koniec 1954 roku podstawę organizacyjną tych wojsk stanowiły cztery pułki obserwacyjno - meldunkowe: 8, 14, 18 i 22, które rozmieszczono w wyznaczonych sektorach na obszarze kraju: w Bydgoszczy, Poznaniu, Wrocławiu i Zabrze. Wymienione pułki miały strukturę organizacyjną mieszaną. Składały się one z kompanii radiotechnicznych i tradycyjnych obserwacyjno - meldunkowych. Kompanie obserwacyjno - meldunkowe w systemie stanowiły rolę pomocniczą i rozmieszczono je w drugiej linii w głębi kraju. W połowie 1957 roku całkowicie rozwiązano posterunki obserwacji wzrokowej i kompanie obserwacyjno - meldunkowe. Od tego czasu cały system wykrywania i powiadamiania oparty został na pododdziałach i oddziałach radiotechnicznych.

W rezultacie prowadzonych wieloletnich prac reorganizacyjnych wojska radiotechniczne uzyskały jednolitą strukturę organizacyjną, stały się całkowicie techniczne i pod koniec 1957 roku w swoim składzie posiadały pięć pułków radiotechnicznych. W 1957 roku podjęto decyzję, a w latach 1958 - 1961 przeprowadzono kolejną reorganizację wojsk radiotech-

nicznych. Całkowitemu rozformowaniu uległo pięć istniejących pułków radiotechnicznych, na bazie których utworzono dziewięć samodzielnych batalionów radiotechnicznych. Bataliony rozmieszczono następująco: 2 batalion w Grudziądzu, 3 batalion w Sandomierzu, 6 batalion w Warszawie, 7 batalion w Lublinku K/Lodzi, 8 batalion w Słupsku, 9 batalion w Choszcznie, 14 batalion w Krakowie, 18 batalion w Poznaniu i 22 batalion we Wrocławiu. Bataliony radiotechniczne podporządkowano powstałym wówczas Korpusom OPL OK, w którym było po trzy bataliony radiotechniczne. Do 1962 roku żadnych zmian organizacyjnych nie przeprowadzono.

Natomiast od 1958 roku przygotowywano się do reorganizacji Dowództwa oraz Wojsk Lotniczych i Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju. Od tego roku działała specjalna grupa oficerów sztabu. Prace reorganizacyjne postępowały sukcesywnie i do końca 1959 roku w zasadzie zakończono prace nad ostatecznym kształtem Dowództwa Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju, jego organów kierowniczych i komórek organizacyjnych poszczególnych rodzajów wojsk. W pierwszej połowie 1962 roku z wymienionych wcześniej struktur organizacyjnych powstał samodzielny rodzaj sił zbrojnych – Wojska Obrony Powietrznej Kraju.

Wojska Obrony Powietrznej Kraju jako samodzielny rodzaj sił zbrojnych, odpowiedzialnych za całokształt obrony powietrznej państwa przetrwały do 1989 roku. Strukturę organizacyjną stanowiły trzy podstawowe rodzaje wojsk: lotnictwo myśliwskie, artyleria przeciwlotnicza lufowa i raketowa oraz wojska radiotechniczne. W skład tych wojsk weszły również istniejące Korpusy OPK, Centralne Stanowisko Dowodzenia, jednostki rozpoznania i walki radioelektronicznej, łączności i tyłowe. Struktura organizacyjna Wojsk Obrony Powietrznej Kraju ukształtowana w latach 1962 - 1970 nie uległa istotnym zmianom. W ramach poszczególnych rodzajów wojsk przeprowadzono zmiany organizacyjne, które następowały głównie pod wpływem modernizacji technicznej. Z tej przyczyny rozformowano cztery pułki artylerii przeciwlotniczej – lufowej.

W tych latach ponownie podjęto prace organizacyjne nad restrukturyzacją systemu wojsk radiotechnicznych. 2 samodzielny batalion radiotechniczny przeformowano na 12 pułk radiotechniczny, a 14 batalion na 19 pułk radiotechniczny. Tym samym wojska radiotechniczne posiadały mieszaną strukturę organizacyjną, w której funkcjonowały jeszcze do pierwszej połowy lat 70 -tych.

W Wojskach Obrony Powietrznej Kraju kolejne zmiany organizacyjne nastąpiły w latach 1970 - 1975, głównie w artylerii raketowej i lufowej, wojskach radiotechnicznych i lotnictwie myśliwskim. W wyniku wieloletnich działań organizacyjnych do 1972 roku Wojska Obrony Po-

wietrznej Kraju osiągnęły znaczący potencjał sił i środków. Organizacyjnie w skład ich wchodziło: dziewięć pułków lotnictwa myśliwskiego, dwie dywizje, dwie brygady i jeden pułk artylerii raketowej (o łącznym składzie czterdziestu dywizjonów artylerii raketowej i sześciu dywizjonów technicznych), cztery skadrowane pułki artylerii przeciwlotniczej i pięćdziesiąt pięć baterii artylerii przeciwlotniczej; pięć pułków i dwa samodzielne bataliony radiotechniczne oraz jednostek rozpoznania i przeciwdziałania radioelektronicznego. Wymienione siły zaliczano do aktywnych jednostek bojowych.

W latach 1973 – 1975 przeprowadzono poważne prace reorganizacyjne w wojskach radiotechnicznych, które do końca 1975 roku w zasadzie zakończono. Rozformowano ponownie uległy pułki radiotechniczne, w ich miejsce zorganizowano trzy brygady radiotechniczne, po jednej w każdym korpusie OPK. Brygady radiotechniczne przyjęły strukturę batalionową. Ten system organizacji wojsk radiotechnicznych przetrwał najdłużej i okazał się najtrwalszy.

W artylerii raketowej, w omawianym okresie poważniejszych zmian organizacyjnych nie przeprowadzono, natomiast ciągle wzrastała liczba nowych dywizjonów raketowych w obu brygadach raketowych na wybrzeżu. Do końca 1975 roku każda brygada posiadała po dwanaście dywizjonów raketowych w swoim składzie organizacyjnym. Natomiast w tym czasie rozwiązano wszystkie pułki artylerii przeciwlotniczej, których sprzęt artyleryjski posłużył do zorganizowania nowych baterii osłonowych.

Pod koniec 1980 roku organizacyjnie artyleria raketowa zorganizowana była w dwie dywizje, dwie brygady i jeden pułk artylerii raketowej, które na głównych kierunkach operacyjnych posiadały 54 dywizjony artylerii raketowej. W połowie lat 80-tych przystąpiono do reorganizacji związków taktycznych i oddziałów artylerii raketowej, wynikiem której było ujednoczenie struktury organizacyjnej i utworze czterech brygad i dwóch pułków artylerii raketowej. Po 1988 roku na skutek starzenia się sprzętu i zestawów raketowych sukcesywnie zaczęto zmniejszać liczbę dywizjonów raketowych.

W lotnictwie myśliwskim większych zmian organizacyjnych nie przeprowadzono, jedynie dokonano reorganizacji wewnętrznej. Wszystkie pułki lotnictwa myśliwskiego z organizacji trzyeskadrowej przeszły na dwueskadrową strukturę organizacyjną. Sukcesywnie wprowadzanie na uzbrojenie samolotów nowszej generacji i wycofywanie starych typów, zmniejszyło liczbę pułków lotnictwa myśliwskiego OPK. Szczególnie proces ten uwidocznił się po 1980 roku. Nowa jakość w lotnictwie myśliwskim wystąpiła po 1989 roku, kiedy nastąpiło ponowne połączenie WL i WOPK i utworzenie Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej.

W latach 1962 - 1989 wojskom OPK podlegały trzy podstawowe rodzaje wojsk: lotnictwo myśliwskie, przeciwlotnicza artyleria lufowa i raketowa, wojska radiotechniczne oraz elementy zabezpieczające i szkolnictwo. Jako samodzielny rodzaj sił zbrojnych Wojska Obrony Powietrznej Kraju, w swojej funkcji i podstawowych strukturach organizacyjnych, najdłużej istniały w tym kształcie i wypełniały zadania związane z obroną powietrzną państwa. Po prawie 27 latach samodzielności, w wyniku prowadzonej restrukturyzacji, ponownie zostały połączone i od 1989 roku występują pod nazwą Wojska Lotnicze i Obrony Powietrznej.

2. PRZEOBRAŻENIA TECHNICZNE SPRZĘTU I UBRZEJENIA WOJSK OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ W LATACH 1945 – 1992

Lotnictwo myśliwskie do 1962 roku wprawdzie nie wchodziło bezpośrednio w struktury organizacyjne Wojsk Obrony Przeciwlotniczej, a później Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju, to jednak wykonywało zadania na zasadzie współdziałania, na korzyść tych wojsk.

W latach 1945 - 1951 na uzbrojeniu lotnictwa myśliwskiego znajdowały się wyłącznie samoloty o napędzie tłokowym, były to głównie samoloty JAK - 3 i JAK - 9. Dopiero w latach 1952 - 1954 całe lotnictwo, w tym lotnictwo myśliwskie przechodziło modernizację techniczną. Na uzbrojenie wprowadzono samoloty o napędzie odrzutowym. Pierwszymi typami samolotów odrzutowych, które wprowadzono na uzbrojenie pułków lotnictwa myśliwskiego, były samoloty JAK - 23 i nieco później MIG -15 oraz MIG -15 bis. Najwyżej oceniano walory taktyczne - techniczne MIGA -15 bis, którego zaliczano do najlepiej i najsilniej uzbrojonego samolotu myśliwskiego świata.

W latach 1955 - 1958 zaczęto wprowadzać na uzbrojenie samoloty odrzutowe nowszej generacji MIG -17, jednocześnie uruchomiono produkcję licencyjną samolotów LIM -1 i LIM -2, a nieco później LIM - 5. Produkcję rodzimą uruchomiono na bazie następujących typów samolotów: LIM - 1 (MIG-15), LIM -2 (MIG-15 bis), LIM -5 (MIG -1 7). Z chwilą wydzielenia części pułków lotnictwa myśliwskiego do składu organizacyjnego Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, na uzbrojenie tych pułków w początkowym okresie wchodziła różnorodna gama samolotów odrzutowych: MIG - 19, LIM - 5, LIM - 5pf, LIM - 2 a nawet LIM - 1. W latach 1965 – 1970 pułki lotnictwa myśliwskiego OPK przebrojono na bardziej nowoczesne i ujednoczone typy samolotów, którymi były MiGi – 19 różnych wersji oraz rodzina LIM –

5. W latach 1978 - 1980 dokonano ponownej modernizacji technicznej pułków lotnictwa myśliwskiego OPK. Pułki na uzbrojenie otrzymały w miarę ujednolicone typy samolotów: MIG - 21bis, MIG - 21 ME, MIG - 21 sps oraz najnowsze wówczas MIG - 23. Wymienione typy samolotów z niewielkimi zmianami przetrwały do czasów współczesnych.

Drugim ważnym rodzajem wojsk w systemie obrony powietrznej kraju pierwotnie była artyleria przeciwlotnicza lufowa a później raketowa. W początkowym okresie słabo wyposażona pod względem technicznym i jakościowym. W zasadzie od 1945 do 1958 roku na uzbrojeniu związków taktycznych i oddziałów przeważały armaty przeciwlotnicze okresu drugiej wojny światowej. W strukturach organizacyjnych występowały pułki artylerii przeciwlotniczej dwóch typów: średniego i małego kalibru. Pułki artylerii przeciwlotniczej średniego kalibru uzbrojone były w armaty 85 mm, a małego kalibru w armaty 37 mm. W latach 50 - tych podjęto próby modernizacji technicznej sprzętu i armat artylerii przeciwlotniczej, poprzez zwiększenie kalibru i zasięgu armat przeciwlotniczych. Zamierzano pułki artylerii przeciwlotniczej średniego kalibru uzbroić w armaty 100 mm, a małego kalibru w armaty 57 mm i wyposażyć je w artyleryjskie stacje radiolokacyjne SON - 9. Natomiast na początku lat 60 - tych zamierzano zorganizować pułki artylerii przeciwlotniczej dużego kalibru, uzbrojone w armaty 130 mm.

Praktyczna realizacja modernizacji technicznej i reorganizacji artylerii przeciwlotniczej przebiegała wolniej niż pierwotnie planowano. Jeszcze w 1958 roku na skutek braku nowoczesnych armat przeciwlotniczych na uzbrojeniu pułków artylerii przeciwlotniczej znalazły się armaty kalibru 100 mm i 85 mm, 57 mm i 37 mm oraz radiolokacyjne stacje artyleryjskie SON - 4, SON - 9, P - 8 i P - 10. Pomyślna sytuacja w artyleryjskim sprzęcie radiolokacyjnym hamowana była brakiem odpowiedniego sprzętu artyleryjskiego. Przy braku ogólnej koncepcji wykorzystania artylerii przeciwlotniczej, wykorzystanie jej w systemie obrony powietrznej stawiało się wątpliwe. Rok 1958 w artylerii przeciwlotniczej lufowej, w Wojskach Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju, należy uznać za kończący jej rozwój organizacyjny i techniczny. Ponieważ już w następnym okresie w latach 1958 - 1962 główny wysiłek organizacyjny skierowano na rozwój artylerii raketowej. Właśnie te lata stanowiły najbardziej dynamiczny okres rozwoju artylerii raketowej.

W roku 1960 na uzbrojenie związków taktycznych artylerii raketowej po raz pierwszy wprowadzono zestawy raketowe DWINA, a w 19623 wprowadzono nowe zestawy raketowe WOŁCHOW. Wymienione zestawy raketowe przez kilka lat były na uzbrojeniu związków taktycznych artylerii raketowej. W latach 1968 - 1970 na uzbrojenie jednostek raketowych wprowadzono nowe zestawy raketowe NEWA przeznaczone głównie do zwalczania

nia celów na małych wysokościach. Planowane wprowadzenie do systemu obrony kraju zestawów raketowych KUB nie zostało zrealizowane. W rezultacie związki taktyczne i oddziały artylerii raketowej posiadały w latach 1970 - 1975 organizację mieszaną i dysponowały zestawami raketowymi: DWINA, NEWA i WOŁCHOW. Po 1975 roku rozpoczęto stopniowe wycofywanie z uzbrojenia zestawów raketowych DWINA jako przestarzałych i nie spełniających wymogów taktyczno - technicznych. Od 1980 roku, w zasadzie na uzbrojeniu podstawowym pozostały dwa typy zestawów raketowych: NEWA i WOŁCHOW oraz wprowadzone w drugiej połowie lat 80 - tych zestawy raketowe średniego zasięgu.

Najdłużej prowadzono prace przygotowawcze nad modernizacją techniczną i najpóźniej wprowadzono urządzenia radiolokacyjne do powstałego systemu i wojsk obserwacyjno - meldunkowych. W zasadzie od zakończenia wojny do 1952 roku wojska obserwacyjno - meldunkowe prawie zupełnie nie posiadały urządzeń technicznych, ani stacji radiolokacyjnych. Wojska te były najuboższe, a technika wykrywania obcych samolotów opierała się głównie na obserwacji i podsłuchu. W 1952 roku utworzony system obserwacyjno - meldunkowy oparty na technice wzrokowej, był podstawowym i jedynym wówczas środkiem wykrywania i powiadamiania o naruszeniach obszaru powietrznego kraju. Stanowił jednak podstawę i przyczynił się do rozbudowy w następnych latach systemu radiolokacyjnego.

Dopiero od połowy 1952 roku rozpoczęto prace przygotowawcze do wprowadzenia na uzbrojenie oddziałów i pododdziałów obserwacyjno - meldunkowych stacji radiolokacyjnych i stopniowego przeprowadzania stosownych zmian organizacyjnych i technicznych. Tempo przemian uzależnione było od dwóch podstawowych czynników: posiadania odpowiedniego sprzętu radiotechnicznego i własnych kadr o specjalności radiotechnicznej. W latach 1952 - 1954 na uzbrojenie zorganizowanych oddziałów i pododdziałów radiotechnicznych weszły pierwsze stacje radiolokacyjne głównie produkcji radzieckiej: REDUT, P - 3, P - 3a i P - 20. Wieloletnie prace organizacyjne nad modernizacją techniczną wojsk radiotechnicznych w zasadzie zakończono do końca 1957 roku. Wojska te uzyskały nie tylko jednolitą strukturę organizacyjną, także częściową modernizację techniczną. W latach 1958 - 1962 wprowadzono na wyposażenie wojsk radiotechnicznych nowe typy stacji radiolokacyjnych produkcji radzieckiej: P - 25 i P - 30 oraz produkcji krajowej stację radiolokacyjną NYSA i licencyjną stację radiolokacyjną P - 35 M. Stopniowo wycofywano starsze typy stacji radiolokacyjnych produkcji radzieckiej.

Od połowy 1965 roku rozpoczęto prace adaptacyjne i eksploatacyjne w wojskach radiotechnicznych całej rodziny stacji radiolokacyjnych produkcji krajowej JAWOR. W pracy bojowej systemu radiolokacyjnego istot-

na funkcję spełniały przez prawie dwadzieścia lat stacje radiolokacyjne: JAWOR, JAWOR – M i JAWOR – M2. Decyzję o ich wycofaniu z uzbrojenia wojsk radiotechnicznych podjęto dopiero w 1992 roku. Zdecydowano się również wtedy wycofać pracujące w tym okresie stacje radiolokacyjne produkcji radzieckiej: P – 35, P – 37 i P – 40.

W drugiej połowie lat 70-tych na uzbrojenie wojsk radiotechnicznych wprowadzono także stację radiolokacyjną produkcji krajowej NAREW.

W latach 90-tych podstawowymi stacjami radiolokacyjnymi na wyposażeniu wojsk radiotechnicznych i pracy bojowej w systemie radiolokacyjnym, jest cała rodzina stacji radiolokacyjnych NUR produkcji krajowej. Radary tej rodziny należy uważać za trzecią generację urządzeń radiolokacyjnych opracowanych w kraju, które nie ustępują w swej klasie najwyższym standardom światowym.

3. SZKOLENIE KADR I SPECJALISTÓW DLA POTRZEB WOJSK OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ W LATACH 1945-1992

Odrębne zagadnienie stanowi szkolenie kadr oficerskich i różnego rodzaju specjalistów dla potrzeb wojsk i służb w: Wojskach Obrony Przeciwlotniczej, Wojskach Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju, Wojskach Lotniczych i Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju, Wojskach Obrony Powietrznej Kraju oraz Wojskach Lotniczych i Obrony Powietrznej. Ogólnie należy stwierdzić, że specyfika służby w tych wojskach wymagała i wymaga wyłącznie specjalistów na każdym stanowisku służbowym.

Szkolenie kadr oficerskich i specjalistów w zasadzie odbywało się w ramach rodzaju sił zbrojnych, ale znaczna część specjalistów kształciła się w innych szkołach oficerskich, akademiach krajowych i zagranicznych. W tym kontekście szkolenie kadr oficerskich i specjalistów należy rozpatrywać etapowo w powiązaniu z koncepcjami i funkcjonowaniem dowództw Wojsk Obrony Przeciwlotniczej w latach 1945 - 1992. Wojska Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraj i Wojska Obrony Powietrznej Kraju pod względem kształcenia kadr oficerskich i specjalistycznych nigdy nie były samowystarczalne.

Najlepsza sytuacja w kształceniu kadr oficerskich istniała w latach 1954 - 1962 w okresie funkcjonowania połączonych Wojsk Lotniczych i Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju. Celem ujednoczenia systemu kształcenia dla tych wojsk powołano Zarząd Szkół Wojsk Lotniczych i Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju. Zarządowi wówczas podlegały nastę-

pujące szkoły oficerskie i ośrodki szkolenia: Oficerska Szkoła Lotnicza im. Janka Krasickiego w Dęblinie, Oficerska Szkoła Lotnicza im. Żwirki i Wigury w Radomiu, Techniczna Oficerska Szkoła Wojsk Lotniczych im. gen. Walerego Wróblewskiego w Oleśnicy, Techniczna Szkoła Wojsk Lotniczych w Zamościu, Oficerska Szkoła Radiotechniczna w Jeleniej Górze, 6 i 9 Ośrodek Szkolenia Specjalistów Łączności w Nowym Dworze Mazowieckim i Mrągowie.

Wymienione szkoły oficerskie i ośrodki szkolenia jeszcze przez kilka następnych lat pozostawały pod wspólnym zarządem, mimo dokonanych zmian reorganizacyjnych na szczeblu rodzaju sił zbrojnych.

W drugiej połowie lat 60-tych dokonana centralnie reorganizacja szkolnictwa wojskowego, gruntownie zmieniła pierwotną strukturę kształcenia kadr oficerskich i specjalistycznych dla potrzeb Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej Kraju. W 1967 r., zgodnie z rozporządzeniem Prezesa Rady Ministrów, większość istniejących szkół oficerskich uzyskała status Wyższych Szkół Oficerskich. Z uczelni kształcących oficerów dla potrzeb Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej, w tymże roku status ten uzyskała jedynie Oficerska Szkoła Lotnicza w Dęblinie. Dopiero w 1969 r. Oficerska Szkoła Radiotechniczna w Jeleniej Górze została wyższą uczelnią. Natomiast Oficerska Szkoła Techniczno - Lotnicza w Oleśnicy takiego statusu nigdy nie uzyskała i została rozwiązana.

W roku 1967 ukształtowana została również struktura średniego wojskowego szkolnictwa, tzn. szkół chorążych. Na podstawie specjalnego zarządzania w Wojskach Lotniczych i Wojskach Obrony Powietrznej Kraju powstały następujące Szkoły Chorążych: Szkoła Chorążych Wojsk Lotniczych w Dęblinie, Szkoła Chorążych Wojsk Radiotechnicznych w Jeleniej Górze, Szkoły Chorążych Personelu Technicznego Wojsk Lotniczych w Oleśnicy i Zamościu. Ukształtowana struktura wyższego i średniego szkolnictwa wojskowego do 1972 r. pozostawała w gestii Dowództwa Wojsk Lotniczych. Do tego roku większość specjalistów na potrzeby Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej Kraju, kształcili wymienione Wyższe Szkoły Oficerskie i Szkoły Chorążych.

Wzrost zapotrzebowania na określonych specjalistów dla Wojsk Obrony Powietrznej Kraju spowodowały podporządkowanie dowództwu tych wojsk: Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej, Szkoły Chorążych Wojsk Radiotechnicznych i Ośrodka Szkolenia Specjalistów Łączności w Nowym Dworze Mazowieckim. W efekcie od 1972 roku specjalistów z zakresu radiolokacji, artylerii raketowej i łączności szkolono głównie w ramach wyższego, średniego i specjalistycznego szkolnictwa podległego Wojskom Obrony powietrznej Kraju. Dokonano równocześnie jego reorganizacji i doskonalenia.

Kadr oficerskich z dziedziny radiolokacji dostarczała głównie powstała w maju 1952 roku Oficerska Szkoła Radiotechniczna Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju. Od 1956 roku przyjęła nazwę Oficerska Szkoła Radiotechniczna, a od 1969 roku Wyższa Oficerska Szkoła Radiotechniczna.

Specjalistów do bezpośredniej obsługi sprzętu radiotechnicznego szkolono początkowo w Ośrodku Szkolenia Specjalistów Radiotechnicznych w Przasnyszu. W 1957 roku ośrodek ten przeniesiono do Jeleniej Góry i przy Oficerskiej Szkole Radiotechnicznej do 1972 roku funkcjonowała Szkoła Młodszych Specjalistów Radiotechnicznych. Przy Oficerskiej Szkole Radiotechnicznej zorganizowano również Podoficerską Szkołę Zawodową Wojsk Radiotechnicznych.

Po przejęciu Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej przez dowództwo Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, od 1972 roku rozpoczęto reorganizację i porządkowanie dotychczasowych struktur szkolenia specjalistów z dziedziny radiolokacji i sprzętu raketowego. W Jeleniej Górze funkcjonowała Wyższa Oficerska Szkoła Radiotechniczna przy której pozostawiono Szkołę Chorążych Wojsk Radiotechnicznych. Natomiast w Chorzowie i Welnowcu zorganizowano Szkołę Specjalistów Wojsk Radiotechnicznych. W efekcie szkolenie młodszych specjalistów radiolokacji odbywało się w Chorzowie i Welnowcu do końca 1992 roku.

Szkolenie specjalistów z dziedziny sprzętu raketowego prowadzono od 1960 roku w Bemowie Piskim. Powstał tam Ośrodek Szkolenia Specjalistów Artylerii, później zmieniono jego nazwę na Centrum Szkolenia Specjalistów Artylerii i Radiotechniki. Nazwa tego ośrodka ulegała kolejnym zmianom: najpierw na Centrum Szkolenia Specjalistów Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, by ostatecznie pozostać przy nazwie Centrum Szkolenia Wojsk Raketowych. Ośrodek ten nie tylko kształcił specjalistów podstawowej obsługi sprzętu, ale również chorążych i oficerów artylerii raketowej, których na specjalizację i obsługę danego sprzętu raketowego kieruje Wyższa Oficerska Szkoła Radiotechniczna i Szkoła Chorążych Wojsk Radiotechnicznych.

Przedstawiony system kształcenia kadr specjalistycznych dla potrzeb obrony powietrznej Polski utrzymany został do końca 1992 roku.



Budynek szkoleniowy nr 3. Na frontonie budynku jest umieszczony napis: „Dyrekcja Nauk” i tak ten budynek powszechnie nazywano. Nad wejściem głównym umieszczona była ogromna kompozycja metaloplastyczna symbolizująca łeb i poroże jelenia. Ten element pozostał jeszcze z czasów niemieckich i znajdował się na budynku do połowy lat siedemdziesiątych.

Element propagandy wizualnej, plansza w swojej treści zwraca uwagę na znaczenie wojsk radiotechnicznych w powiązaniu z lotnictwem i artylerią raketową. Prawdopodobnie została wyeksponowana w 1978 roku na przeciwku „Dyrekcji Nauk”.



MOJE WSPOMNIENIA Z POBYTU LOTNIKÓW POLSKICH WE FRANCJI

W 1966 roku na zaproszenie Ministerstwa Obrony Narodowej, przebywała w Polsce delegacja podchorążych wojsk lotniczych armii francuskiej. Zwiedzili oni Oficerską Szkołę Lotniczą w Dęblinie oraz zabytki Warszawy i okolic. W ramach rewizyty zaprosili do Francji delegację lotników polskich.

Moja przygoda wydarzyła się w 1967 roku. Byłem wówczas sierżantem podchorążym trzeciego roku Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej. Przygotowania do skompletowania delegacji z OSR trwały już od lutego 1967 roku. Wytypowano ponad dwudziestu podchorążych z najlepszymi ocenami średnimi. Następnie sprawdzono ich pod względem bezpieczeństwa kontrwywiadowczego. O wywiadach środowiskowych dokonywanych przez milicję donosili wówczas sąsiedzi moich rodziców i sami rodzice. Przygotowanie wizowe wykonano w marcu. Pamiętam jak mjr Edward Glodek pisał w języku francuskim na tablicy to, co należy wpisać w poszczególne rubryki kwestionariuszy osobowych (np. stan cywilny: kawaler – celibataire; żonaty – marie). Oprócz dwudziestu podchorążych, do wyjazdu przygotowało się pięciu oficerów z kadry szkoły, między innymi dowódca Batalionu Podchorążych mjr Zbigniew Grabski, szef kontrwywiadu oraz ktoś z dawnego Cyklu Politycznego.

Postanowiono wydać podchorążym jako umundurowanie ich należność oficerską przysługującą na promocję. O mały włos, mój wyjazd nie doszedłby do skutku. Otrzymałem za mały rozmiar pantofli, a kontrolująca wygląd zewnętrzny podchorążych ekipa z Warszawy o mało nie posłuchała naszego magazyniera: „jak za małe buty, to wymienić podchorążego na takiego, któremu buty będą pasować”. Na moje szczęście, to pan magazynier dostał termin, że na jutro rano mam otrzymać właściwe obuwie.

Dokonano odpowiedniego przeszkolenia członków delegacji pod względem znajomości kultury bycia w tamtejszym społeczeństwie, a szczególnie w środowisku wojskowym. Szkolenie odbyło się w Dęblinie i trwało dwa tygodnie. Prowadzili je przedstawiciele naszej ambasady w Paryżu. Omawiali różne zdarzenia mogące się nam przytrafić, a nawet takie, jak zachować się przy stole podczas posiłków.

Po tygodniu zajęć w Dęblinie, udało się mi, za zgodą dowódcy batalionu, odwiedzić rodziców w Radomiu. Mieszkali oni przy lotnisku wojsko-

wym. Zobaczyłem na nim stojące dwa olbrzymie czterosilnikowe turbośmigłowe samoloty. Od kolegi pracującego na lotnisku dowiedziałem się, że przemalowuje na nich radzieckie gwiazdy na nasze szachownice, i że za tydzień mają lecieć te samoloty do Francji. Dwa samoloty AN- 12, zakupiono właśnie na ten wylot i były one jednymi w Polsce. Po powrocie do Dębina zrelacjonowałem kolegom jakimi samolotami będziemy lecieć. Trzy dni później wylądowały one w Dęblinie i mogliśmy je podziwiać z bliska.

2 maja 1967 roku około godziny dziesiątej z lotniska w Dęblinie wystartowały dwa samoloty z reprezentacjami trzech szkół oficerskich: Oficerskiej Szkoły Lotniczej z Dębina, Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej z Jeleniej Góry i Technicznej Szkoły Wojsk Lotniczych z Oleśnicy- z każdej po dwudziestu podchorążych oraz opiekująca się nimi kadra. Za sterami samolotów siedzieli już nasi piloci, ale za ich plecami stali jeszcze Rosjanie, dając ostatnie wskazówki przed lotem. Miejsca w samolotach było bardzo dużo. AN – 12 jako transportowy samolot mógł zabrać na pokład 120 komandosów z pełnym uzbrojeniem. Posiadał pod sufitem suwnicę o nośności pięciu ton. Mogło do niego wjechać z tyłu po otwartej pochylni kilka samochodów. Próba silników na pasie startowym w Dęblinie unaoczniała niektórym z moich kolegów, szczególnie tym, którzy nigdy nie latali, że trzeba bezwzględnie słuchać i wykonywać polecenia załogi samolotu. Padła komenda „wszyscy siadać”, ale niektórzy jej nie wykonali, chcąc widzieć przez okna jak samolot będzie ruszał. Pilot zwiększył na maksimum obroty silników trzymając samolot na hamulcach, zmniejszył nieco obroty i puścił hamulce. W tym momencie kto stał padł na bok, rzucony olbrzymim przyspieszeniem samolotu. Była to dla nich bolesna nauka, że w powietrzu nie ma żartów.

Pierwszy etap podróży zakończył się na warszawskim Okęciu. W sektorze wojskowym czekała pozostała część delegacji. Liczyła ona w sumie 133 osoby. Całością dowodził gen. bryg. Jagieło. Widać było we wsiadającej ekipie i osoby cywilne w mundurach oficerskich ze stopniami szeregowców. Byli to rasowi nawigatorzy z PLL LOT delegowani do pomocy naszym wojskowym pilotom, szczególnie przy korespondencji radiowej w języku angielskim i w procedurach lądowania na zachodnich lotniskach cywilnych i wojskowych. Piloci radzieccy opuścili samoloty i dalej już musieli sobie radzić nasi. Odprawa celna sprowadziła się do zajrzenia celnika, złożenia życzeń przyjemnego lotu i zatrzaśnięcia za sobą drzwi. Jako pierwszy startował samolot, w którym była większość podchorążych, a w drugim leciała kadra i generał. Start z Okęcia odbył się około godziny trzynastej. Wszystko poszło ładnie i sprawnie. Lot odbywał się na pułapie 4000 metrów, czyli maksymalnej wysokości, gdzie można lecieć bez masek tlenowych. Leciliśmy trasą na Wrocław i Frydlant w Czechosłowacji (czyli nad Jelenią Górą), a dalej nad Niemiecką Republiką Federalną wzdłuż

Alp. Nad Niemcami pilotom kazano zwiększyć wysokość lotu na 5500 metrów, co dla niektórych kolegów było już za wysoko i mieli trudności z oddychaniem. Ponieważ każde siedzenie przewidziane dla komandosa posiadało tlenową maskę, niektórzy z kolegów lękali z nich tlen jak ryby wyciągnięte z wody. Po przekroczeniu granicy z Francją dalej lecieliśmy wzdłuż Alp, lecz już na obniżonym pułapie. Za oknami widoki mieliśmy przepiękne. Całe zbocza pokryte były śniegiem, a po stokach zjeżdżały mrowia narciarzy. Widoki nie do zapomnienia. Można było robić zdjęcia bez ograniczeń, tylko trzeba było mieć swój aparat fotograficzny, a takich było niewiele. Dalej lot odbywał się nad doliną Rodanu w kierunku jego ujścia do Morza Śródziemnego.

Lądowanie zaplanowano na godzinę 17.00 we francuskiej szkole lotniczej L'Ecole de L'Air w Salon de Provence. Miasto leży około 40 km od portu w Marsylii. Jako pierwszy wylądował nasz samolot, potem kołował kierowany przez finiszera chorągiewkami, wyłączył silniki i ...czekamy na drugi samolot z generałem. Zaskoczyło Francuzów, że nie wysiadamy, boimy się czy co? Dopiero jak zobaczyli drugi lądujący samolot i kołujący do nas zrozumieli gdzie jest szef delegacji. Wielkość naszych samolotów zszokowała ich nieco.

Witali nas na lotnisku: komendant szkoły w randze generała, dowódca bazy 701, oraz inne osobistości cywilne z miasta. Grały dwie różne orkiestry wojskowe ustawione obok siebie, a dyrygował nimi jeden kapelmistrz. Dla nas nie lada ciekawostka, bo w obu orkiestrach były różne instrumenty. Po oficjalnym powitaniu rozlokowano kadrę w hotelach w mieście, a podchorążych w budynku mieszkalnym „Restart”, na co dzień służącym dla podchorążych francuskich, których na ten czas przekwaterowano do innych pomieszczeń. O godzinie 20.00 odbyła się wspólna kolacja oraz spacer po szkole.

Następnego dnia program wizyty był bardzo napięty. Śniadanie o 7.15 i zbiórka do ceremonii sztandarów o 7.55. Punktualnie o godzinie 8.00 odbyła się prezentacja sztandarów szkół przez dwóch podchorążych, francuskiego i polskiego. Ceremonię podobną do tej w której uczestniczyłem, pokazano w folderze informacyjnym szkoły.

W kompleksie wojskowym funkcjonowały jednocześnie cztery różne jednostki organizacyjne: baza lotnicza z wojskowym sektorem lotniska, wojskowa szkoła lotnicza i cywilna szkoła lotnicza. Było to połączenie jakby naszych trzech szkół: dęblńskiej, jeleniogórskiej i oleśnickiej oraz aeroklubu. Ze zdjęcia również widać skąd jest inspiracja do opracowania herbu naszej szkoły, wykonanego na jej piętnastoletcie.

Po ceremonii sztandarów zwiedzaliśmy szkołę. W auli budynku

szkolenia zapoznano nas z pracą szkoły. Lotnictwo francuskie datuje swój burzliwy rozwój od 1934 roku. Aby wyszkolić dużą ilość młodzieży na odpowiednio wysokim poziomie, rząd francuski otworzył w 1937r. szkołę lotniczą „Ecole de l'air” w Salon de Provence. W latach sześćdziesiątych szkoła kształciła personel latający, mechaników, radiotechników i administrację lotniczą. Kandydaci podpisywali wstępny kontrakt na osiem lat. Mógł on być rozwiązany w razie nie zaliczenia egzaminu końcowego. Szkolenie trwało trzy lata. Później uczniowie przechodzili przeszkolenie praktyczne i trafiali do jednostek operacyjnych. Podczas dwóch pierwszych lat szkolenia podchorążowie mieli bezpłatne zakwaterowanie i naukę. Po drugim roku zdawali egzaminy końcowe i otrzymywali stopnie podporucznika. Po zdaniu egzaminów, otrzymywali również tytuł inżyniera, co gwarantowało im odpowiedni status, gdyby zostali z wojska zwolnieni. Absolwenci – podporucznicy - mieli możliwość dalszej bezpłatnej nauki w szkole wyższej. Na trzecim roku szkolenia pobierali uposażenie oficerskie i z niego musieli się utrzymać. Pensja zależna była od stopnia i wysługi lat.

Wyświetlono nam krótki film o okolicach szkoły i szkoleniu pilotów. Pokazano na filmie okolicę widzianą z samolotu. Duże wrażenie zrobiło filmowe ujęcia z lotu nurkowego samolotu w dolinę wąskiej rzeczki i lotu koszącego samolotu z przekładaniem zakrętów z jednego skrzydła na drugie, by zmieścić się między drzewami i meandrami rzeczki. Usłyszałem wówczas komentarz siedzącego przede mną doświadczonego pilota z Dębłina: „gdyby mój podchorąży przywiózł mi z lotów takie zdjęcia, to bym mu dołożył za niebezpieczne piractwo w powietrzu”.

Podzielono nas następnie na kilka grup i rozpoczęło się zwiedzanie szkoły. Pokazano nam czym dysponuje szkoła, a szczególnie jakim wyposażeniem technicznym do nauczania podchorążych. Było na co popatrzeć zazdrosnym okiem w sekcji szkolenia technicznego i w oddziale lotów. Obejrzelismy salę komputerową (maszyny matematyczne podobne do naszej polskiej „Odry”) i studio telewizji szkolnej. Przy pomocy telewizji wewnętrznej było możliwe prowadzenie wykładów jednocześnie do słuchaczy w kilku salach, które wyposażono w monitory. Szczególnie nas zadziwiały pracujące makiety urządzeń, gdzie było można widać co dzieje się wewnątrz jakiegoś urządzenia. Ułatwiało to wizualne i dokładne poznanie mechanizmów i praw działania urządzeń. Możliwość poznania nowoczesnej techniki służącej do celów dydaktycznych była dla nas wielce pouczająca, co znalazło odzwierciedlenie w pracy przyszłych oficerów w naszej jeleniogórskiej szkole.

W południe, przed hangarem, przedstawiono nam dziewięćosobową ekipę reprezentacyjną pilotów akrobacyjnych Francji, „Patrouille Acro-

batique de France". Zaprezentowali oni najpierw swoje wyposażenie indywidualne i kombinezony pilota, a później odbyły się pokazy akrobacji. Niezapomniane to i piękne widowisko akrobacyjne zawodowców, wykonane przez dziewiętkę samolotów szkolno-treningowych na czystym błękitnym niebie, ciągnących za sobą smugi dymne w kolorowych barwach Francji. Po wylądowaniu otrzymali od nas okłaski uznania za sztukę w pilotażu. Zaprosili za to do wykonania po jednym locie jednego z naszych oficerów pilotów i jednego podchorążego. Podchorąży wykonał rutynowy lot po kręgu nad lotniskiem i wylądował. Natomiast komendant szkoły dęblińskiej płk Kowalski, „wgramolił” się powoli na pułap wysokościowy do wykonania akrobacji i ... dał Francuzom akrobacyjną „Szkołę Rocha”. Nie latał przecież nigdy w życiu na tym typie samolotu. Był to C. M. 170 „Super Magister” z usterzeniem nietypowym w Polsce - bo „motylkowym” (z tyłu litera V). Parametry tego dwuosobowego samolotu są następujące: szybkość maksymalna 725 km/godz. na wysokości 9000 m; maksymalna szybkość wznoszenia 18 m/s; pułap praktyczny 10 500 m; rejon działania 1320 km; czas lotu z rezerwą zapasową paliwa na wysokości 9000 m - 2 godziny 30 minut. Wykonane przez Kowalskiego figury akrobacyjne wprawiły w nie lada osłupienie pilotów z reprezentacji akrobacyjnej. Stałem obok nich i słyszałem pojękiwania, że tego nie da się wykręcić na tym samolocie. Po wylądowaniu płk Kowalski był bohaterem tych pokazów, a pilot który leciał razem z nim w drugiej kabinie - zawodowy akrobata - otworzył kabinę i opuścił wycieńczonym gestem obie zwisające bezradnie ręce na kadłub samolotu. Miał już po prostu dość na ten dzień. Wzbudziło to nie lada śmiech jego kolegów, bo uchodził w ekipie akrobacyjnej za jednego z najlepszych i najodporniejszych akrobatów. Po akrobacji dokonano zmiany grup zwiedzających i dokończono zwiedzanie.

Po obiedzie czekała na nas następna miła niespodzianka. Wyjazd i zwiedzanie starego portu w Marsylii. Podstawiono cztery autokary dla podchorążych i kadry oraz trzy Citroeny DS 19 dla generacji. Kawalkadę pilotowali policjanci z drogówki francuskiej na motocyklach typu „boxer” o pojemności ok. 1000cm³. Na sobie mieli białe kaski i skórzane ubiory. Jeden jechał z przodu, drugi zamykał kawalkadę. Podziwiałem ich umiejętności jazdy na motorach. Przy prędkości 140 km/godz. w autokarach, ten z przodu prawie cały czas patrzył do tyłu na kolumnę. Jak tylko ktoś ośmielił się wjechać między nasze pojazdy, jednym kiwnięciem ręki policyjnej „wymiałał” klienta na inny pas. Nasze autokary pruły środkowym pasem. Po prawym pasie poruszały się Tiry, chłodnie i inne ciężkie pojazdy. Ale od czasu do czasu po naszej lewej stronie śmignął jakiś Jaguar tak, jakbyśmy my stali w miejscu. Po prawej stronie przed Marsylią jest zatoka z lotniskiem dla wodolotów. Lądował właśnie taki mały samolocik, na idealnie gładkiej, bezwietrznej tafli wody. Widok był przepiękny. Następnym szokiem było ograniczenie prędkości na drodze przed Marsylią, ze względu na drobne

roboty drogowe. Na znaku widniało ograniczenie do 100 km/godz. U nas spotykało się wówczas 5 km/godz. przy pracach drogowych. Szokowała mnie nawierzchnia drogi, gdyż jest to południe Francji i wówczas temperatura w cieniu przekraczała codziennie ponad 30° C. Na jezdni nie było widać ani kropli asfaltu czy plam po oleju! Stosowali chyba asfalt naturalny, a w nim grube kamyczki, jakby zeszlifowane. Przyczepność do takiej drogi była wymienita, a nie była to przecież autostrada tylko droga między dwoma miastami.

Po wjeździe do Marsylii, w jednej z witryn sklepowych włączony był reklamowy obraz kontrolny telewizji kolorowej. Następnym szok, bo u nas w tym czasie była jeszcze tylko telewizja czarno-biała.

W porcie w Marsylii „zaokrętowano” nas na małe stateczki portowe, z których obejrzelśmy stary i nowy port od strony Morza Śródziemnego. Czas był na to ograniczony, bo jak się później okazało, gospodarze szykowali już następną niespodziankę w szkołę. Był nim całonocny bal dla naszej delegacji z udziałem podchorążych francuskich i ich kadry. Rozpoczął się o godzinie 21.00. Patrzyliśmy z podziwem, w jaki sposób poradzą sobie podchorążowie z zaproszeniem dam do towarzystwa. Nie było z tym najmniejszych problemów. Każdy z podchorążych dysponował najczęściej swym własnym pojazdem i miał koleżanki. Bal odbywał się jednocześnie w pięciu dużych salach. W każdej z nich grała inna orkiestra. Dla naszej i francuskiej kadry orkiestra grała raczej melodie spokojne, takie różne „walczyki - piąsiki”. Natomiast w pozostałych, grały orkiestry młodzieżowe, big-bitowe i to one nadawały rytm całej imprezie. Szokiem dla nas była zastawa na stole, w tym butelka szampana na cztery osoby i to na cały bal! Trudno było uprosić kelnerów o dodatkowe butelki. Po tańcach w jednej z sal, robiono coś w rodzaju długiego „węża” i trzymając się za ręce wjeżdżano do sali sąsiedniej, z której wypychano niejako sztucznie zrobionym tłumem bawiących się tam, dalej do następnej sali. W ten sposób każdy miał okazję potańczyć, co najmniej raz, przy każdej z orkiestr. W jednej z takich sal usłyszałem bardzo ładną melodię w wykonaniu bardzo młodej i ślicznej piosenkarki. Była to, jak się dowiedziałem od Francuzów, Mirei Matieu. Śpiewała melodię z filmu „Doktor Żiwago”, nie znanego jeszcze u nas w Polsce filmu, a mającego olbrzymi sukces na zachodzie. Tę melodię i jej śpiew do dziś doskonale pamiętam.

Obserwowałem nad ranem jak po balu wracają do domu podchorążowie francuscy i nasi. Dwie ładne dziewczyny wyprowadziły Francuza, który miał bardzo chwiejne nogi, bo widocznie usiłował dorównać naszym podchorążym w spożywaniu trunku. Poszli w kierunku parkingu. Jedna z dziewcząt pogmerała podchorążemu w kieszeni, wyjęła kluczyki i podeszła do auta. Uruchomiła silnik i podjechała po koleżankę i podchorążego. Otwo-

rzyła tylne drzwi. Kochasie ulokowali się na tylnej kanapie i odjazd do domu. U naszych raczej przypominało to „wypad” przez wahadłowe drzwi - jak w kowbojskich filmach, dojrzewanie i nocowanie gdzieś na ławce.

Następnego dnia śniadanie więc było nieco opóźnione o kilka minut. Przewidziano mszę w kaplicy bazy oraz wycieczkę autokarową po zabytkowych okolicach Prowansji. Zwiedzaliśmy arenę do walki byków (corridy), w miasteczku Arles. Oczywiście od dawna nie odbywały się tam walki, ale budowla i widoki z niej były imponujące. Oglądaliśmy w mieście St. Remy de Provence szczątki odkrytych wykopaliisk. Na koniec zwiedzaliśmy miasto Aix -en- Provence, katedrę, muzeum tkanin i muzeum „GRANET”. Popołudnie pozostawiono nam na swobodne i samodzielne zwiedzanie Aix Provence lub Marsylii. Był to szok dla naszych panów z „obstawy” (kontrwywiadu). Podchorążowie francuscy, po obiedzie, podjeżdżali swoimi autami pod naszą grupę podchorążych i na palcach pokazywali ilu mogą zabrać. Najczęściej tyłu, ile mieli „nagranych” dziewczyn. I na nic tu był wysiłek kontrwywiadu, w ciągu zaledwie kilku minut zniknęli wszyscy nasi podchorążowie spod ich bacznych oczu. Wesołych podchorążych można było niebawem spotkać w pubach Marsylii. Autokary też podstawiono do Marsylii z której odjechalśmy o godz. 0.30 do bazy, do naszych „zaginionych” opiekunów.

Na tłumacza do naszej grupy podchorążych przydzielono starszego sierżanta armii francuskiej. Był to niesamowicie sympatyczny chłopak polskiego pochodzenia. Zapytany dlaczego jest starym kawalerem w wieku 36 lat, odpowiedział, że nie musi kupować krowy dla napicia się mleka. Doskonale znał repertuar polskich teatrów w Warszawie, jakie filmy są grane w którym kinie, które miejsce ma jaka piosenka na naszej liście przebojów i inne. Na pytanie skąd to wszystko wie, odpowiadał: z Polskiego Radia dla słuchaczy za granicą. By zarobić więcej pieniędzy, brał za kolegów wiele nocnych służb i w tym czasie słuchał co dzieje się w Polsce, a także dobrej muzyki. Z początku Francuzi – współtowarzysze na służbie - kazali mu zmieniać stację na lokalną, ale jak zaczęli w radiu ładnie grać, kazali mu to zostawiać. Chłopak łaknął wieści o wszystkim, co działo się w Polsce. Trenował poprawność i tak już niezłej u niego polskiej wymowy. Jego finał obcowania z nami i zachowania nastąpił w Paryżu, ale o tym napiszę później.

Następnego dnia, to jest 5 maja, o godzinie 8.30 odlecieliśmy mile żegnani do następnego miasta we Francji, do Dijon. Był to drugi z etapów wizyty, również bardzo przyjemny i pouczający zarazem.

TRAGICZNE LOSY PPOR. MIECZYŚŁAWA BUJAKA

Na jednym ze swych "radarowych" zebrań, nasze Stowarzyszenie gościło naczelnika Biura Edukacji Publicznej Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu dr. Krzysztofa Szwagrzyka.

Było to niezwykle spotkanie, bo i temat tego spotkania był niezwykle. Poświęcone było bowiem zupełnie nieznanemu środowisku wojskowemu Jeleniej Góry i mieszkańcom naszego miasta osobie ppor. Mieczysława Bujaka, oficera „z koszar pod jeleniami”. Jego niezwykle i tragiczne losy, mogłyby posłużyć za kanwę filmu sensacyjnego.

Ppor. Bujak urodzony w patriotycznej warszawskiej rodzinie był żołnierzem AK, Szarych Szeregów, WiN (Wolność i Niezawisłość) oraz uczestnikiem Powstania Warszawskiego. Po upadku powstania, wywieziony zostaje do obozu jenieckiego na terytorium Niemiec. Obóz ten wyzwala armia USA, a Mieczysław Bujak wstępuje do niej i w szeregach armii amerykańskiej walczy przez kilka miesięcy z niemieckim okupantem na terytorium Czechosłowacji. Po wojnie działa w konspiracji, a następnie wstępuje w szeregi Wojska Polskiego i trafia do Wrocławia, gdzie kończy Oficerską Szkołę Piechoty. Jako młody oficer skierowany zostaje do Jeleniej Góry, na stanowisko dowódcy plutonu w utworzonej tu w 1948 roku Oficerskiej Szkole Piechoty nr 2.

Jak dziś po upływie 56 lat wspomina swojego dowódcę jeden z nielicznych żyjących jego podopiecznych ppłk w st. spocz. Zbigniew Nitka: *„W Oficerskiej Szkole Piechoty nr 2 wybijały się ponad inne dwa głośnie nazwiska przodujących dowódców plutonu, naszego dowódcy ppor. Mieczysława Bujaka i por. Kazimierza Byrskiego. Nikt tak w szkole nie dawał podchorążym w kość jak ci dwaj oficerowie. Obu ich popularyzowano jako wzorowych dowódców, jako przykład do naśladowania. Już w tym czasie krążyły o nich legendy.”*

Chociaż ppor. Bujak był oficerem niezwykle wymagającym, stosującym w szkoleniu i pracy wychowawczej niekonwencjonalne metody, był przez swych podwładnych szanowany i wręcz podziwiany. Mówi o nim jego podwładny:

*„Był to oryginał, ale lubiliśmy go i poszlibyśmy za nim w ogień”. Niestety lata wojny i działalność konspiracyjna po wojnie, pozostawiły w psychice tego młodego oficera znaczącą skazę. Miał on głębokie przekonanie o nieuchronności konfliktu zbrojnego pomiędzy wschodem a zachodem. W kilku powojennych latach wielu przeciwników nowej władzy stawiało otwarcie na III wojnę światową i byli to najczęściej ludzie bardzo wpływowi, jak na przykład ówczesny Prymas Polski August Hlond. Stefan Kisielewski w „Alfabcie Kisiela” (wyd. 1990r.) pisze: *„Prymas August Hlond – rozmawiałem z nim dwa razy, był bardzo miły. Miał wyrzuty sumienia, że nie był w Polsce w czasie okupacji. No i wierzył w trzecią wojnę, która niezadługo nastąpi...Po czym niedługo umarł. Ale był to bardzo sympatyczny człowiek, a wierzył w trzecią wojnę i trudno mu to było wytłumaczyć”*.*

Rachuby i nadzieje związane z III wojną światową, przyczyniały się nie-raz do podejmowania beznadziejnej walki przez podziemie zbrojne, co kosztowało z obu stron tysiące ofiar. Taką beznadziejną walkę próbował podjąć również ppor. Bujak. Jak wynika z akt sądowych, założył on w koszarach przy obecnej ul. Podchorążych, organizację o charakterze konspiracyjnym i wciągnął do niej podchorążych z plutonu.

Zaczęto gromadzić broń, granaty i amunicję. Zajmowano się też tzw. szeptaną propagandą antypaństwową. Planowano w chwili rozpoczęcia wojny przejść na stronę wroga. O wszystkich tych poczynaniach dowiedziała się Informacja Wojskowa, co spowodowało liczne aresztowania. Ppor. Bujaka aresztowano w sierpniu 1950 roku pod zarzutami:

- udziału w nielegalnej organizacji WiN;
- gromadzenia broni z zamiarem jej użycia;
- prowadzenia wśród podchorążych agitacji antypaństwowej.

Proces dowódcy plutonu i jego podwładnych z konspiracji rozpoczął się przed Sądem Wojskowym we Wrocławiu w 1951 roku. Do końca chronił on współoskarżonych i całą winę brał na siebie. Zapadłe wówczas wyroki mogą współczesnych szokować. Ppor. Bujak 25 kwietnia 1951 roku skazany został na dwukrotną karę śmierci, a dziewięciu jego podwładnych skazano na wieloletnie wyroki więzienia.

Tak dla tego młodego oficera zakończyła się kariera w Wojsku Polskim. Prezydent RP Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok śmierci został wykonany 20 sierpnia 1951 roku o godzinie 20.00 w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu. Ppor. Bujak miał zaledwie 24 lata i był tylko o 3 lata starszy od swoich podwładnych - podchorążych 1 plutonu 3 kompanii Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 2 z „koszar pod jeleniami”. Jego ciało spoczywa na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu w kwaterze 81 A, na tak zwanym „polu Akowców”.

Za sprawą Instytutu Pamięci Narodowej, przywrócono pamięć o tragicznym losie ppor. Bujaka. Został on pośmiertnie zrehabilitowany a jego proces w 1951 r. w ocenie IPN był w dużej mierze sfingowany.

Jak nam powiedział w trakcie spotkania dr Krzysztof Szwagrzyk, na Dolnym Śląsku za działalność antypaństwową w latach 50-tych skazanych zostało na karę śmierci około 500 osób. Rodziny nielicznych spośród nich, doczekały się procesów rehabilitacyjnych.



Na zdjęciach. Na górnym zdjęciu ppor. Bujaka z akt prokuratorskich, na dolnym dr Krzysztof Szwagrzyk z IPN podczas spotkania ze środowiskiem żołnierskim Jeleniej Góry, pokazuje czapkę, ppor. Bujaka, którą odnaleziono wśród przedmiotów zdeponowanych w więzieniu.



GENERAL DYWIZJI KAZIMIERZ ŁADOŚ

W 1963 roku, w ówczesnym mieście Cieplice Śląskie Zdrój, zmarł generał dywizji Kazimierz Ładoś. Kim był i dlaczego przebywał w Cieplicach?

Kazimierz Ładoś syn Jana urodził się 18 lutego 1877 r. we Lwowie. Po ukończeniu szkoły średniej, w 1895 roku, wstąpił do armii austriackiej z zamiarem zostania oficerem. W tym samym roku otrzymał awans na pierwszy stopień oficerski, to jest na stopień chorążego. Został wyznaczony na stanowisko instruktora w szkole jednorocznych ochotników. W latach 1903 - 1905 studiował w szkole Sztabu Generalnego. Po ukończeniu tej szkoły, aż do wybuchu I wojny światowej, pełnił funkcje kolejno na stanowiskach: oficera przy kompanii w 93 Pułku Piechoty, w sztabach 5 i 45 Dywizji Piechoty, dowódcy kompanii, adiutanta, dowódcy szkoły podoficerskiej w 45 Pułku Piechoty i oficera sztabu korpusu. W 1914 roku był w stopniu kapitana i dowodził 3 baonem, a następnie pełnił obowiązki adiutanta w 18 Pułku Piechoty. W marcu 1915 roku, kontuzjowany przez wybuch pociągu, został wzięty przez Rosjan do niewoli. Uciekł z transportu jeńców już będąc na Syberii i poprzez linię frontu powrócił do swojej jednostki wojskowej. W maju 1915 roku, jako dowódca batalionu został wysłany na front włoski. W październiku awansował na dowódcę pułku. W lutym 1916 roku otrzymał awans na stopień majora, a w maju 1918 roku na podpułkownika i został przeniesiony do Wiednia. Jako oficer Sztabu Generalnego, w listopadzie 1918 roku objął stanowisko zastępcy szefa, a miesiąc później szefa Polskiej Wojskowej Komisji Likwidacyjnej w Wiedniu. Włożył ogromny wysiłek w pozyskanie dla tworzącego się Wojska Polskiego zasobów materialnych i kadr z armii austriackiej. Na początku 1919 roku nastąpiła pierwsza reorganizacja naczelnych władz Wojska Polskiego. W lutym tego roku podpułkownik Kazimierz Ładoś został powołany na szefa Oddziału Prezydenckiego Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, czyli został pierwszym szefem kadr odrodzonych po rozbiorach Polskich Sił Zbrojnych. W kwietniu 1920 roku awansuje na stopień pułkownika. Na etacie szefa oddziału pozostawał do października 1920 roku, ale w tym czasie pełnił również służbę liniową na froncie polsko - sowieckim, kolejno jako: dowódca 36 Brygady Piechoty, oficer łącznikowy Naczelnego Wodza i dowódca Grupy Operacyjnej. Zostaje odznaczony

Krzyżem Walecznych, a za walki nad Niemnem otrzymuje Krzyż Virtuti Militari. W październiku 1920 roku zostaje wyznaczony na stanowisko dowódcy 16 Dywizji Piechoty, której sztab stacjonował w Grudziądzu. Przed nim tą sławną dywizją dowodził pułkownik Aleksander Ładoś, jego brat stryjeczny. W 1922 roku otrzymuje awans na stopień generała brygady, a dwa lata później na stopień generała dywizji. Podczas zamachu majowego Józefa Piłsudskiego opowiedział się nie za nim, lecz za prawowitą władzą. Dowodził wojskami poznańsko – pomorskimi lojalnymi prezydentowi Stanisławowi Wojciechowskiemu, które zgrupował w pobliżu Warszawy, w rejonie Ożarowa. Ruch wojsk do stolicy powstrzymał, na polecenie prezydenta, który postanowił ustąpić wobec przemocy by nie dopuścić do bratobójczej wojny, rozlewu krwi i tym samym osłabienia Polski. Pod koniec lata 1926 roku, przez miesiąc w mieszkaniu Ładośiów w Grudziądzu ukrywał się przed aresztowaniem generał Michał Żymierski.

Z dniem 31 maja 1927 roku Kazimierz Ładoś został zwolniony ze służby i przeniesiony w stan nieczynny. Od marca 1939 roku, świadomy zbliżającej się wojny z Niemcami, zaczął zabiegać o przydział mobilizacyjny. Nie otrzymał takiego. W październiku przedostaje się do Francji, a w listopadzie premier generał Władysław Sikorski powołuje go na przewodniczącego Wojskowego Trybunału Orzekającego w Paryżu. Jego zadaniem jest weryfikacja oficerów na tle ich udziału w wojnie obronnej we wrześniu 1939 roku. W tym czasie jego brat stryjeczny Aleksander został powołany w skład rządu. Po ewakuacji do Wielkiej Brytanii, Kazimierz Ładoś nie otrzymuje przydziału służbowego. Nie otrzymał emerytury i nigdzie nie chciano go zatrudnić. i z dniem 2 stycznia 1942 roku zostaje przeniesiony w stan nieczynny z prawem poboru zaopatrzenia wojskowego.

W listopadzie 1946 roku wraca do kraju. Nie otrzymał emerytury i nigdzie nie chciano go zatrudnić. Zostaje bez środków do życia. Pracuje jako robotnik podejmując się różnych prac, żeby nie obciążać swoim utrzymaniem syna Jana, który również jest w trudnej sytuacji materialnej.

Jego syn Jan poszedł w ślady ojca i został oficerem. W stopniu rotmistrza dowodził szkołą podoficerską kawalerii w Grudziądzu, a następnie został dowódcą 2 szwadronu w 18 Pułku Ułanów Pomorskich. 1 września 1939 roku pułk pod dowództwem pułkownika Kazimierza Mastalerza wstąpił się pod Krojantami koło Chojnic szarżą na nacierające wojska niemieckie. Przeszła ona do historii jako niezwykle bohaterstwo, które znalazło odzwierciedlenie w literaturze i filmie. Nie było szans na dalsze kontynuowanie walki w okrażeniu i Ładoś swój szwadron rozformował. Ułani mieli przedrzeć się indywidualnie w kierunku Warszawy. Podczas odpoczynku

w zagrodzie chłopskiej nad Wisłą został przez jej właściciela (jak się okazało Niemca) zadenuncjowany. W ten sposób trafił do niewoli. Przebywał kolejno w obozach w Iłcechore, Srebrnej Górze, Colditz i Oldenburgu. Obóz wyzwoliły wojska radzieckie. Przyłączył się do nich, jest w grupie szturmowej na czołgu. Zostaje ranny i trafia do szpitala radzieckiego, a z niego do Polski. Po długich staraniach znalazł zatrudnienie w przedsiębiorstwie Uzdrowiska Polskie. W 1953 roku otrzymał pracę w Uzdrowisku Cieplice koło Jeleniej Góry. Wraz z synem i synową do Cieplic przeniósł się Kazimierz Ładoś. W mieszkaniu przy ul. PCK zamieszkało dwóch kawalerów orderów Virtuti Militari, ojciec i syn. Kazimierz Ładoś w 1954 roku uzyskał w Uzdrowisku pracę stróża i jest to według opinii ówczesnych władz partyjnych miasta wyróżnienie, ponieważ nie zasługiwał nawet na taką. Dzięki determinacji synowej, walczącej o godność teścia, otrzymuje on od 1958 roku skromną emeryturę wojskową. Przed śmiercią wyraził wolę pochowania go w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Nowym Targu.

Notatkę biograficzną opracowałem na podstawie relacji ppłk w st. spocz. Jana Ładosia.



Na zdjęciu gen. dyw. Kazimierz Ładoś jako dowódca 16 Dywizji Piechoty w Grudziądzu.

JANINY BARTOSIKOWEJ PAMIĄTKA Z ŁAGRU W DUBROWCE

W 1997 roku otrzymałem od generała Juliana Paździora (komendanta Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej), polecenie opiekowania się Janiną Bartosikową podczas jej pobytów w szkole. Przyjeżdżała z Warszawy na wszystkie ważniejsze uroczystości od 1964 roku, od czasu, gdy ówczesna Oficerska Szkoła Radiotechniczna otrzymała imię jej męża – kapitana pilota Sylwestra Bartosika.

W styczniu 1978 roku pojechałem do Warszawy na szkolenie. Jednocześnie otrzymałem od pułkownika Antoniego Wolaka polecenie odwiedzenia Janiny Bartosikowej i przekazania jej zapomogi pieniężnej w imieniu Komendy Szkoły.

Miałem być u niej z wizytą po raz pierwszy i z wielką treścią stanąłem pod drzwiami jej mieszkania, w starej kamienicy obok wiaduktu kolejowego, przy ulicy Targowej. Wprowadziła mnie do pokoju, wcześniej uprzedzając, że będę miał okazję poznać bardzo ciekawą osobę. Obecność księdza po prostu mnie zaskoczyła. Przedstawiła mi i w ten sposób poznałem księdza Józefa Tischnera. Pani Janina poszła do kuchni zrobić mi herbatę. Pierwszy odezwał się ksiądz Tischner - Pewnie się pan zastanawia, co robi ksiądz w mieszkaniu komunistki? - Nie będę ukrywał, że jestem tym zaskoczony – powiedziałem. - Wobec tego, opowiem skąd znam panią Janinę, bo mamy chwilę czasu, a dla mnie będzie to powrót w dawne dzieje. Proszę spojrzeć na ścianę, na te dwie akwarelki wiszące od strony drzwi. One są dla mnie, niezwykle cenne. Ta chata widoczna na obrazku, to mój dom rodzinny w Łopusznej, a jednocześnie stara wiejska szkoła, w której ojciec był nauczycielem. Tak ona kiedyś wyglądała. Ten drugi obrazek pokazuje pejzaż jaki widziało się przed szkołą. Oba są dziełem pani Janina z 1937 roku. Miałem wtedy sześć lat, ale pamiętam jak je malowała. Gdy byłem młodszy to nieraz sadowiłem się na jej kolanach. Przez kilka lat, aż do 1939 roku, najpierw panna Kulczycka, a potem pani Bartosikowa z mężem Sylwestrem przyjeżdżała do naszej wsi na letni wypoczynek. Pamiętam długie biesiadowania z udziałem ich znajomych i niekończące się rozważania o Polsce i świecie, a przede wszystkim o godnym życiu człowieka. Dlatego, jeśli jestem w Warszawie, staram się być choćby przez pół godziny u pani Janiny. Ona traktuje mnie jak członka rodziny i nawet, proszę się nie dziwić, jeśli Pan to usłyszy, co jest dla mnie bardzo miłe, gdy zwraca się do mnie słowem – synku. Wciąż od niej uczę się mądrego widzenia świata. Ja ją podziwiam, że pomimo tak strasznych

przeżyć dalej jest pełna optymizmu i ogromnej życzliwości wobec wszystkich ludzi, nawet wobec tych, którzy ją skrzywdzili. Uważam, że symbolem postawy pani Janiny jest ten obrazek. Książd pokazuje na ścianę za moimi plecami. Patrzę, a tam wisi obrazek przedstawiający fragment postaci Chrystusa. ~ To zaiste dziwne, że zamiast wszystkich świętych marksistowskich, ten rysunek, nieprawdaż? – Kontynuuje Tiszchner - To temat do głębokich rozważań, szkoda, że nie można ich obecnie toczyć publicznie. O historię obrazka warto zapytać panią Janinę. Myślę, że Pana jako wojskowego opowieść będzie interesująca. Krótko mówiąc, daj nam Panie Boże więcej takich Polek jak pani Janina.

W tym dniu i przy następnych wizytach u pani Janiny nigdy nie miałem okazji spytać się o ten obrazek i Dubrowkę wpisaną jako miejsce jego powstania. Dopiero moja żona zagadnęła ją o tę pamiątkę i usłyszeliśmy ciekawą opowieść.

Nim opowiem o tym obrazku, najpierw o innych wydarzeniach, które były ważnymi etapami w poznawaniu pani Janiny Bartosikowej.

Pewnego dnia żona mówi, że córka Aurelka pójdzie do pierwszej komunii, tak jak wszystkie dzieci z jej klasy szkolnej. Na uroczystość przyjadą chrzestni oraz nasi rodzice. – Zrobię to tak, żeby nie było dla ciebie kłopotów w wojsku i dlatego Aurelkę ubiorę na klatce schodowej w budynku przy kościele. Postanowiłem, córka niech idzie w białej sukience już z domu, tak jak inne dzieci z cywilnych rodzin. Gdyby było inaczej odebrała by to jako jakąś karę, za niezawinioną winę. Kiedy o tym dowiedziały się sąsiadki panie Poczęty i Machałowa, to aż się popłakały. Powiedziały żonie, że na pewno będę miał ogromne problemy z tego powodu. Tak się złożyło, że w przeddzień rodzinnej uroczystości przyjechała do Jeleniej Góry Janina Bartosikowa. Jako opiekun musiałem być przy niej. Zaryzykowałem i zaprosiłem ją do mnie do domu, nie mówiąc na jaką uroczystość rodzinną. Do dyspozycji miałem Wołgę komendanta. Pojechaliśmy. Weszliśmy w momencie zasiadania gości do stołu. Wszyscy domownicy byli spięci obecnością nieoczekiwanego gościa, tym bardziej, że wobec pani Janiny używałem wówczas zwrotu partyjnego - Towarzyszko. W pewnym momencie pani Janina wstaje i wznosi toast na cześć rodziny i córki, a potem zwraca się do mnie i mówi – Towarzyszu Janku, tego to ja nie spodziewałam się - dla mnie w tym momencie cierpnie skóra – nie spodziewałam się, że będę na takiej uroczystości, w domu gdzie szanuje się polskie tradycje, gdzie wychowuje się dzieci bez oszustwa w podwójnej moralności, odważnie. Oczywiście największa w tym zasługa Krystyny, która jako matka – Polka, intuicyjnie wie, co dla jej dzieci jest dobre, a co złe.

Wracamy do koszar. Jesteśmy w kasynie, w pokoju gdzie mieszka. –

Jutro staniesz do szefa na dywanik. Ja dam ci argumenty do rozmowy z nim, takie, że nie będzie z tobą polemizował. Musisz iść do biblioteki wziąć prace Lenina i odnaleźć artykuł „O lewicowej niecierpliwości”. Przyjdziesz z książką do mnie i porozmawiamy. Tak jak powiedziała uczyniłem i szef pułkownik Wolak rzeczywiście nie chciał słuchać cytatów Lenina.

W 1980 roku pani Janina była w szkole gościem z okazji promocji absolwentów WOSR. Przyjechała jak zwykle kilka dni wcześniej. Była ładna pogoda i poprosiła mnie by z nią pójść na spacer za koszary na „Złoty Widok”. Stoimy i podziwiamy wspaniałą Kotlinę Jeleniogórską z Karkonoszami i miastem prawie u naszych stóp. - Pod koniec listopada 1945 roku po raz pierwszy zauroczona zostałam tym widokiem. przyjechałam z polecenia towarzysza Wiesława, który był ministrem Ziemi Odzyskanych, zorientować się gdzie będzie można organizować w tym regionie od 1946 roku dla dzieci kolonie i obozy młodzieżowe. Potem prosi – Posiedźmy sobie i pomilczymy, bo warto chłonąć to piękno, ten dar dnia. Po kilku minutach mówi – Jakże świat jest cudowny i człowiek w nim, lecz jakże jest zarazem bezradny wobec świata i swojego losu. Czy warto zamykać się w jednym widzeniu świata, skoro jest więcej możliwości? Myślę, że czeka mnie coś interesującego, skoro tak starannie przygotowuje okoliczności. No i rzeczywiście.

Opowiadała, że są również w Polsce komuniści, którzy generalnie przeciwnikami religii jako takiej nie są, bo ona daje znacznej części ludzi poczucie równowagi duchowej i kościec moralny, a to ma wpływ na rodziny i społeczeństwo. Wyrывая ludziom na siłę ich uczucia religijne i nie dając innego systemu wartości humanistycznych, najczęściej doprowadzić można do powstania u nich pustki wewnętrznej. Człowiek bez możliwości dialogu wewnętrznego może łatwo stracić dar słyszenia własnego sumienia, a wtedy staje się tylko istotą ludzką zdolną do największych podłości. Jak na razie daleko nam jeszcze do szerszego upowszechnienia w społeczeństwie laickich i zarazem bogatych wartości humanistycznych i tak naprawdę to nigdy nie nastąpi. Najwyżej zaistnieje w niektórych społeczeństwach równowaga między wierzącymi i ateistami, a między nimi będą rzesze agnostyków. Obecnie spoiwem społecznym oraz budulcem kręgosłupów moralnych u ludzi jest w dalszym ciągu wiara w Boga. Nawet tam za Karkonoszami u Czechów, którzy są najbardziej złaicyzowani w państwach demokracji ludowej – wiara w Boga u ludzi przetrwała, pomimo zaniechania przez nich praktyk religijnych. Tutaj nie można nic robić na siłę, bo w skali społecznej takie zmiany dokonują się przez dziesiątki, a nawet setki lat. Obecnie w związku z istnieniem masowej informacji te procesy są przyspieszane, ale do zmiany postaw światopoglądowych ludzi nie można podchodzić mechanicznie. Wszystko odbywa się w procesie wychowawczym i jest związane z ogólną kulturą narodu. Sfera psychiki ludzkiej jest niezwykle skomplikowana i nie wolno dowolnie sobie w niej majstrować. To przesta-

nie spowodowało, że na prośbę profesora Dąbrowskiego wzięłam udział w utworzeniu Polskiego Towarzystwa Higieny Psychiczej. Krótko mówiąc, obecnie toczy się walka o duszę człowieka nie między marksistami i wierzącymi w Boga, a między tymi, którzy są zwolennikami postawy ludzkiej „być” i tymi, którzy są zwolennikami postawy ludzkiej „mieć”. Zarówno wśród ateistów, jak i wśród wierzących są osoby z większymi dominacjami jednej albo drugiej postawy.

Jeśli chodzi o stosunek komunistów do Kościoła w Polsce, powinien on być taki jaki jest zawarty w wypowiedzi Gomułki z 1948 roku: „Choć Kościół Katolicki jest obecnie naszym wrogiem politycznym, władza ludowa nie może swoim działaniem powodować deptania uczuć religijnych obywateli, bo się od nas odwróca. Dlatego jesteśmy skazani na dialog z hierarchią i będziemy go prowadzili. Tylko w ten sposób możemy przestać być wrogami”. Postawa Gomułki ma dalekosiężne konsekwencje polityczne w skali europejskiej.

Znamy dwa europejskie totalitaryzmy, to jest faszystowski i stalinowski, gdzie dotychczasową religię doktrynalnie zastępować chciano kultem wodza. Stąd wiemy jak zachowuje się część społeczeństwa pozbawiona tradycyjnych wartości moralnych. W obu systemach przeciwnik polityczny, a nawet osoba niezdecydowana politycznie staje się wrogiem, którego trzeba zniszczyć fizycznie. Stąd jest znane hasło: „Kto nie z nami, to z naszymi, ze jest przeciwko nam”. Podobne nastawienie jest u części ludzi wierzących, którzy nie tolerują inaczej wierzących i ateistów. Niestety, to nastawienie wynika po części z tradycji Kościoła, który swoich przeciwników wysyłał na stosy i palił też książki nieprawomyślnie w opinii Kościoła. Dewocja jest straszna i niebezpieczna i taki samo niebezpieczny jest doktrynalny marksizm. Niebezpieczne są wszelkie skrajności, bo one prowadzą do podejmowania działań fizycznego pokonania „wroga”. Jednym z narzędzi do budowania skrajnych postaw jest indoktrynacja, a to prowadzi do tworzenia u obywateli podwójnego oblicza moralnego. Jest to zresztą temat do oddzielnego rozważenia. Dobrym przykładem znaczenia religii dla przeciętnych ludzi jest Związek Radziecki podczas ostatniej wojny, kiedy to Stalin przerażony perspektywą załamania się duchowego obywateli poluźnił w sprawach kultu religijnego dla Kościoła Prawosławnego.

Stanowisko części komunistów polskich jest takie: „Państwo powinno być maksymalnie świeckie, a sprawa wiary powinna być prywatną sferą życia człowieka. Z pragmatycznego podejścia w polityce społecznej państwa kult religijny jest o wiele lepszy niż kult jednostki ludzkiej, który zawsze prowadzi do totalitaryzmu. Pomiedzy kościołami, a państwem powinna być równowaga”. To w znacznej mierze za przyczyną takiej postawy polskich komunistów u nas w kraju życie religijne jest tak bogate, a hierarchia ma się tak dobrze jak u Pana Boga za piecem. Na ulicy Mysiej pilnują nienaruszalności autorytetów hierarchów kościelnych i przed załamaniem społeczeństwa prymitywną amerykańską kulturą. Za to hierarchowie są władzy wdzięczni, ale tego publicznie nie ujawniają.

Problemem relacji państwa i Kościoła jest mimo wszystko wzajemna kontrola. Kościół jako instytucja, będąca podmiotem prawa międzynarodowego, stara się odgrywać jak największą rolę polityczną. W tym układzie jaki jest obecnie Kościół ma większą kontrolę nad naszym państwem niż państwo nad nim. U nas przykładem najlepszego rzecznika dialogu i porozumienia z Kościołem Katolickim jest Władysław Gomułka. Jego postawa już od samego początku wywoływała wielkie niezadowolenie na Kremlu, a potem i w ościennych państwach. O mało jego koncepcja budowania socjalistycznego ustroju państwowego w Polsce nie zakończyła się tragicznie dla niego i dla jego żony Zosi.

Dla sporej grupy polskich komunistów podtrzymywanie Kościoła Katolickiego było i jest racją stanu, to nie schizofrenia, to realna polityka, w której czasem gubią się nawet najmądrzejsi. O tym nigdy się nie mówiło, ani nie mówi otwarcie, ale to funkcjonuje w naszym pozarozumowym języku. Mówi on nam, że jednak tradycyjna wiara w Boga i kult maryjny mają największą siłę sprawczą podtrzymywania tożsamości narodowej Polaków, czy nam się to podoba, czy nie. Wynika to z położenia Polski w Europie i rysującego się dylematu: kultura rosyjska, czy amerykańska. Dla Gomułki dylematem jest jak maksymalnie długo można przechować tradycyjne wartości kulturowe Polaków, przy zachowaniu równowagi między tymi dwoma kulturami. Cały problem w tym, by hierarchia kościelna wiedząc, że ze strony naszego państwa nic im nie grozi, nie rozbudzała dla siebie apetytów na rządzenie. Tym samym będzie możliwe wspólne działanie przynajmniej części komunistów polskich z hierarchią kościelną na rzecz społeczeństwa polskiego.

Jeśli chodzi o to kogo nazywam pojęciem „niektórzy komuniści polscy”, to jest to własne wyróżnienie tej części towarzyszy, którzy nie ulegli stalinizacji i nie są zakładnikami dogmatyzmu. Komunista według Janiny Bartosikowej, to taki altruista zaangażowany społecznie, tolerancyjny światopoglądowo i prawy moralnie pod każdym względem. Dlatego trudno powiedzieć o sobie – jestem komunistą. Można jedynie powiedzieć – chcę być komunistą. Kwestią jest jeszcze sprawa internacjonalizmu, ale praktyka wszystkich powojennych lat wykazała, że coś takiego jednak nie istnieje. Już Stalin dosadnie się o tym wyraził mówiąc, że „w polityce nie ma sentymentów”, a więc i we wzajemnych relacjach klasy robotniczej w różnych państwach.

Wielkim nieszczęściem dla ruchu komunistycznego jest wpisanie do niego programowego ateizmu. To kardynalny błąd, obecnie bez widoku jego naprawienia. To nieszczęście, że na tle światopoglądowym przyczyniliśmy się do podziału obywateli na lepszych i gorszych. Mało kto wie, a jak wie, to trzyma to w wielkiej tajemnicy, że Lenin w ostatnich tygodniach swojego życia uświadomił sobie istnienie błędu programowego ateizmu w ruchu komunistycznym i możliwości powstania nowego błędu, to jest stwo-

rzenia kultu przywódcy prowadzącego do, jak to niektórzy mówią, do ateistycznej religii. Dlatego kategorycznie zażądał, aby po jego śmierci nie stawiano jemu pomników, ani wieszano jego portretów, a z pogrzebu nie robiono jakiegos̄ widowiska.

Kilkanaście dni temu, jak mi mówili podchorążowie było zebranie partyjne i przyjmowano nowych członków, przyszłych oficerów. Jednym z pytań było: „Jaki macie światopogląd?” Irytuje mnie to retoryczne pytanie zadawane u nas w szkole dla dwudziestoparoletnich chłopaków. Oni oczywiście odpowiadali: „Światopogląd mam materialistyczny i skryształizowany”. Gdyby to mnie zadano takie pytanie, to odpowiedziałabym, że „kocham mamusię i tatusia”.

Wielki błąd, że nie udało się nam mocniej zewrzeć szeregów jeszcze przed wojną, i nie czekać na łaskawość Stalina i Żdanowa. Potem w 1947 roku, zostawiliśmy Gomułkę samego przeciw niektórym decyzjom jakie zapadły tutaj w Szklarskiej Porębie na międzynarodowej naradzie partii komunistycznych i robotniczych. Nasze inne błędy, to między innymi: Dopuszczenie do fikcyjnego zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego z polecenia Kremla wyrażonego w Szklarskiej Porębie... i utworzenia w 1948 roku partii atrapy, jaka była PZPR mimo wszystko; Brak stanowczości w upomnieniu się o kilkuset polskich komunistów zwabionych do Moskwy i rozstrzelanych i drugich tyłu wydanych dla gestapo, żeby nie własnymi rękoma. Jednym z nich był mój mąż Sylwester.

Gdy przyjdzie mi umrzeć świadomie nie będzie mi ciężko, bo część siebie dałam po to by w Polsce było lepiej niż za czasów mojej młodości. Jak będziesz w Warszawie, pójdziemy do towarzysza Wiesława, bo on też strasznie cierpi. W krajach demokracji ludowej, tylko w Polsce potrafią wyważyć dużą autonomię w stosunku do Związku Radzieckiego i jest to zasługa Władysława Gomułki. Jest on zarazem jedynym przywódcą w tych państwach, któremu nie stawiano i nie będzie się stawiać pomników. On po prostu był i dalej jest skromnym człowiekiem i dlatego warto go poznać osobiście.

Po to, by opowiedzieć historię rysunku Chrystusa, umieszczonego na głównej ścianie pokoju w mieszkaniu Janiny Bartosikowej, należy wglębić się w jej życiorys. Przynajmniej w tę jego część, która doprowadzi nas do momentu poznania tajemnicy obrazu Chrystusa w jej mieszkaniu.

Janina Mieczysława Maria Bartosikowa z domu Kulczycka urodziła się w Warszawie 24 stycznia 1908 roku. Rodzicami są Mieczysław Kulczycki i Helena Józefa z domu Bekiesz. Była najstarszą z trojga rodzeństwa. Ojciec pracował jako technik na kolei żelaznej. Był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej od 1905 roku. Matka zajmowała się domem. W gimnazjum jej szkolną koleżanką była Zofia Strzelecka, w przyszłości żona Władysława Gomułki. Szkołę średnią ukończyła w Warszawie w 1927 roku,

a w 1930 roku rozpoczęła studia jednocześnie na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Prawa i w Szkole Nauk Politycznych na Wydziale Administracji Państwowej i Komunalnej. Studia ukończyła dopiero w 1938 roku, z tego powodu, że musiała brać urlopy dziekańskie na okres zatrudnienia. Pracowała, aby zarobić na chesne w obu uczelniach. Zaangażowała się w działalność Bratniej Pomocy Studenckiej przy Szkole Nauk Politycznych. Tam nauczyła się działalności społecznej.

Za mąż wyszła za Sylwestra Bartosika w 1936 roku. Poznali się kilka lat wcześniej podczas studiów w Szkole Nauk Politycznych i uczestnictwa w lewicowych forach dyskusyjnych.

Bartosik jako najstarszy oraz najlepiej doświadczony życiowo i społecznie, w grupach lewicującej młodzieży budził szacunek i respekt. Był zawodowy oficer – pilot. Szkołę oficerską ukończył w Petersburgu. Podczas I wojny światowej za bohaterstwo na polu walki został wyróżniony carskim Orderem Świętego Jerzego. Ciężko rany dość długo przebywał w szpitalu. W czasie wojny polsko – bolszewickiej był instruktorem pilotażu w szkole lotniczej. Z wojska odszedł w stopniu kapitana. Podał się do dymisji, nie chcąc pogodzić się z korupcją, jak była przy zakupach dla Wojska Polskiego sprzętu lotniczego we Francji. Znany był z ogromnej uczciwości i rzetelności w pracy. Podobny charakter miał jego brat, który w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu uczył topografii. Po raz drugi podał się do dymisji jako sekretarz gminy w Skolimowie, protestując wobec utrzymania przez zwierzchnie władze na posadzie wójta - skorumpowanego człowieka i defraudanta znacznej sumy pieniędzy. Biegłe władał trzema językami obcymi i tę umiejętność wykorzystywał do studiowania rozległej literatury naukowej i politycznej. Choć Bartosikowie mieli lewicowe poglądy, z żadną partią lewicową wiązać się nie chcieli, bo im one nie odpowiadały pod względem programowym i organizacyjnej pracy. Postanowili być jak najdłużej niezależni. Z czasem zbliżyli się do środowiska działaczy Komunistycznej Partii Polski, a kiedy ta została rozwiązana przez Stalina w 1938 roku zaczęli jej członkom udzielać pomocy i w ten sposób poznali wiele wybitnych osób.

Bartosikowie zainteresowali się zasadami budowania oraz mechanizmami działania państwa socjalistycznego na przykładzie Związku Radzieckiego. Dość wcześnie zauważyli negatywne zjawiska jakie tam występują, lecz nie znali ich skali i wszystkich skutków społecznych. Postanowili przyłączyć się do pracy nad założeniami do przyszłego ustroju demokracji ludowej w Polsce. Miała ona doprowadzić do powstania państwa socjalistycznego, na zasadach ewolucyjnych zmian dokonujących się na drodze parlamentarnej. Ta idea miała duże grono przeciwników, a jednocześnie zwolenników radykalnych działań rewolucyjnych - bolszewizmu. Bartosi-

kowie pracowali nad zagadnieniem powszechnego i bezpłatnego szkolnictwa podstawowego, średniego i wyższego. Dlatego mieli rozległe kontakty z nauczycielami oraz działaczami Związku Nauczycielstwa Polskiego. Bartosik ponadto rozpoczął pracę nad zagadnieniami spółdzielczości i funkcjonowaniem kas oszczędnościowych. Dlatego znalazł zatrudnienie w Komunalnej Kasie Oszczędnościowej w Warszawie. Janina pracowała w Głównym Urzędzie Statystycznym, ale nigdy jako pracownik stała.

Po zajęciu Warszawy przez Niemców znalazła zatrudnienie w Spółdzielni Spożywców na Mokotowie jako robotnica magazynowa, a wynagrodzenie otrzymywała w postaci deputatu żywnościowego. Ponadto powróciła do udzielania korepetycji dzieciom i młodzieży. Po wybuchu wojny niemiecko – radzieckiej, w lipcu 1941 roku, Janina Bartosikowa zawiązuje wraz z Bronisławem Andrzejewskim i Janem Szymańskim, organizację pod nazwą Komitet Pomocy Ofiarom Faszyzmu. Ponadto Bartosikowie wspierają działalność organizacji skupiającej byłych członków Komunistycznej Partii Polski pod nazwą „Sierp i Młot”. Wraz z mężem Sylwestrem, na prośbę Włodzimierza Dąbrowskiego, włączają się do pracy nad odbudową Polskiej Partii Komunistycznej. On też nieoczekiwanie powiadamia Bartosików, że na posiedzeniu grupy inicjatywnej, która zawiązała Polską Partię Robotniczą, zostali powołani na jej członków z dniem 5 stycznia 1942 roku. Janina zostaje zaprzysiężona jako członek Gwardii Ludowej, przechodzi przeszkolenie medyczne i zostaje sanitariuszką. Jedzie do Krakowa i spotyka się z Zofią Strzelecką (Gomułkową), która namawia ją do zaangażowania się Sylwestra w działalność Gwardii Ludowej lub Komitetu Centralnego PPR. „Nie może być tak, że my tutaj w kraju jesteśmy i mamy być gorsi wobec tych, których się do nas przysyła. To nie my rozbiliśmy KPP. To my musimy na miejscu rozstrzygać nasze sprawy”. Mąż Bartosikowej uważa za słuszne to co powiedziała Gomułkowa, dlatego daje się „mianować” na pierwszego sekretarza Komitetu PPR Warszawa Śródmieście. W ich mieszkaniu przy ul. Wejnerta 14 przebywają takie osoby jak: Marcei Nowotko, Bolesław Mołojec, Włodzimierz Dąbrowski, Małgorzata Fornalska, Bronisław Andrzejewski, Jan Szymański, Jerzy Albrecht – Jurczak, Kazimierz Mijał, Hanka Sawicka, Czesław Mankiewicz i wiele innych osób.

W nocy z 28 na 29 września 1942 roku, Bartosikowie oraz Włodzimierz Dąbrowski zostają aresztowani przez gestapo i osadzeni w ich siedzibie przy Al. Szucha. Po ciężkich przesłuchaniach, w czasie których Janina Bartosikowa straciła zęby została przewieziona na „Pawiak” i przebywa w jednej celi razem z Nowotkową i Pruchniakową. Podczas przesłuchania dowiaduje się, że aresztowanie nastąpiło na skutek zdrady Bronisława Andrzejewskiego, który wcześniej aresztowany, w śledztwie zalał się i wydał wszystkie osoby jakie znał. Podczas konfrontacji potwierdził gestapowcom, że zna Bartosików.

16 stycznia zostaje włączona do transportu więźniów i przewieziona do obozu koncentracyjnego na Majdanku. Zdobywa sympatię więźniarek pomagając im przeżyć i znana jest pod pseudonimem „Krasnoludek”. Za podanie odrobiny wody Żydówce została ciężko pobita. Upatrzyła ją sobie do znęcania się bardzo piękna „gestapówka” – dozorczyjni i przez dłuższy czas codziennie biła pejczem. Po jednej z takich „sesji” przy użyciu pejczy z ołowianą kulką na końcu, uznała iż swoją ofiarę zakatowała. Janinie uraowały koleżanki.

W połowie lipca 1943 roku po selekcji medycznej Janina Bartosikowa z grupą więźniarek trafia do obozu w Ravensbrück. Tam spotyka swoją bratową. Stara się pomagać kobietom, szczególnie tym, na których prowadzono eksperymenty medyczne. Tutaj przydały się jej umiejętności sanitariuszki. Wkrótce sama staje się ofiarą eksperymentów i na skutek wycięcia jej fragmentów mięśni nogi zostaje inwalidką. Pewnego dnia znajoma powiadamia, że bratowa jest już prawie konająca i prosi o pomoc. Poszła więc Janina Bartosikowa do znanej z Warszawy lekarki. Ta się jednak obruszyła, że jej się przeszkadza w dniu świątecznym. Ponadto Bartosikowa usłyszała od niej, że „komunistkom pomagać nie potrzeba, niech zdychają”. Te słowa wywołały konsternację wśród więźniarek, bo znaly przecież Bartosikową. Poszła do Francuzek, a te powiedziały, że korzystają z pomocy lekarki Rosjanki. Tak trafiła na dość młodą kobietę, która bez gadania zarzuciła płaszcz i poszła ratować bratową, tak jak prawdziwa samarytanka.

1 maja 1945 roku Janina Bartosikowa zostaje włączona do jednej z grup 27 tysięcy więźniów przejętych przez Szwedzki Czerwony Krzyż z inicjatywy hrabiego Bernadotte. Poprzez Danię jest ewakuowana do Szwecji i przebywa w ośrodku dla kobiet w Renneby, gdzie starają się przywrócić jej zdrowie.

Pragnęła wieści ze świata, a szczególnie z Polski. Dostępne były tylko gazety i książki w języku szwedzkim. Poprosiła o radio i natychmiast je otrzymała. Rozumiała język francuski, niemiecki i rosyjski bardzo dobrze oraz trochę angielski. Po polsku słyszała w tym czasie audycje tylko z Londynu i Moskwy.

W tym obozie poznała ładną dziewczynę, Ukrainkę z Kijowa. Zbiegiem okoliczności nazywała się Wanda Wasilewska. Dobrze знаła język polski i w Szwedzkim Czerwonym Krzyżu podała się za Polkę. Do Kijowa wracać nie chciała, co bardzo Bartosikową zdziwiło i starała się wypytać co jest przyczyną takiej postawy. Ona powiedziała, że „jak chcesz wiedzieć, to tam jedź i przekonasz się”. Jak do obozu przyjechała komisja

radziecka, to ta dziewczyna natychmiast wyjechała do Anglii. W obozie prowadzono w tym czasie agitację przeciw powrotowi do kraju, bo jest w nim już straszny reżim komunistyczny. Radzono żeby poczekać na ponowne wyzwolenie Polski przez wojska amerykańskie i brytyjskie. Bartosikowa nie chce czekać na zakończenie rekonwalescencji i jak najszybciej pragnie powrócić do Polski. Z krajem nie ma w tym czasie komunikacji. Szwedzi informują, że za kilka dni ma przybyć statek szpitalny, który zabierze obywateli Związku Radzieckiego. Wraz z dwoma innymi Polkami (zapamiętała nazwisko tylko Heleny Skurat z Krakowa), za zgodą konsulatu radzieckiego dostają się na ten statek. Wcześniej w stołowce dochodzi do incydentu. Kilka kobiet opluwa ją jako komunistkę, mówiąc, że jest ona wrogiem Polski.

Na statku, po dwóch dniach większość kobiet zaczęła zachowywać się jak obłąkane. Kilka z nich odebrało sobie życie. Polki przebywają w oddzielnej kabinie, nie mogą jednak swobodnie poruszać się po statku i żartują, że przebywają w luksusowej celi z toaletą i kabiną prysznicową. Wkrótce zmieniają zdanie, bo odkryły, że niewielka męska część byłych jeńców folguje swoim chuciom i załoga nie może sobie z tym poradzić. Prawdopodobnie sami również biorą udział w gwałtach kobiet, szczególnie bestialskich bo dokonywanych na chorych i umierających. Okazuje się, że zamiast do najbliższego portu, statek popłynął aż do Wyborgu. Tam zobaczyła jak kobiety, byle więźniarki, cicho i posłusznie przechodzą ze statku do wagonów towarowych pod strażą żołnierzy, którzy mieli karabiny z bagnetami. Bartosikowa zdenerwowana, dopytuje się o najwyższego dowódcę, który tym kieruje. Żołnierz popycha ją w kierunku wagonu, ona zbiera siły wybiega poza kordon i zaczyna krzyczeć, że rozmawiać chce z najwyższym dowódcą. Podchodzi jakiś wojskowy i pyta się o co jej chodzi. Bartosikowa - Dlaczego w ten sposób postępujecie z tymi kobietami, które już przeszły piekło? - A wy kto, że zadajecie takie pytania? - pyta się oficer. - Ja jestem Polką i chcę jechać do Polski. Zostaje aresztowana przez NKWD i osadzona w więzieniu w celi izolatce bez okna, oświetlanej żarówką. Traci kontakt z pozostałymi dwiema Polkami. Po jakimś czasie w drzwiach staje oficer NKWD i komunikuje jej, że zostaje zatrzymana pod zarzutem szpiegostwa na rzecz państw imperialistycznych. - To po prostu niedorzeczność mówi do niego i prosi o papier z zamiarem napisania listu do polskiego konsulatu. Oficer nic nie mówi i zamyka drzwi.

Zaczął się więzienny życie i próby liczenia czasu. W tej celi przebywa przez 9 dni. Następnie zostaje umieszczona w kolejowym wagonie więziennym i w ten sposób trafia do obozu w Dubrowce koło Leningradu. Więziono w nim kobiety z krajów nadbałtyckich (Litwinki, Łotyszki i Estonki), w większości kobiety wykształcone, intelektualistki i artystki.

Jest koniec lipca 1945 roku. Rozpoczęły się nocne kilkugodzinne

przesłuchania, ze straszaniem i poszturchiwaniem. W kółko musi opowiadać swój życiorys. Inne kobiety podczas takich przesłuchań są maltretowane również fizycznie. Opowiadają, że w jej przypadku to taki łagodny rutynowy początek gehenny, który niebawem nastąpi. Po miesiącu przynaszasz się do wszystkiego, nawet do tego, że byłaś kochanką Hitlera. Zdobywa sympatię współtowarzyszek niedoli. Z rozmów Janina Bartosikowa dowiaduje się prawdy o systemie stalinowskim i jest na krawędzi załamania psychicznego. Uświadamia, że jest to reżim taki jak hitlerowski. Postanawia nie podawać żadnych nazwisk, bo nie wie jaka jest sytuacja w Polsce. Uznymślawia sobie, że Polska już może być jedną z republik, bo ją traktują tak samo jak obywatelki republik nadbałtyckich. Cud następuje 18 sierpnia. Prowadzona do sali przesłuchań przypadkowo ujrzała w kieszeni przechodzącego korytarzem oficera fragment gazety ze zdjęciem Władysława Gomułki. Pomyślała: „Jeśli w radzieckiej gazecie jest zdjęcie Gomułki, to znaczy, że jest on ważną osobą i muszę to wykorzystać”. Tym razem na pytanie – Kogo w Polsce znacie? Bez wahania odpowiedziała – Władysława Gomułkę. – A kim on jest? – Żeby spotęgować wrażenie mówi – Tym samym, czym wielki wódz Związku Radzieckiego Józef Stalin, tylko że w Polsce. - Skąd wiecie? Kłamie, że dowiedziała się o tym będąc w Szwecji z moskiewskiego radia. - Napisałam nawet do Polski, że wracam radzieckim statkiem szpitalnym. Na tym przesłuchanie się zakończyło. Nazajutrz nie wezwano jej na przesłuchanie i w dni kolejne. Współtowarzyszki zaczynają się zastanawiać, co to może znaczyć. Jedne mówią, że to już koniec z nią, inne pocieszają, że pewnie będzie wolna, bo jest Polką.

Kilka dni później przychodzi oficer, salutuje i zaprasza ją do komendanta obozu. Od niego dowiaduje się, że zaszła ogromna pomyłka i że bardzo przepraszają. Od tego momentu jest wolna, ale nigdzie nie wolno jej się oddalać. Dostaje nowe miejsce do zamieszkania poza obrębem ścisłego obozu i może korzystać z biblioteki. Na pytanie czy może chodzić nad morze, z wahaniem otrzymuje pozwolenie. Poprosiła komendanta o papier do napisania listów i o pióro. Otrzymała papier i ołówek. Upomniwała się o dwie Polki, które jej zaufały i chciały skrócić drogę do kraju. Otrzymała obietnicę, że one tak samo wrócą do Polski jak i ona. Na pytanie kiedy to nastąpi? Otrzymała odpowiedź, że niedługo.

Poszła do baraku w którym spędziła trzy tygodnie, pożegnać się z kobietami i dodać im otuchy, że tak samo jak ona w pewnym momencie staną się wolne. Kilka kartek papieru okazało się być rzeczą drogocenną. Jedna z Łotyszek, w ciągu kilku minut narysowała Chrystusa. - Weź ten obrazek na pamiątkę naszej niedoli i zawieź do Polski. Niech ci przypomina o kobietach, które tęsknią za wolnością, rodzinami i miłością. Ty jesteś Polką, a twój naród jest wielki i umie walczyć o wolność. Nie zapominaj o nas, nawet wtedy, gdy już nas nie będzie. Inna prosi artystkę. - Narysuj dla nas taki sam

obrazek, tylko żeby był mały i łatwy do schowania. Będziemy się modliły za naszą polską przyjaciółkę, żeby była na wolności szczęśliwa.

W momencie kiedy już straciła nadzieję na powrót do kraju i oczekiwała na ponowne umieszczenie jej w ścisłej strefie tagru, 29 września przyszedł żołnierz i mówi, że ma z nim iść do komendanta. Ten powiedział jej, że już jest podstawiona maszyna i że zawiozą ją na kolej żelazną. Do kraju pojedzie pociągiem. Przed wyjazdem musi spełnić tylko jeden niewielki warunek – podpisać zobowiązanie do zachowania w tajemnicy wszystkich zdarzeń od momentu opuszczenia Szwecji do momentu opuszczenia eszelonu w Polsce. Na pytanie co się stanie jak nie podpisze, otrzymała odpowiedź, że na następny pociąg do Polski może zbyt długo czekać, a wtedy przywyknie i poprosi o pozostanie tutaj. Otrzymała zaświadczenie, że Związek Radziecki opuściła już 27 lipca. Zrozumiała, więc i nie zadawała więcej pytań.

Na stacji zobaczyła długi pociąg składający się z wagonów towarowych. Był to eszelon szpitalny wiozący 700 rannych i chorych jeńców niemieckich do Frankfurtu nad Odrą. Bartosikową umieszczono w wagonie z sanitariuszkami i w tym momencie pociąg ruszył, by po godzinie jazdy zatrzymać się w polu na dwa dni. Bywało, że eszelon wracał na stację, z której wyjechał kilka godzin wcześniej. Był umieszczany na rozkładach jazdy jako pociąg puszczany na trasę w ostatniej kolejności. Sanitariuszki dobrze spełniały powinności przy chorych, natomiast sanitariusze i obstawa wojskowa w wielu przypadkach skandalicznie. Największym problemem były sprawy związane z utrzymaniem higieny oraz zaspokajanie potrzeb fizjologicznych przez jeńców. Pociąg zatrzymywał się na otwartym polu, z wagonów wyganiano wszystkich mogących się poruszać. Sanitariusze i żołnierze z obstawy sprawdzali wagony. Był to również czas na usuwanie z wagonów zwłok zmarłych. Po kilku dniach jazdy Janina Bartosikowa zaczęła pomagać obsłudze sanitarnej eszelonu w opatrywaniu rannych. – Oni byli tacy bezradni i w oczy patrzyli niektórzy jak najwierniejsze psy. Szczególnie żał mi było okaleczonych chłopaków i ich matek, kiedy zobaczą swoich synów bez rąk, nóg i oczu, albo z innymi strasznymi ranami. Pewnego dnia przechodziła wzdłuż szeregu ułożonych na fące zwłok i zobaczyła, poruszającą się rękę. Podeszła i ujrzała starszego wiekiem Niemca, który próbował podnieść zabandażowaną głowę. Widać tylko było jego błagające oczy. Zawołała sanitariuszy, przyszedł jeden, popatrzył i kopnął leżącego w bok. – Niech zdycha – powiedział i odszedł. Zaczęła wołać, żeby przyszedł ktokolwiek jej do pomocy, nikt nie chciał się ruszyć. Podeszła do wagonu z jeńcami, drzwi były odsunięte. – Tam leży wasz ziomek, trzeba go zabrać! Nikt się nie ruszył, patrzyli się na nią obojętnie. Zobaczyła dwie sanitariuszki idące od czoła pociągu. Zaprowadziła je do leżącego Niemca, jedna z nich jak nie wrzaśnie – Jura! Kilka wagonów dalej wyrzał sanitariusz. Ona do niego zamachała rękoma i za moment przyszło dwóch sanitariuszy z noszami. Chory wrócił do wagonu.

13 października 1945 roku specjalną linią kolejową zbudowaną do radzieckich transportów wojskowych dojechała do Poznania, gdzie została przez komendanta eszelonu pożegnana. Otrzymała od niego swoje dokumenty i była wolna. 20 października była już w Warszawie na rozmowie u Zofii Gomólkowej, która w tym czasie była szefową kadr Komitetu Centralnego PPR. Trzymała pracę w Ministerstwie Ziemi Odzyskanych na stanowisku samodzielnego inspektora.

Po kilku dniach od powrotu do rodzinnego domu, rysunek więźniarki z lagru Dubrowka, oprawiony w ramki zawisł na ścianie w pokoju i znajdował się tam, aż do połowy kwietnia 1992 roku, kiedy to po śmierci Janiny Bartosikowej (28 marca 1992 roku) małe komunalne mieszkanie trzeba było przekazać nowym lokatorom.

Na parterze mieszkał starszy pan chory na cukrzycę. – Już nie będzie pani Janina do mnie przychodziła codziennie o 6 rano, żeby wstrzyknąć mi insulinę. Ona od piętnastu lat, a właściwie chyba od zawsze to robiła. Jak gdzieś wyjeżdżała załatwiała w zastępstwie pielęgniarkę. Nie było by problemu, ale mam sparaliżowaną prawą rękę, a i lewa często mi niedomaga.

Pani Maria, koleżanka Janiny Bartosikowej. – Janka to chyba postępuje nierozsądnie. Kiedy kilka lat temu dostała od Niemców odszkodowanie za eksperymenty medyczne na niej w Ravensbrück, to wszystkie pieniądze oddała na dom dzieci niepełnosprawnych prowadzony przez siostry zakonne. Obecnie utrzymuje się z bardzo skromnej emerytury.

Innym razem opowiadała - W 1977 roku nadeszła z Niemiec do Janiny przesyłka od nieznanego kobiety. W pakiecie znajdował się zwykły medalik oraz dwie karteczki. Pierwsza z wyjaśnieniem, że jest to pamiątka po mężu, który zdobył adres w Towarzystwie Opieki nad Majdankiem i wyraził wolę przekazania jej medalika. Druga karteczka od męża tej kobiety z podziękowaniem za uratowanie życia „jemu” Niemcowi w rejonie Dźwińska – „Gdy leżałem wyrzucony z wagonu modliłem się o jak najszybszą śmierć, a zobaczyłem kobietę, w oczach której dostrzegłem ogromną dobroć, a po latach dowiedziałem się jak bardzo była przez nas Niemców skrzywdzona. Ten medalik miałem przez całą wojnę, a potem brałem go do dłoni jak modliłem się o szczęście dla Pani. Dziękuję”.



Na zdjęciach. Na górnym Janina Bartosikowa rozmawia z ks. Andrzejem Bokiejem, na trybunie placu apelowego, w przerwie uroczystości promocyjnych absolwentów Szkoły Chorążych w 1991 r.

Na dolnym podczas rozmowy z sierż. pchor. Majką, który pisał pracę dyplomową w oparciu o jej wspomnienia. Dwa tygodnie później Janina Bartosikowa została zamordowana.



ZAWSZE COŚ MNIE NOSIŁO **(wspomnienia chor. w st. spocz. Juliana DRZYMAŁY)**

Większość wspomnień chor. Juliana Drzymały spisałem w kwietniu 1997 roku. Uczyniłem to z jego inicjatywy, po jednym zebrań koła Związku Bytych Żołnierzy Zawodowych. Potem powracaliśmy do niektórych wątków tych wspomnień, ale nigdy nie mieliśmy dość czasu do spisania tych, szczególnie związanych z jego służbą w jeleniogórskich oficerskich szkołach radiotechnicznych.

Opowiadanie jest dość długie, jak na tego rodzaju publikację, lecz zapewne zostanie przeczytane z zainteresowaniem, z takim z jakim ja słuchałem Juliana, zdumiony jego wypowiedziami. Przez lata pobieżnej znajomości nie wiedziałem, że jest on człowiekiem o tak bogatej przeszłości i zdolności postizegania jej w sposób krytyczny.

Mówił o emeryckim czasie, jako tym, który przywraca pamięć o wielu zdarzeniach, jakich nie chciało się pamiętać w poprzednich latach i o sumieniu, które potrafi gnębić za drobne nawet niegodziwości sprzed lat.

Bolał nad tym, że w szkole przy tak dużej ilości osób bardzo wysoko wykształconych, nikt go nie chciał nigdy wysłuchać. Mówił: „Zawsze widziano mnie jako podoficera i tym samym jako człowieka mniej wartościowego bo nie wykształconego. Wiele oficerom wydaje się, że jestem osobą w pewnym stopniu ułomną, o mniejszej wrażliwości, niezdolną do oceny rzeczywistości, a ja o wielu z nich zaczynam mieć podobne zdanie”.

Często na zebraniach i podczas spotkań z kolegami niepokoił się stanem Wojska Polskiego. Mówił: „Nie mogę przeboleć, że Wojsko Polskie dziadzieje. Nie będzie już żołnierzy służących dla idei za marne grosze, tylko będą panowie wyłącznie zainteresowani kasą. Dla nich będzie obojętne przeciwko komu ich skierują, byle by dobrze płacono. Ja wcale nie przesadzam tak mówiąc, ja wiem, że tak będzie. Takie jest moje zdanie emeryta wojskowego, byłego podoficera i tego zdania nie będę miał szansy zmienić, bo dobrze widać w jakim kierunku nasze wojsko idzie. Nie szliśmy na pasku Ruskich tak, jak teraz zaczynamy iść na pasku Amerykanów”.

Innym razem mówił o środowisku byłych żołnierzy zawodowych: „Dziwi mnie zachowanie się kolegów z koła ZBZZ. Choć są mocno przestraszeni, bo zaczęto majstrłować przy naszych emeryturach, jakoś nie mają chęci do praw-

dziwego działania, do obrony swoich praw. Pisanie protestów do władz państwowych w ogóle nie pomoże. Potrzebne są inne działania, takie jakie podejmują związki zawodowe. Władza boi się mas ludzkich i taki nacisk nam trzeba stosować. Ja przewiduję, że nasze emerytury zostaną tak skonstruowane, żeby nas byłych żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego jak najszybciej zniszczyć najpierw psychicznie, a później fizycznie. Nas coraz bardziej uważają za zarazę, bo byliśmy za bardzo patriotyczni i gorliwi w pracy społecznej na rzecz społeczeństwa. My sami też się niszczymy, bo nie potrafimy się jednoczyć w organizacji. Tylko nielicznym kolegom chce się działać i poświęcać dla innych, a reszta tylko czeka na kaszkę z nieba. Ja rozumiem, że Koledzy są zgorzkniali i zamykają się w sobie. Wielu wypaliło się wewnątrz i brakuje im sił, nawet na obronę swojej godności. Ja podziwiam Zygmunta Wójcika, którego poznałem jeszcze w Beniaminowie, on cały czas jest zaangażowany i chce być dalej użyteczny. Jego żona ma podobny charakter. Kobieta ledwie chodzi, bo jest inwalidką, przeszła przez kanały w czasie Powstania Warszawskiego i obozy hitlerowskie, a mimo tego pomaga innym. Z drugiej strony mamy wśród nas i takich, którzy bynajmniej nie klepią biedy... i oni wyciągają jeszcze rękę po zapomogi, bo im brakuje do nowego samochodu, albo do zagranicznej wycieczki. Inni w tym czasie nie mają za co kupić lekarstw i w cichości po prostu umierają. Te sprawy co raz mocniej mnie gryzą. Od myślenia o tym serce zaczyna mi boleć. Ja już sam nie wiem dlaczego ja to wszystko tak mocno przeżywam, skoro więksi i mądrzejsi mają to wszystko w czterech literach”.

Nie zdążyliśmy dokończyć podjętej pracy. Julian Drzymała zmarł 22 listopada 1998 roku, a rok później zmarła jego żona. Pozostawili dwoje dzieci: Wiesława i Danutę.

Poniżej przedstawiam fragmenty wspomnień Juliana Drzymały.

Urodziłem się 11 kwietnia 1928 roku w Koronowie i tam spędziłem dzieciństwo. Trudno uwierzyć, ale faktem jest, że stryj mojego ojca, to ten Drzymała, który mieszkał w baraku na kołach. Brat matki był komendantem posterunku Policji Państwowej. W grudniu 1939 roku nieoczekiwanie dał znać rodzinie, że przebywa na terenie Związku Radzieckiego. Potem nie było już żadnych wiadomości. Niedawno został odnaleziony na listach policjantów zamordowanych przez NKWD.

Od małego chciałem zostać policjantem, takim samym, jakim był mój wuj. Kiedy nas odwiedzał, wszyscy odnosili się do niego z ogromnym szacunkiem. On dawał mi i braciom czapkę i mówił - Pamiętajcie, że jest na nie godło i trzeba ją bardzo szanować. Spadała mi na oczy i była ciężka. Życie tak się ułożyło, że nie zostałem policjantem, a właściwie milicjantem. Został nim brat i jak się okazało, tak samo mocno był zafascynowany postawą

naszego wuja. Brat bez reszty poświęcił się służbie i myślę, że godnie kontynuował rodzinną tradycję.

Kiedy wybuchła wojna miałem jedenaście lat. Nasi żołnierze byli nieustannie atakowani z powietrza, a także z ukrycia przez niemiecką "piątą kolumnę". Obserwowaliśmy triumfalne wejście wojska niemieckiego, ukradkiem z okien. Na ulicy było dużo ludności i oni swoich witali kwiatami. Wcześniej wydarzyło się coś, co nas bardzo przstraszyło. Około kilometra od naszego domu zostało zamordowanych 32 polskich rannych żołnierzy, dwie siostry i lekarz. Zamordowano też 7. żołnierzy, którzy wieźli tych rannych na wozach konnych. Zrobili to Niemcy mieszkający w pobliskich wsiach, nie pamiętam dokładnie, rankiem 7. albo 8. września. Słyszeliśmy strzały. Ja i dwóch kolegów pobiegliśmy tam ukradkiem. Zamordowani leżeli pokotem przy drodze i jeden zabity koń na drodze. Słyszeliśmy głos – Pić, pić. Pali mnie, pić. Jak usłyszeliśmy warkot motocykla uciekliśmy w krzaki, jakieś 30 metrów od drogi. Usłyszeliśmy strzały, dlatego uciekłem z kolegą w głąb lasu. Drugi kolega został w krzakach i widział jak strzelają do tych leżących, bo pewnie jeszcze niektórzy żyli. Wśród strzelających był Alojz z Inowrocławia, który rozwoził po wsiach i sprzedawał sprzęty gospodarstwa domowego. On kierował tą grupą zbrodniarzy. Dwa lata później zginął z rąk „polskich bandytów” - tak napisano w nekrologu.

Od pierwszych dni wojny zagrożeniem dla Polaka mógł być każdy Niemiec, nawet rozeźlony sąsiad. Mieszkało ich na Pomorzu przecież bardzo dużo. Oni założyli mundury i wyszli z domów z bronią. Młodzież paradowała w mundurach Hitlerjugend. Cieszyli się, że przyszła do nich wielka III Rzesza. Zaczęło się wyrzucanie polskich rodzin z najładniejszych domów i zagród. Zajmowali je Niemcy, sprowadzani nawet z zagranicy. Ciągłe trwały aresztowania, ważniejszych Polaków. Większość Niemców widziała w nas nie ludzi tylko woły robocze. Lubili popisywać się wobec siebie złym traktowaniem nas w miejscach publicznych. Każdy starał się być w tym gorliwszy. Kiedy byli sami niektórzy stawali się inni, nie tak butni i po prostu ludzcy. Ukradkiem słuchaliśmy opowiadań dorosłych o strasznych zbrodniach jakie były w Bydgoszczy i na całym Pomorzu, a także w naszej okolicy na ludności polskiej. Niemcy otwarcie nam mówili, że za dziesięć lat, już nikt nie będzie pamiętał o Polsce, bo oni zaprowadzą nowy porządek, a my mamy się cieszyć bo mieszkamy już w 1000 letniej Rzeszy, a nie w jakiejś g... Polsce. Kto z Polaków będzie posłuszny ich władzy i będzie dobrze pracował, ten przeżyje. Na początek wylapią i zamkną w obozach pracy wszystkich leniwych Polaków, żeby zmądrzeli. Dlatego jako Polak musiałem po ukończeniu sześciolletniej szkoły podstawowej podjąć pracę, a nie miałem jeszcze przecież ukończonych nawet 14. lat. Najpierw pracowałem w gospodarstwie rolnym, a potem jako pomocnik wozaka.

Kuzynka poprosił mnie o odwiezienie pożyczonej książki. Jak zeskakiwałem z wozu wysliznęła się spod bluzy i spadła pod nogi kobiety, do której

wieźliśmy węgiel. Jak ta starsza pani zobaczyła, że jest to polska książka, narobiła takiego wrzasku, że przyszedł policjant i zabrał mnie na komisariat. Powiedziałem, że książkę wziąłem ze składu makulatury, który znajdował się przy placu węglowym. Dostałem tęgie lanie za przywłaszczenie niemieckiej własności i za to, że chciałem czytać wywrotową książkę Bolesława Prusa, to jest „Placówkę”. Uratował mnie policjant, który był znajomym wuja, a przecież za to, co zrobiłem, mogłem trafić do więzienia w Fordonie, tak mi powiedziano. Ta kobieta, która tak wrzeszczała, była kiedyś nauczycielką w gimnazjum w Toruniu i mama ją знаła. – Drzymałowa, wy pilnujcie swego Julka, bo jak nic trafi na szubienicę. Niech lepiej zgłosi się na ochotnika na front. On też musi wspierać naszego Führera, a nie czytać polskie świńskie książki – radziła mamie. Jej córka wyszła tuż po wojnie za mąż za Polaka i do dziś mieszka w Bydgoszczy.

Kazano mi odwieźć bryczką księdza proboszcza, który miał parafię około 25 km od Koronowa. Było to po rekolekcjach, na których mówił o rodzinie, jej obowiązku posiadania dzieci i ich wychowaniu dla Niemiec i Führera. Siedział na ławeczce bryczki obok i co jakiś czas kładł dłoń na moje udo. To mnie denerwowało, ale nic nie mówiłem. Przez cały czas gadał, jak to się wtedy mówiło, o świńskich rzeczach. Miał metalową buteleczkę i z niej popijał. Ja nie dałem się do tego namówić. Kiedy podjechałem pod plebanię już był dobrze wstawiony. Gospodyni dawała mi jakieś znaki, ale nie wiedziałem o co chodzi. Siłą zaciągnął mnie na kolację. Przy stole zaczął mnie obejmować i się przytulać. Tego już wytrzymać nie mogłem i wałnąłem go w nos tak, że się zakrwawił. Nic mi jednak nie powiedział, tylko jeszcze bardziej stał się natarczywy. Nie dokończyłem jedzenia i wyskoczyłem prosto do kuchni. Tam jego gospośnia wcisnęła mi w rękę chleb i kilka plasterów szynki. Powiedziała żebym jak najszybciej odjechał, bo może być źle, jak doniesie na mnie do policji. Miałem specjalną przepustkę i bez kłopotów po nocy dotarłem do domu. Od tego zdarzenia przestałem chodzić do kościoła widząc w każdym księdzu obludnika. Tak przecież w rzeczywistości nie jest, ale ja to tak wtedy odczuwałem i tego nastawienia zmienić nie mogłem, a potem już nawet nie chciałem. Powiedziałem o mojej przygodzie policjantowi, temu który mnie uratował. – Dla ciebie ta sprawa jest przykra, ale są jeszcze gorsze – powiedział. Po latach dowiedziałem się, że ksiądz zmarł w obozie koncentracyjnym.

Wiosną 1944 roku zapoznałem się z chłopakiem o dziesięć lat starszym. Mówił, że przyjechał z Włocławka. Zamieszkał niedaleko od nas u swojej ciotki i pracował jako mechanik lokomobili. Romka znałem pod nazwiskiem Czekaj. Złożyłem przysięgę zachowania w tajemnicy tego, co się od niego dowiem i co będziemy robili. Mielśmy przygotowywać się do partyzantki. Moim zadaniem było ustalenie którzy chłopcy w wieku od 15 lat wżwyż są godni zaufania i z którymi on może rozmawiać. Powiedział, że jak zgromadzimy grupę chłopaków i będziemy już potrzebni do działania na zapleczu niemieck-

kiego frontu, to dostaniemy zadania, ale broni nie otrzymamy, ze względu na nasz młodociany wiek. Na spotkaniach, w których uczestniczyło czterech chłopaków opowiadał o nowej Polsce, jak ona będzie. Dokładnie tego wszystkiego, co usłyszałem nie powtórzę, ale najważniejsze sprawy o których mówił zapadły mi w pamięci na zawsze. Do dziś jestem przekonany o słuszności tego wszystkiego o czym on mówił. Przede wszystkim namawiał nas do jak najlepszej nauki, ponieważ Polska potrzebuje ludzi wykształconych, a tych po wojnie będzie za mało, bo zostało ich już dużo wymordowanych. Opowiadał o obozach zagłady, w których ludzie pali się w piecach. Nie mogłem w to uwierzyć, aż do czasu kiedy te piece zobaczyłem na własne oczy. Polska będzie o ustroju demokracji ludowej i wszyscy będą obywatelami, tak jak marzył o tym Tadeusz Kościuszko. Opowiadał o Milicji Obywatelskiej, która ma zastąpić Policję Państwową i byłem tym ogromnie poruszony. Milicja nie będzie strzeżała do ludzi pracy, bo nie będą się buntowali, bo nie będzie już kapitalistycznego ich wyzysku. Wszyscy będą solidarnie pracować dla wszystkich. Przemysł i fabryki zostaną upaństwowione i staną się własnością całego narodu, a chłopci otrzymają ziemię z parcelacji majątków. Będą prywatne tylko małe rodzinne zakłady pracy do 20 robotników, sklepy, warsztaty rzemieślnicze i gospodarstwa rolne. Na wsi będą tworzone spółdzielnie rolne oraz kółka rolnicze, żeby pracę chłopską uczynić lżejszą i w wymiarze ośmiogodzinnym. W nowej demokratycznej Polsce nie będzie panów, tylko równi sobie obywatele i wszyscy będą mieli jednakowe prawa, a nie w zależności od bogactwa. Szkoły mają być bezpłatne i dostępne dla wszystkich. Tak samo opieka lekarska. Wojsko Polskie będzie służyć obronie ludowego państwa i tego co osiągną robotnicy i chłopci. Granice Polski zostaną przesunięte na zachód, nad Odrę i Nysę, całe wybrzeże będzie nasze, łącznie z Prusami. Przy Polsce nie będzie Wilna i Lwowa, ale z tym trzeba się będzie pogodzić, bo do tych miast mają prawo inne narody. Pewne problemy spowoduje to, że wyzwolenie Polski nastąpi przez Armię Czerwoną i nie ma pewności jak długo ona pozostanie na naszym terytorium. Młodzież musi przygotowywać się do tego, żeby w przyszłości własnymi siłami rozwiązywać nasze Polskie sprawy. W tej nowej Polsce najważniejsi mają być robotnicy i chłopci, dotąd zawsze ograbiani. Nikt nie będzie mógł żyć kosztem wyzysku innych. Dotychczasowi wyzyskiwacze będą mieli szansę uczciwie pracować, tak jak inni Polacy. Praca będzie dla wszystkich, dlatego każda rodzina i każdy obywatel będzie miał środki do życia. Najpierw będzie trudno i biednie, ale z czasem, kiedy zbudowany zostanie przemysł i ludzie wykształcą się, żyło się będzie w Polsce bezpiecznie i dostatnio. Złodziei i różnych malwersantów będzie się z całą surowością tępiło. Bardzo nas zainteresowały te wiadomości i dlatego marzyliśmy żeby walczyć o taką Polskę i w takiej Polsce żyć. W sierpniu powiedział nam, że na wyzwolonym terenie Polski działa już rząd ludowy. Potem już go nigdy więcej nie widziałem. Z naszej czwórki żyje jeszcze jeden kolega w Warszawie, był oficer KBW i SB. On trafił do 4 Dywizji Piechoty i był na froncie. Spotkania z Romkiem Czekajem wywarły na mnie ogromne wrażenie, takie, że kiedy tylko

nadarzyła się możliwość wstąpiłem od razu po wyzwoleniu do Związku Walki Młodych, a w 1946 roku do Polskiej Partii Robotniczej. Byłem dumny z tego, że należę do tak bardzo postępowych organizacji, które stwarzają mi możliwości rozwoju i ciekawego życia.

Kiedyś general Paździor kazał mi zawieźć panią Bartosikową do Legnicy. Pojechałem i znalazłem się w mieszkaniu jej znajomego sprzed wojny o imieniu Tadeusz. Rozmowa zesłała na wspomnienia wydarzeń lat powojennych. Opowiedziałem o tym koleźce i o swoim przypuszczeniu, że pewnie trafił on w ręce gestapo albo NKWD. Wtedy dowiedziałem się, od tego pana, że rzeczywiście NKWD wytapywało niektórych polskich komunistów, tych którzy nie chcieli się zadeklarować po stronie Moskwy, tylko chcieli budować ustrój w Polsce po swojemu. Oni ponoć byli bardziej niebezpieczni, niż zbrojne podziemie przeciwne władzy ludowej. Większość z nich, a tego oczekiwało, nie chciała się ślepo podporządkować Międzynarodowce i Stalinowi. Pani Janina Bartosikowa, co prawda tego nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła. Chyba się mnie wtedy jeszcze bała.

W styczniu 1945 roku byliśmy już wolni. Wtedy zobaczyłem ludowe Wojsko Polskie. Zrobiło ono na wszystkich ogromne wrażenie swoim wyposażeniem w broń ciężką. Rozpoczął się nabór do wojska, chciałem iść jako ochotnik, ale się nie udało ze względu na wiek. Takich chłopaków było kilku. Chorąży zebrał nas i mówi – Będziecie mogli pójść na ochotnika jesienią, a niektórzy na wiosnę następnego roku, ale my już niedługo zdobędziemy Berlin i zakończymy wojnę. Lepiej idźcie się uczyć, pomoże wam Związek Walki Młodych, to taka organizacja młodzieżowa, która za kilka dni tutaj powstanie. W ten sposób znalazłem się w jednej z pierwszych grup tej organizacji na Pomorzu. Na jednym z zebrań powiedziałem, że powinniśmy pomagać Milicji Obywatelskiej i w ten sposób znalazłem się w jej Ochotniczej Rezerwie. We wrześniu 1945 roku zostałem, ku swojej radości, przez Zarząd Wojewódzki ZWM skierowany do służby w Milicji Obywatelskiej, choć nie miałem jeszcze ukończonych 18 lat. Uczestniczyłem w bardzo krótkim przeszkoleniu w Poznaniu i już pod koniec października wraz z grupą operacyjną zostałem przeniesiony do Zielonej Góry. Przed wyjazdem odwiedził nas Aleksandr Kowalski, który kierował ZWM i był członkiem Komitetu Centralnego PPR. Od niego usłyszeliśmy, że my młodzi mamy misję przywracania Ziemi Odzyskanych do Macierzy. On był jednym z tych, którzy zabiegali u Stalina o polskie granice na Nysie Łużyckiej, Odrze oraz posiadania całego wybrzeża Bałtyku, łącznie z Prusami. Dopiero po latach w pełni zrozumiałem dlaczego tak bardzo emocjonalnie podchodził do wszystkich spraw związanych z zagospodarowaniem tych ziem. Zachęcał nas do jak największego wysiłku w zapewnieniu obywatelom bezpiecznych warunków pracy, nauki i wypoczynku. Naszym zadaniem było doprowadzić do sytuacji, by nikt nie był narażony na utratę życia lub zdrowia ze strony wrogów ludu, a także zachęcał do wysiłku w zabezpiecza-

niu mienia narodowego przed kradzieżami i niszczytelstwem. Zapowiedział utworzenie powszechnej organizacji dla młodzieży, która chce ochotniczo uczestniczyć w pracy dla kraju. Kilka lat później, jak pracowałem w Warszawie, dowiedziałem się, że on zmarł z przepracowania.

W Zielonej Górze byli już moi bracia Marian i Wacek. Pojechali tam w pierwszym zaciągu chętnych, w marcu 1945 roku, zabezpieczać i uruchamiać zakłady produkcyjne. W grupie operacyjnej byłem krótko. Zostałem skierowany następnie do ochotniczej rezerwy milicji, czyli do ORMÓ z nakazem podjęcia zatrudnienia, żeby od wewnątrz, to jest będąc wśród pracowników, pilnować mienia narodowego. Chciałem początkowo pójść do pracy w słynnych zielonogórskich zakładach metalowych, w których Niemcy produkowali znane w Europie mosty, hale dworcowe i wagony - pulmany. Rosjanie jednak w tym czasie z tego zakładu wywieźli nie tylko maszyny i fachowców, także całą dokumentację. Brat opowiadał z żalem o swojej bezsilności wobec tego działania. Zatrudniłem się w fabryce "Polska Welna". Nie będę ukrywał, że zainteresowałem się tą fabryką, gdy zobaczyłem, jak dużo pracuje w niej dziewczyn, w tym czasie w większości Niemek, bo brakowało Polek do obsługi maszyn. Chłopaki opowiadali o nich niesamowite historie i o swoich przygodach erotycznych. Bardzo śpieszyłem się więc do tego rajgu.

W tym czasie na Ziemi Lubuskiej, która została podporządkowana pod Poznań, trwała akcja zasiedlania jej Polakami. Dużą ich część przywożono z polskich kresów wschodnich, w tym rodziny wracające z wywózki na Syberię. Byli to więc ludzie bardzo biedni i mocno doświadczeni przez los. Chociaż znaleźli się na terenach lepiej zagospodarowanych i wyposażonych technicznie, czuli się na nowej ziemi niepewnie, tym bardziej, że z tego co zastali w swoich nowych domach, byli ograbiani przez różnych cwaniaków. Dlatego władze starały się pośpiesznie tworzyć nowe jednostki ORMÓ we wszystkich miejscowościach, aby jak najszybciej zapewnić bezpieczny byt ludności, szczególnie osiedlanej z dala od miasteczek i większych osiedli. Jednostki milicyjne w gminach też się dopiero tworzyły. Milicjantom w nich będącym brakowało doświadczenia i wyposażenia technicznego. W miastach powiatowych oprócz milicji były jednostki Urzędu Bezpieczeństwa, ale one zostały ukierunkowane bardziej na sprawy polityczne i na to wszystko, co wiązało się z przeciwdziałaniem służbom wywiadowczym, dywersji i sabotażowi. Funkcjonowały też radzieckie komendantury wojenne i szczątkowo administracja niemiecka, która z nimi współpracowała. Administracja polska była tworzona, ale dochodziło do licznych nieporozumień, bo rządzić chciało zbyt wiele osób i instytucji. Ponadto o władzę nad Zieloną Górą walczyły Poznań i Wrocław. Obok ludzi ofiarnych, uczciwie i ciężko pracujących pojawiła się znaczna ilość różnych „niebieskich patyków”.

W grudniu 1946 r. upatrzył mnie porucznik z UB i zaczął zabierać jako obstawę na różne wyjazdy. Musiałem podpisać zobowiązanie do zachowania w pełnej tajemnicy wszystko, co zobaczę lub usłyszę, w stosunku do wszystkich osób, nawet wobec swoich przełożonych w milicji. Powiedział, że nie mam prawa zadawania jemu jakichkolwiek pytań. Nakazał meldować sobie o wszystkich próbach rozmowy ze mną przez kogokolwiek, na temat tego, czym się on zajmuje. Powiedział, że będziemy wykonywali zadania specjalne, bo on w tym celu przyjechał z Warszawy. Szybkiego Opla, którym jeździliśmy, prowadził kapral z UB i on nigdy ze mną nie rozmawiał, najczęściej wydawał mi tylko polecenia. Początkowo byłem z tej funkcji nie tylko zadowolony, ale i dumny, czułem się szczególnie wyróżnionym. Kiedyś w Międzyrzeczu widziałem porucznika, jak wyszedł z budynku zajmowanego przez Rosjan. Był w grupie wyższych oficerów i widać było, że się oni dobrze znają. Porucznik rozmawiał z nimi po rosyjsku. Podczas kilkunastu wyjazdów zawsze zatrzymywaliśmy się przy komendach albo jednostkach radzieckich, tam również kierowca tankował samochód. Bardzo rzadko porucznik wchodził do budynków zajmowanych przez UB i milicję. Przeważnie pilnowałem wejścia do cywilnych budynków lub stałem przy drzwiach mieszkań do których porucznik wchodził. Co on tam robił nie wiem. Nieraz słyszałem jakieś krzyki i płacz. Dochodziły mnie czasem strzępki rozmów zawsze prowadzonych po niemiecku. Kiedyś otworzyła się jemu walizeczka i wysypały z niej dokumenty w języku niemieckim z napisem „Geheim” i wypadł damski złoty zegarek. Kilka razy byliśmy w Gorzowie Wielkopolskim i zawsze wchodził on do tego samego budynku i mieszkania. W pobliskich barakach, częściowo ogrodzonych murem stacjonowała jakaś tajemnicza dla mnie radziecka jednostka wojskowa. Przyzwyczałem się do tego miejsca i postanowiłem zobaczyć co znajduje się na strychu i ewentualnie zerknąć z okienka na teren jednostki wojskowej. Kiedy tam szedłem, zobaczyłem jak schodami zbiega kobieta. Usłyszałem stukanie w drzwi mieszkania na parterze. Szybko wróciłem na swoje miejsce. Po chwili z dołu przybiegły dwie kobiety. Jedna z nich, w wieku około 60 lat, po polsku powiedziała - Pan tutaj stoisz i pilnujesz, a pana dowódca, nie po raz pierwszy gwałci jej szesnastoletnią córkę. To takie ma być Wojsko Polskie na które czekałam. Zbaraniałem, a one weszły do mieszkania. Ja pędzę na poddasze i sikam w kącie na podłogę. Rozlegają się strzały. Nie wiedziałem co mam robić. Kobiety nie miały przecież żadnej broni. Biegnę do tego mieszkania, patrzę jedna kobieta leży, zamiast oka wielka rana i krew. Ta, która mówiła po polsku, siedzi pod ścianą i trzyma się za serce. Po chwili usunęła się. Porucznik przyskoczył do mnie, przyłożył pistolet do głowy i krzyczy - Skurwysynu jak pilnowałeś? Gdzie łazisz? Zaczynam tłumaczyć się, że poszedłem na poddasze załatwić potrzebę, bo już nie mogłem wytrzymać. Wbiega kapral i mówi, że żołnierz przechodzący pod budynkiem podniósł alarm i pewnie za chwilę będzie tutaj patrol. W tym momencie zobaczyłem w drugim pokoju dziewczynę, siedzącą na łóżku do mnie bokiem, blondyneczkę. Na plecy miała zarzucony koc. Twarzy nie widziałem, bo miała ją zakrytą dłońmi. W oczy

rzuciły się mi jej smukłe nogi w białych pończochach. Porucznik do kaprała - Biegnij do komendanta odcinka i zamelduj, że w obronie własnej zastrzeliłem dwie Niemki, niech przyśle żołnierzy i alarmowy gruzawik, a Wy – zwrócił się do mnie - przynieście walizkę, którą dostaniecie od kaprała. Ten z bagażnika Opla wyjął fibrową niewielką walizkę, dość ciężką, którą zaniósłem porucznikowi. Kazał mi wynieść się na klatkę schodową i zaczekać na kaprała. Przyszł on z czterema żołnierzami. Kazał mi wejść do mieszkania na parterze i pilnować żeby nikt nie wyglądał przez okna, albo nie stał przy drzwiach wejściowych. Do drugiego mieszkania na parterze wysłał żołnierza, który miał Mosina z nałożonym bagnetem. Drzwi otworzyła może piętnastoletnia dziewczynka, tak przestraszona, że cała rozdygotana. Przejrzałem pomieszczenia, nikogo więcej nie było. Nie pytana powiedziała, że mieszkające tutaj trzy kobiety są w pracy, a pani Hedwig gdzieś na chwilę wyszła. Potem zapytała się czy jestem polskim żołnierzem. Powiedziałem, że jestem policjantem i że nie zrobię jej krzywdy. Usiadłem w kuchni tak, żeby przez okno widzieć co dzieje się przed budynkiem. Podjechał samochód ciężarowy z plandeką i cofnął tak, że zasłonił wejście do budynku. Jakoś tak samoistnie zaczęła się rozmowa. Zrozumiałem z niej, że kobiety bardzo się boją i marzą o wyjeździe do rodzin, ale Rosjanie nie chcą ich puścić i trzymają je tutaj do niewolniczej pracy. Dziewczynka już bardzo dawno nie była na podwórzu ze względu na pijanych żołnierzy. W tym budynku mieszkają tylko kobiety i na noc muszą się barykadować. Ratunkiem dla nich jest pani Hedwig, bo umie mówić po polsku i nie boi się Rosjan. Ona wszystkimi się opiekuje. Kiedy wróciła z obozu do swojego domu w Breslau, to zobaczyła tylko ruinę. Tutaj, w tym domu mieszkała kiedyś jej koleżanka szkolna, czyli ciotka tej dziewczynki. Ciotka już nie żyje z powodu ataku serca, kiedy przyszła wiadomość o śmierci jej syna w walkach nad Wisłą. Pani Hedwig chce w tym mieszkaniu zostać na stałe, a ja uznać za swoją przybraną córkę. Rozmawiają najczęściej wtedy, gdy są same. Dziewczynka też nie ma nikogo, bo cała rodzina zginęła w Dreźnie, kiedy ona była u cioci. Teraz boi się o panią Hedwig, bo ta pobiegła do pani Gertrudy ratować jej córkę, której jakiś żołnierz robi krzywdę. Słyszała strzały, ale nie boi się, bo jest przy niej policjant. Usłyszałem rumor na klatce schodowej, podbiegłem do drzwi i przez judasza zobaczyłem dwóch żołnierzy ciągnących zawinięte w koc zwłoki. Potem znieśli drugie i trzecie, i to mnie zaskoczyło. Odjeżdżający samochód zatrzymał kapitan z NKWD i wszedł na skrzynię pod plandekę. Następnie wszedł do budynku. Dziewczynka wyjęła z pawlacza drewnianą kasetkę - To pani Hedwig, ona to uratowała ze swojego domu, bo miała dobrze schowane. Patrzę, a w pudełku są pamiątki rodzinne. Wśród nich Statut Związku Polaków w Niemczech i plakacik złożony w czworo, a na nim napisane, że są to prawdy Polaków. Była haftowana tarcza, na której znajdował się znak Rodła i zielony liść. Były też fotografie, a wśród nich zapamiętałem pokazujące jakieś zawody sportowe. W tym momencie zacząłem się bać. Mówię dziewczynce - Schowaj to i nikomu nic nie mów, że o nich wiesz. Nawet tym wojskowym, z którymi tu jestem. Nie mów też nikomu, że ja je widziałem. Ona

- Ale dlaczego? Przecież pani Hedwig jest tak bardzo dobra, jak moja mama i jest też dobrą Polką. Ciągłe kołatało się mi po głowie - Co robić? Przecież to nie jest normalna sprawa. Oni pewnie ukatrupili tę dziewczynkę, albo jeszcze kogoś innego ze świadków. Powiedziałem dziewczynce - Bój się tych, co może zaraz tu przyjdą. Tylko pamiętaj nic nie mów o pani Hedwig i jej dokumentach, bo ciebie zabiją i mnie zabiją. Jej z oczu leją się strumieniem łzy. - Ja wiem, pani Hedwig już nie żyje. Ona mi mówiła żeby być dzielną, to ja będę dzielną. To co czułem wtedy jest nie do opowiedzenia. Ogarnął mnie straszny żal, a jednocześnie odczuwałem ogromny strach. Dygotały mi nogi, po plecach pot lał się strumieniem. W budynku było słychać rumor i krzyki. Wszedł kaprał. - Kto jest w tym mieszkaniu? Czy z kimś rozmawialiście o tym, co się wydarzyło? Powiedziałem, że jest tylko przestraszona i zaplakana dziewczynka. Przeszedł porucznik i zaczął ją przesłuchiwać. Interesowały go osobiste rzeczy Hedwig. W tym czasie kaprał już przeszukiwał mieszkanie i kazał mi robić to samo. Z sąsiedniego pokoju krzyknął - Znalazłem! Poszedł do niego porucznik i usłyszałem - A to suka. Zrób z tym porządek. Usłyszałem po chwili otwieranie drzwiczek od pieca. Porucznik wrócił i zaczął przepytывать dziewczynkę, ale ta odpowiadała, że nic nie wie i ciągle szlochała. - Dlaczego ta kobieta wyszła z mieszkania? Dziewczynka - Nie wiem, bo ona mnie wysłała do piwnicy po kartofle. Jak wróciłam, w mieszkaniu pani Hedwig już nie było. Kazał mi iść na bramę koszar i przynieść do samochodu dwa kanistry benzyny, które tam już stoją. Jakies pół godziny później, patrzę, a kaprał niesie znaną mi kasetkę otwartą, a w nią wstawioną porcelanową figurkę nagiej kobiety. Z budynku wyszli porucznik i kapitan NKWD. Kapitan trzymał w ręku walizeczkę, tę, którą zaniósłem porucznikowi. Podchodzą do samochodu i po minie widzę, że zaraz nieźle oberwę. - No to się chłopie nie spisaleś. O mało mnie nie zabiły te hitlerowskie dywersantki. Pozostałymi zajmą się towarzysze gwardyjcy. Całą drogę powrotną do Zielonej Góry się bałem, że mnie gdzieś w lesie ukatrupią, tak jak tę trzecią, a morze nawet i spalą benzyną. Nazajutrz zostałem wyróżniony za dobre pełnienie służby. Nie wytrzymałem i wszystko opowiedziałem bratu. Pod jego namową napisałem raport o zwolnienie z milicji z możliwością działania w ORMO. Udało się, bo potrzebowali pewnych ludzi do jej rozbudowy. Poszedłem do pracy w zakładach włókienniczych "Polska Wełna" w Zielonej Górze, o czym wcześniej wspominałem. Już nigdy więcej z tym porucznikiem się nie widziałem. Jestem ciekawy, czy ta dziewczynka żyje. Może kiedyś ktoś przetłumaczy, to co opowiadałem na niemiecki i ona przeczyta. Może ma dzieci i wnuki i im opowiadała o tym wydarzeniu. Chciałbym ją spotkać. Dziś to już prawie siedemdziesięcioletnia kobieta.

Od początku maja 1946 roku działaliśmy na trenie, aż pod Krosno Odzańskie. Byliśmy w Świdnicy, tej pod Zieloną Górą i prowadziliśmy służbę patrolową w sąsiednich wsiach. W Świdnicy jest ładny niewielki park i pałac oraz zabudowania folwarczne. 8 maja przyszło dwóch osadników wojskowych, którzy byli w 1 Dywizji Piechoty i zdobywali Berlin. Zaproponowali żeby uczcić

pierwszą rocznicę zwycięstwa. Przynieśli kilka litrów bimbru. W niedalkiej wsi był fołwark prowadzony przez Rosjan. Pojechał do nich jeden z tych osadników i dwaj koledzy. Wymienili na świnię dwa zegary ścienne, które znaleźliśmy pod podłogą w dawnej gospodzie. Po południu zaczęła się biesiada. Piłiśmy tak, żeby nie stracić posiadanej broni i głów. Był wśród nas kolega o przydomku „Student”, bo chwalił się, że pomagał jakiemuś doktorowi Glukowi zbierać do biblioteki w Poznaniu książki i dokumenty, jeszcze podczas walk o cytadelę i że pójdzie do niego na studia. Tutaj, gdzie jesteśmy – mówi - 205 lat temu król pruski Fryderyk II miał swoją kwaterę w czasie zajmowania Śląska. Pewnie musi być jakiś pomnik albo tablica. Wszyscy, a było nas dziewięciu, poszliśmy czegoś takiego szukać. Okazało się, że jest tablica pamiątkowa i dąb ogrodzony pięknym kutym łańcuchem. Były pomysł ścięcia dębu. Padło hasło i każdy wziął w dłoń co należy i obsikalimy tablicę. Nadszedł willis, wysiadł z niego major radzieckiej piechoty i pyta się co to za ceremonia. Gdy dowiedział się o co chodzi, też się przyłączył do hańbienia symbolu historii narodu zbrodniarzy. Zaprosiliśmy więc sojusznika do stołu. Dość dobrze mówił polskim językiem dlatego po pewnym czasie czuliśmy się jak na spotkaniu rodzinnym. Zaczęliśmy śpiewać, ale nie wychodziło nam to najlepiej. Wtedy on powiedział, że zaśpiewa dla nas i śpiewał różne pieśni po włosku, francusku, niemiecku, polsku i oczywiście po rosyjsku. Miał piękny głos. Można go było słuchać godzinami. Dowiedzieliśmy się, że jego matka była śpiewaczką operową, Polką z pochodzenia, a ojciec Rosjan – inżynierem budowy kolei żelaznej. W pewnym momencie jeden z osadników, mocno już wstawiony, powiedział, że on musi zaśpiewać, to co śpiewano w jego pułku. I zaśpiewał – Bolszewicką krwią zbroczony, to piętnasty pułk czerwony. Głupio nam się zrobiło przed majorem. Ten się zaczął śmiać, a potem śpiewa - Po Poznaniu dupą szasta, to z piętnastki pederasta. Osadnik poczuł się urażony i zaczął bulgotać, że on normalny, bo tylko lubi baby. My osłupielśmy ze zdziwienia. Major na to – Najmłodszy brat matki był ułanem w tym pułku. Kiedy zajęliśmy Poznań szukałem rodziny, ale nikogo nie znalazłem. Spotkałem tylko z tego pułku starego wachmistrza i u niego byłem w gościnie. Dowiedziałem się, że brat matki rzeczywiście był w tym pułku, ale prawdopodobnie wyjechał gdzieś zagranicę. Wachmistrz dla mnie śpiewał te ułańskie przyspiewki. Biesiada zakończyła się tym, że major zaczął płakać i lkając mówić, że żyć się jemu już nie chce, że nie ma po co wracać do kraju, bo z rodziny tylko on został. Żona będąca lekarzem zaginęła w Berlinie bez wieści. On nie może spać i zawsze czeka na godzinę drugą w nocy, bo wtedy mogą przyjść i go zabrać, bo już tak raz było przed wojną. Do tej pory jest na wolności, bo jeszcze jest potrzebny do pracy na terenie Niemiec jako kandydat nauk technicznych. Z tego naszego pobytu w Świdnicy zrobiła się afera, bo jeden z naszej grupy doniósł UB, że śpiewaliśmy reakcyjne piosenki. Zameldował i o tym majorze, bo mnie UB o niego pytało. Mam ogromny żal i ciągle czuję się jakbym uczynił szkodę temu

wspaniałemu człowiekowi, któremu otwarła się nieoczekiwanie dusza. Może jednak jeszcze żyje. Tak bardzo tego chcę.

Milicja Obywatelska wraz z ORMO prowadziły co raz lepszą działalność na rzecz ładu i porządku oraz ochrony ludności na terenie Zielonej Góry oraz w pobliskich powiatach. Funkcje w ORMO pełniliśmy społecznie, głównie poza godzinami pracy. Zdarzały się sytuacje, że byliśmy delegowani na kilka dni, przeważnie wtedy, gdy braliśmy udział w zwalczaniu niemieckich i polskich band. Przez dłuższy czas jedna z pohitlerowskich grup ukrywała się w rejonie Niedoradz - Racula. Wysyłano nas również na wspólne z KBW patrolowanie terenów w kierunku Sulechowa, Gubina, Lub ska i w okolice Nowej Soli. Naszymi działaniami kierowali głównie podoficerowie z KBW. Pieszko pokonywaliśmy trasy długości do 30 - 50 kilometrów, najczęściej przechodząc przez wsie. Wysyłano nas również na zasadzki i na podsluchy.

Podczas jednego z patroli usłyszałem jak koło ucha przelatuje kula i huk wystrzału. Za moment drugi wystrzał i następny. Ktoś strzelał nam w plecy. Ogarnął mnie strach i chęć ucieczki. Wpadłem w jakiś trans i wydawało mi się, że to nie moje nogi poruszają się pode mną, tylko, że ja frunę. Wskakuję w chaszczkę koło cmentarza, patrzę leży karabinek z lunetą i pas z ładownicami. Dotykam lufy, jest ciepła, więc to nie pułapka. Pokazuję kolegom co znalazłem. Całe szczęście, że ktoś posłużył się nieumiejętnie karabinkiem wyborowego strzelca. Koledzy w tym czasie zalegli na łące, jakieś 200 metrów ode mnie. Wbiegamy skokami do wioski, a tam w domach jak poprzednio tylko kobiety i dzieci oraz подростки patrzące na nas drwiąco. Nie ma nikogo, kto by strzelał. Nikt nic nie wie i nic nie widział. Staruszek łazi za nami i w kółko powtarza, że on i jego rodzina, to zawsze nienawidzili Hitlera. W drugiej części wsi przedzielonej łąką mieszkali przesiedleńcy z kresów wschodnich i Sybiry. Polskie rodziny już przesiedlono, a niemieckie na to czekały. Taki galimatias. Nikt nie czuł się bezpiecznie. Starsi Niemcy na ogół byli usłużni i jacyś tacy, jakby w pół zgięci. Natomiast część wyrostków, w tym i dziewczyny, była dość niebezpieczna przez kilka pierwszych miesięcy. Nie znając prawdy o hitleryzmie i jego zbrodniach, chciała bronić swoją III Rzeszę i tym dzieciakom wydawało się, że są patriotami gotowymi do bohaterstwa. Oni głównie pomagali podziemi niemieckiemu i tym, których przetrucano z Niemiec na nasz teren do wykonania zadań szpiegowskich. Przestrzegano nas, bo część Niemek, świadomie zarażała naszych chłopaków, szczególnie tych w mundurach, różnymi chorobami wenerycznymi.

Niemcy byli zaszokowani na ogół niską kulturą znacznej części polskich przybyszów do ich wsi. Nowi gospodarze bardzo rzadko potrafili posługiwać się urządzeniami, jakie były w ich zagrodach. Mnie to nawet złościło, kiedy to widziałem, bo chciałem żeby nasi byli lepsi i bardziej zaradni. Starzy Niemcy tylko chodzili i kiwali ze zdziwienia głowami, albo załamywali ręce. Z jednej

strony, byli przerażeni, że taki spotkał ich los, z drugiej zaś, byli jednak szczęśliwi, że nikt ich masowo nie morduje, czego się spodziewali. Byli przekonani, że w odwecie Rosjanie i Polacy będą mordowali wszystkich Niemców, także kobiety, dzieci i starców. Nas wysyłano w najdalsze zadupia do piłnowania żeby się im jaka krzywda nie stała. Nie wszyscy koledzy byli z tego zadowoleni.

Zarazą byli szabrownicy z Warszawy i Łodzi oraz z ich okolic, jak to ludzie mówili na nich: "Ci z Centrali". Wywozili do siebie z Ziemi Odzyskanych wszelkie luksusowe dobra, jak na tamte czasy. Ograbiali wszystkich. Nawet zdarzały się pobicia i morderstwa. Jednakowo przez nich zastraszeni byli Niemcy, jak i nasi repatrianci. Szabrownicy mieli pewnie jakieś wtyczki we władzach i w milicji, albo też i ci z władzy przysyłali swoich ludzi nieoficjalnie. No bo jak mogły się rozplątać transporty mebli, dywanów i innych przedmiotów zrabowanych z domów, w których byli już lokatorzy Polacy? Albo na przykład gdzie się zapadło całe wyposażenie dużej gospody z pokojami gościnnymi, którą kilka dni wcześniej podziwialiśmy? Jeden z kolegów nawet marzył o sprowadzeniu ojca i uruchomieniu jej. Drogi były blokowane, samochody cywilne ściśle kontrolowane. Działania milicji może byłyby bardziej skuteczne, ale występowały trudności z łącznością telefoniczną i transportem, a i ludzie po prostu bali się początkowo natychmiast informować o przestępstwach. Później to się znacznie polepszyło, kiedy powstało ORMÓ i zaczęto po wsiach zakładać straż sołecką. Szabrownicy musieli szybko i sprawnie przetrzucać zrabowane rzeczy, może też przy pomocy transportu kolejowego. Kiedyś widzieliśmy, chyba w Stypulowie, kilka wagonów na bocznicę i ich ochronę, która nie dopuściła nas w pobliże. Wszyscy mieli nowitkie mundury Straży Kolejowej i broń automatyczną. Wcześniej alarmowano, że grupa kilku osób ochraniana przez mundurowych i poruszająca się na dwóch samochodach ciężarowych, prowadzi rekwizycję elektrycznych maszyn rolniczych, kuźni i innych warsztatów rzemieślniczych. Ludziom wydawano, jak się wkrótce okazało, fałszywe poświadczenia rekwizycji na rzecz skarbu państwa. Nie dość tego. Działały również oficjalne grupy, które przyjeżdżały na Ziemię Odzyskaną i prowadziły windykację, chyba tak się to nazywało. Szukali tego, co zostało przez Niemców zrabowane w Polsce w czasie okupacji. Przy okazji zawsze coś znaleźli i nikt się ich nie pytał, czy akurat to, co zabierają było kiedyś, na przykład, w Warszawie. Po roku od zajęcia tych ziem, były one już dobrze przeczyszczone. Rosjanie również kończyli swoje dzieło ograbiania fabryk i wywożenia maszyn, które nawet czołgami wrywali z fundamentów, żeby było szybciej. Wykorzystywali jeńców wojennych do demontażu, a potem razem z maszynami wywozili ich do siebie. Gonili też, zabierane Niemcom, olbrzymie stada bydła drogami na wschód.

Co zabrali w Jeleniej Górze? Nie wiem, wtedy tutaj jeszcze nie dotarłem, chociaż słyszałem, że tereny są bardzo piękne. Wiem, że zdemontowali drugą parę torów, które prowadziły z Jeleniej Góry aż do Szczecina. Do Węglin-

ca, Szklarskiej Poręby i do Wrocławia prowadziły kolejowe trakcje elektryczne, ale i te zdjęli oraz wywieźli do siebie.

W dużej ilości miast i osiedli na Ziemiach Zachodnich Rosjanie zajęli całe dzielnice, najczęściej najładniejszych domów. Oni tam do siebie ściągali, co się tylko dało zabrać. Od kolegi milicjanta jadącego do pracy zabrali rower, wstawili na samochód i odjechali. Wcześniej jeszcze sprawdzili, czy przypadkiem nie ma zegarka. Dochodziło też do konfliktów z polską władzą, która chciała jak najwięcej mienia zachować dla swojej ludności, żeby nie było tutaj pustyni. Żołnierze radzieccy dużo też niszczyli mienia przypadkowo i na skutek pijaństwa. Wynikiem tego były pożary, strzelanie do przedmiotów, palenie ognisk z mebli i książek i takie różne inne zjawiska wandalizmu. Z czasem odważnie wzywano milicję i wojsko do pomocy. Ja w takiej akcji udziału nie brałem, ale od kolegów słyszałem, że jak nasi zaczęli twardo stawać w obronie swojego, to Rosjanie na ogół wycofywali się. Tak samo postępowały oddziały wojskowe proszone o pomoc. Słyszałem o takim przypadku, że kiedy Rosjanie we wsi, w okolicach Żagania, zaczęli ludziom zabierać różne dobra, na pomoc przybiegli żołnierze z pobliskiego folwarku. Zaskoczyli Rosjan, oddali kilka strzałów, bo tamci rwali się do broni. Otoczyli samochód i kazali oddać to, co zostało zagrabione. Żle się to pewnie skończyło dla porucznika, który dowodził polskim oddziałem, bo jeszcze tego samego dnia przyjechał oficer Armii Radzieckiej ze Szprotawy i tego porucznika zabrał. Porucznik był od nich delegowany do Wojska Polskiego, a wystąpił przeciw swoim. Zdarzały się też grupy łazogów, gotowych na wszystko, żeby tylko zachłać się i gwałcić kobiety, jakie im wpadną w ręce. Słyszałem, że takich zdarzeń było najwięcej w 1945 roku, wtedy gdy transporty wojsk radzieckich wracały z Niemiec na wschód. Z tymi to się Rosjanie nie cackali. Wyroki wykonywane były od ręki. W 1958 roku z jednym z oficerów ze Świętoszowa umówiłem się, że przywiezie mi łuską dubeltówkę, bo takiej szukałem dla jednego z naszych generałów. On mi opowiadał, że z jego eszelonu dwóch żołnierzy uciekło do wioski koło Bolesławca, tam napili się spirytusu, który był w szkole w pomocach naukowych i zgwałcili pięć Niemek w wieku od 13 do 70 lat. Na drugi dzień w Legnicy odbył się nad nimi sąd wojenny i od razu zostali rozstrzelani.

Latem 1946 roku byliśmy na zasadzce koło Otynia. Przez całą noc obserwowaliśmy skraj miejscowości, bo były sygnały, że przychodzą tutaj ludzie z organizacji „Wolne Niemcy”. Nad ranem przeszliśmy bliżej szosy. Plutonowy KBW, nasz dowódca - do Józka - Właż na drzewo i popatrz, czy jakiś samochód nie jedzie od Zielonej Góry. Ten ze sznurka zrobił łazkę i jak wiewiórka wdrapał się na wysokość jakichś czterech metrów. Oparł się na sęku. Nagle sznurek pękł, a on jak nie walnie kroczem w pień. Bezwładny spadł prosto w mrowisko. Miał szczęście, bo obok były kamienie. Jakiś czas leżał, ale za chwilę jak nie zaczął się drzeć i ręką tupać za krocze. Zaskoczeni, nie wiedzieliśmy co z nim zrobić. Mielśmy być cicho. Jeden krzyczy żeby walnąć

go w gębę to przestanie, drugi chce jemu usta zatkać dłońią. Stawiamy go na nogach, ale się osuwa. Patrzymy, a jemu po dłoni spływa krew. Dowódca - Co ci jest? On - Chyba jaja sobie uszkodziłem, bo ich nie czuję. Dowódca - Pytam się o rękę? On popatrzył i fik, znowu leży. Przenieśliśmy go dalej od tych mrówek. Ściągamy ostrożnie bluzę, a tu na przedramieniu kość na wierzchu i sporo krwi. Okazało się, że tylko jeden z nas miał przy sobie pakiet sanitarny. Dowódca wystął dwóch ludzi do Otynia. Przydreptała z nimi staruszka. Chłopaki mówią, że przyprowadzili akuszerkę. Ranny jak to usłyszał krzyczy - Ja jej ch... nie pokażę. Ona - No to synku nie pokazuj, ktoś inny będzie za ciebie dzieci robić. Godzinę później przyjechał po nas samochodem chorąży. Obejrzał rannego i mówi - Ręka ważna, ale jaja są jeszcze ważniejsze. Do Żarów to ciebie nie powieziemy, ale do Ruskich, bo bliżej. Przyjeżdżamy do wojskowego szpitala w Nowej Soli, a Rosjanie jak gdyby nic, tylko rannego zabierają. Patrzę się i przecieram oczy. Jak dotąd, to nie widziałem w jednym miejscu takiej ilości prześlicznych siostrzyczek. Nagle coś wpada mi do oka, lzy płyną. Bierze mnie za rękę któraś z siostrzyczek i ciągnie do gabinetu. Wymuje mi z oka rzęsę, pokazuje i ślicznie się śmieje. Mnie zaczyna nosić, więc kombinuję jak tu się z tą dziewczyną umówić. Mówię jej, że jutro wieczorem, to pewnie nie będzie miała dyżuru i ja do niej przyjdę, a wtedy postaram się odwzajemnić za uratowanie oka. A ona, że nie wolno im się z nikim spotykać i wychodzić poza szpital. Zza parawanu wychodzi druga i coś obie zaczynają szeptem rozmawiać. Ta druga mówi - Możesz nam przynieść maszynę do szycia? Ja, że jak najbardziej i pytam się, gdzie mam ją przynieść? Ona rysuje i pokazuje, w którym domku mieszkają. W Zielonej Górze udało mi się załatwić Singera, samą główkę z korbką. Wykombinowałem też ładną skrzyneczkę, w sam raz pasującą do tej maszyny. Namówiłem kolegę. Udało się załatwić dwa dni wolnego i pojechaliśmy do Nowej Soli. Patrzymy, a tu cała ulica i domki są ogrodzone różnymi zasiekami i chodzą wartownicy. Poczekaliśmy aż trochę się ściemni. Doczołgaliśmy się do domku, tylko do którego okna zastukać? Leżymy za krzakami malin i rabarbaru. Kombinujemy. Przeskoczyłem do domku od strony szczytu i widzę otwarte okno. Jednym susem do środka i nawet nie narobiłem hałasu. W pokoju cztery łóżka. Wlazłem pod najbliższe i czekam. Ktoś wchodzi, ale nie widzę kto, tylko zgrabne nóżki i buciki na koreczkach. Słyszę rozkaz - Wychadzi! No to wychodzę. Patrzę, a to ta siostrzyczka, która chciała maszynę. Okazało się, że w tym domku jest zakwaterowanych ich jedenaście. Ta, która tak mi się podobała była niestety w szpitalu na dyżurze. Zawołałem kolegę, przyniósł maszynę. Zleciały się siostrzyczki ją oglądać, a ja liczę i oglądam dziewczyny. O kurczę, aż pięć i każda ładna, i jak tu zakombinować, żeby którąś zdobyć. Myślę gorączkowo co zrobić, co zrobić? Nagle ta znajoma mówi - Nie ma Nasti jest Luba. I tak patrzy mi w oczy, że już wiem wszystko. Dziewczyny opowiadają jak nas podglądały przez okno i że my kak zajczyki prygali. Nagle jedna z nich, starsza tej grupy dziewczuszek, ze srogą miną mi rozkazuje - Snimaj sztany! Wszyscy się śmieją, nawet kolega, bo spodnie w kroku mam rozerwane. No to je z ochotą zdjąłem, bo przy okazji

chciałem się pochwalić tym, co pod nimi miałem. Miałem eleganckie, z prawdziwego jedwabiu gatki, jakie nosili niemieccy piloci. Dziewczyny opuściły w oknach rolety. Zjedliśmy kołację, była wódeczka z dobrego szpitalnego spirytusu i konserwy z tuszonką. Dziewczyny czmychnęły do pokojów, a my z kolegą napaleni... nagle zostaliśmy w kuchni sami. Ja do kolegi – Ty idź na górę, ja zacznę od dołu. Idę do pokoju, w którym już byłem i miałem nadzieję, że zastanę tam Lubę, a tu pokój zamknięty na klucz. Dwie komsomolki zza drzwi zaczęły mnie upolityczniać, że tak nie Izia tawariszcz, że one nie są k..., że powinienem pójść spać do pokoju obok, bo jest pusty. Na moment ich gadka mnie wyhamowała, lecz natura wzięła górę. Wchodzę na pięterko, słyszę głos Luby i kolegi. No to do drugiego pokoju, drzwi otwarte, wchodzę, a w nim dwie dziewczyny. Poczulem się jak sułtan. Straciłem rachubę czasu i byłem tak zmęczony, że nie wiedziałem kiedy zasnąłem. Obudził mnie krzyk kobiety sierżanta z Naganem w rękę. Postawili nas gołych pod ścianą, z rękoma w górze. Pięć dziewczyn w służbowych nocnych koszulach, długich do kostek, ustawiła naprzeciwko. W drzwiach patrołowi gotowi nas zadźgać za swoje dziewczyny. Najpierw sierżant zastanawiała się, czy nie wezwzać chirurga, żeby nam już na zawsze nie chciało się do sowieckich diawuszek. Wzięła karabin od patrołowego i bagnet niebezpiecznie zbliżyła do interesu kolegi i miałem wrażenie, że go zaraz dźgnie. Zrezygnowała i wygłosiła do nas i do dziewczyn długie przemówienie, w którym dość często występowały wyrazy „Rodina” i „Stalin”. Potem zadecydowała, że dostaniemy po trzy razy kablem od żelazka po gołym tyłku, za każdą obecną w domku dziewczynę, co było niesprawiedliwe. Doliczyła również siebie, a to już była zemsta, a nie sprawiedliwość. Dalej nie będę opowiadał, bo wstyd nie pozwala. Następnie zawieźli nas, dalej gołych, pod Zieloną Górę i zostawili w lesie. Kiedy odjeżdżali oddali nam dokumenty, a następnie z samochodu wyrzucili stare ponemieckie łachy noszone w organizacji Todta i buty, w których każdy był od innej pary. Jak nadjechał cywilny samochód ciężarowy i kierowca nas zobaczył, to tylko dodał gazu. Jakoś żadnego bólu nie czuliśmy, tylko straszne zimno. Godzinę później byliśmy już w Zielonej Górze i wtedy dopadł nas patrol MO. Powiedzieliśmy, że zostaliśmy napadnięci przez bandę, pobici i ograbieni. Jak lekarz zobaczył nasze sine tyłki i plecy, dostaliśmy po siedem dni zwolnienia, a od komendanta powiatowego MO burę za łązégostwo. Kara zaczęła dopiero skutkować, kiedy to okazało się, że nie możemy ani siedzieć, ani leżeć. Spaliśmy kłęcząc przed łóżkiem i jednocześnie leżąc na nim brzuchem. Jak inny kolega zaczął mnie namawiać na wyskok do dziewczyn z hotelu robotniczego w Nowej Soli, do popularnych „szpułek” o mało go nie pobitem. Ponadto dobrze, że tam nie pojechałem, bo kilka miesięcy później sekretarz PPR z Nowej Soli skarżył się na zebraniu aktywu partyjnego, że ma problem z dziewczynami z hotelów robotniczych, ponieważ niektórym z nich puściły wszystkie hamulce moralne i mają one zły wpływ na pozostałe.

Dużo dobrego na wsiach i w miasteczkach zrobiła akcja zasiedlania powiatów nadgranicznych osadnikami wojskowymi. Wprowadzali ład i brali się do roboty, chociaż trzeba przyznać, że nie wszyscy. Najlepiej gospodarowano w dużych majątkach, które przejęło wojsko. Żołnierze orali, siali i zbierali plony. Byli i tacy osadnicy oraz przesiadłeńcy, co się zapijali bimbrem. Pewnie robili to z rozpaczy, że za Bugiem nie mieli już niczego, bo tam zabrali im ziemię i dobytek kołchozy. Tutaj zaś straszono ich nową regulacją granicy zachodniej i tymczasowością. To było robione specjalnie z zachodu przez różne organizacje, a najwięcej przez Gehlena wspieranego przez Amerykanów. Brały w tym udział i nasze organizacje podziemne, chcące osłabić w ten sposób władzę ludową. Ci idioci nie zważali na to, że czynią wielką szkodę dla Polski, wyhamowując jej rozwój. Dlatego poczucie tymczasowości bardzo długo było obecne na tych ziemiach. Ludzie nie chcieli remontować domów, bo po co? Dla Niemców? Byli tacy, co zamiast jechać do lasu po drzewo do pieca, cięli do palenia krokwie w szopach i stodołach. Patrzyliśmy na to niedowierzając swoim oczom. Rozumieliśmy, że można, a nawet trzeba było niszczyć to wszystko, co było związane z niemiecką kulturą na tych ziemiach w postaci napisów, pomników i różnych tablic. To było normalne, bo nienawiść i rozpacz była w narodzie ogromna, ale żeby niszczyć stodołę... Takie przypadki były sporadyczne, ale były i nas niepokoiły.

Władze z Warszawy apelowały o przeciwdziałanie niszczeniu między innymi dzieł sztuki, zabytkowych ksiązek i kościołów ewangelickich. Tylko kto z nas w tym czasie, za wyjątkiem „Studenta” miał w tym jakieś rozeznanie? Najwięcej dobrego w tym zakresie robili nauczyciele i trochę księża, a ci to nawet kościoły innych wyznań dewastowali.

W 1946 roku prowadzono akcję zdobywania poparcia dla referendum ludowego 30 czerwca. Jeszcze można widzieć na murach napisy „3 x TAK” - to pozostałość po tej akcji. Po północy podjeżdżało się bez świateł pod wieś, brało narzędzia i szło malować napisy. Dla psów mieliśmy jakieś ochłapy mięsa. Z góry było ustalone na których domach mają być wykonane. Były to domy potencjalnych przeciwników. W referendum chodziło o wypowiedzenie się za tym żeby nie było Senatu, za reformą rolną i nacjonalizacją podstawowych gałęzi gospodarki narodowej oraz za utrwaleniem granicy na Nysie Łużyckiej, Odrze i Bałtyku. Włączano nas także grup agitacyjnych zorganizowanych przez Związek Walki Młodych, które wędrowały od wsi do wsi. Kiedy mnie wyznaczono do takiej grupy, w której było kilka dziewczyn, pomyślałem sobie, że będzie wesoło, bo zapowiedziano noclegi w stodołach. Okazało się, że od pierwszej do ostatniej nocy dyscyplina była niesamowita, a i kultura bycia można powiedzieć z jednej strony klasztorna, z drugiej szarmancka wobec dziewczyn. To było dla mnie budujące doświadczenie. Do kontrakcji wkroczył bardzo mocno Kościół Katolicki. Opowiadano z ambon niesamowite bzdury o naszych grupach agitacyjnych, że z nami idzie rozpusta oraz zły przykład dla

dzieci i młodzieży. Jeśli chodzi o referendum, to namawiano ludzi do głosowania na nie. Niektórzy księża dopuszczali możliwość głosowania na tak, lecz tylko za ustanowieniem granicy zachodniej i północnej naszego państwa. Na Ziemiach Odzyskanych nie było, na szczęście takich problemów jakie występowały w pozostałych częściach kraju, gdzie rozparcelowano także majątki kościelne i gdzie niedawni wyrobnicy nagle stali się właścicielami tej ziemi. Tam księża aż kipieli z nienawiści do władzy ludowej. A przecież spełniły się marzenia chłopów i kiedy im przy przejmowaniu ziemi przeszkadzano i straszono, byli oni za nową władzą. Donoszono więc na te osoby, które im przeszkadzały. W tym czasie wielu aktywistów w prowadzeniu reformy zostało zamordowanych. Dlatego władze miały ułatwione zadanie w ściganiu zbrojnego podziemia.

Później władze państwowe chciały skolektywizować gospodarkę rolną na wzór radziecki. Początkowo i dla mnie wydawało się to słuszne, bo miała to być gospodarka racjonalna, a ludności wsi miała przynieść postęp cywilizacyjny. Znałem z opowiadań jakie sukcesy odnosiły działające przed wojną kółka rolnicze i myślałem, że spółdzielnie rolnicze są ich rozwinięciem, czymś lepszym. Wkrótce przekonałem się, że tak nie jest i nie będzie. Był to poważny błąd, który zahamował rozwój wsi na kilkanaście lat i być może przyczynił się do zahamowania budowy ustroju państwa ludowego. Upadły wtedy bardzo dobre średnie gospodarstwa rolne, a piętno kulaka stało się przekleństwem dla ich właścicieli.

Młodzież którą określano nazwą „spadkobierców wrogów ludu” miała ograniczony dostęp do szkół wyższych. Podobnie mogło być i w naszej szkole, bo Informacja Wojskowa wywierała nacisk na komisję egzaminacyjną, żeby takich kandydatów odrzucać. Jeśli pułkownik Genrykow dowiadywał się, że kandydat do szkoły ma bardzo dobre oceny i jest sprawny fizycznie, nie przychyłał się do tych nalegań i przyjmował do szkoły takich chłopaków. Jemu Informacja Wojskowa nie mogła podskoczyć, mieli przed nim respekt. Potem podobnie postępował Kazimierski, ale ściągał na siebie gniew politycznych, zresztą nie tylko z tego powodu. Obecnie w wojsku jest jeszcze dużo tych oficerów, którzy nie mogli dostać się na studia cywilne, bo byli synami „wrogów ludu”, a ukończyli naszą szkołę oficerską i doszli w karierze wojskowej do wysokich stanowisk służbowych.

Innym złem z perspektywy lat, była tak zwana „walka o handel”. Dążono do wyeliminowania handlu prowadzonego prywatnie. Każdego właściciela sklepu zaczęto traktować jak „spekulanta”, co wkrótce wyeliminowało z życia społecznego nawet najpoważniejszych i najrzetelniejszych kupców. Byli wśród nich również przedwojenni socjaliści. Ja tego nie rozumiałem, dlaczego jedni socjaliści niszczą innych. Były to sprawy, które wewnętrznie szarpały takimi ludźmi jak ja. Opowiadałem się za nowym ustrojem, ale nie za niszczeniem

lub krzywdzeniem ludzi. Tylko, że wtedy nie było o tym wiedzy. Ci co mieli wizję i jakieś plany zostali powsadzani do więzień. Nie zdążyli jej przekazać społeczeństwu, o tym jak budować nowe państwo polskie, bezpieczne dla wszystkich i jednocześnie nie krzywdzące nikogo. Kiedyś jeden z oficerów politycznych, chyba Karp, powiedział, że już tak jest, że rewolucja najpierw pożera własne dzieci. Było to dla mnie straszne, bo uważałem się za tego, który stanął po stronie rewolucji socjalistycznej w Polsce, po to by dla zwykłych ludzi było jak najlepiej. Zrozumiałem dopiero po latach, że zostałem od samego początku spisany na straty i że do tego przyłożyłem swoją rękę. Co prawda byłem drobnutkim elementem, ale takich jak ja były miliony. Gdybyśmy wcześniej o wielu rzeczach wiedzieli, dziś Polska byłaby innym państwem. Na pewno nie byłaby państwem staczającym się w upadłość moralną, gdzie ludzie zaczynają cierpieć co raz bardziej z głodu i beznadziej jutra, bo górą są ludzie pazerni na luksusy. Reszta musi na nich pracować.

W październiku 1948 r. zostałem wyróżniony za służbę w ORMO skierowaniem do 10. pułku Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Poznaniu, gdzie miałem odbyć zasadniczą służbę wojskową. Po dwóch miesiącach skierowano mnie do dziewięciomiesięcznej szkoły podoficerskiej KBW, też w Poznaniu. Będąc w niej przez trzy miesiące uczestniczyłem w akcji rozbrajania terenu. Ogłoszono wtedy w kraju amnestię i zachęcano ludność do dobrowolnego zdawania przechowywanej broni, amunicji i innych urządzeń związanych z techniką wojskową. Prowadziliśmy intensywne przeszukiwania na terenie całej Wielkopolski. Rozkaz ministra Radkiewicza nakazywał szukanie broni do skutku, jeśli wywiad donosił, że ktoś ją ukrywa. Dokonywano nawet rozbiórek mniejszych budynków, ale szybko przyszedł rozkaz zabraniający tego. Akcja poszukiwawcza odbywała się w ten sposób, że po przyjechaniu do wsi, albo miasteczka, organizowano zebranie mieszkańców. Z przemową do zgromadzonych występował szeregowcy, nigdy żołnierze zawodowi. Apelowali o dobrowolne oddawanie broni. Można ją było po prostu pozostawić na drodze, albo przynieść i oddać któremuś z żołnierzy. Nic za to nie groziło. Nawet nie prowadziliśmy ewidencji, kto broń oddawał. Natomiast oddzielna grupa udawała się pod wskazany adres i zaczynała pracę poszukiwania broni, aż do skutku.

Otrzymaliśmy informację, że pewien gospodarz ukrywa pistolet. Długotrwałe poszukiwania były bezskuteczne. Wyrzucono gnój z głębokiej obory, siano i słomę ze stodoły. Szpikulcami pokłuliśmy cały teren wokół zabudowań. Ani w budynku mieszkalnym, ani w zabudowaniach gospodarczych pistoletu nie znaleziono. Bosakiem poruszałem snopki na strzesze stodoły i nic. Nagle wpadłem na pomysł. Podeszedłem do dwunastoletniego syna gospodarza, objąłem go ramieniem i zaprowadziłem za stodołę. Tam spytałem się czy chce postrzelać z pistoletu. Chłopiec powiedział, że chce. Dałem, więc swój pistolet i on strzelił, popatrzył na mnie, więc kiwnąłem głową zezwalając na

kolejny strzał. Zauważyłem, że zaczyna to chłopaka wciągać. Wtedy zapytałem go o pistolet, który jest gdzieś tu ukryty. Powiedział, że nic o tym nie wie. Po kolejnej serii strzałów powiedziałem - Po co masz strzelać z tego, tamten jest lepszy, weź tamten! Wtedy chłopiec powiedział, że nie dosięgnie i popatrzył na strzechę stodoły. Wziąłem bosak i zacząłem ponownie szukać. Pudełko z pistoletem było ukryte prawie w zasięgu ręki, w środku był ViS. W tym momencie uderzyłem tego chłopca pięścią, tak mocno, że upadł na ziemię. Niepotrzebnie to zrobiłem i nie wiem dlaczego. Ogarnął mnie wstyd przed tym chłopcem i przed kolegami. On na pewno zapamiętał tamten dzień na całe życie. Kiedy znalazłem pistolet, zgodnie z instrukcją dowódca akcji aresztował gospodarza i jego żonę. Co się z nimi stało, nie wiem. Może ten chłopiec, dziś dorosły człowiek, nie może sobie wybaczyć, że skrzywdził rodziców, a rodzice jemu. I tak pewnie jest. To mnie gnębi. Już nigdy więcej nie posłużyłem się dzieckiem w podobnych sytuacjach.

Od początku służby w KBW byłem z żołnierzami, wśród których panował straszny analfabetyzm, chyba takich było w każdej jednostce dużo. Nawet listy im czytałem i pisałem je za nich. Głupstw ci ludzie nie robili, a uczyli się pilnie. Byli bystrzy i posłuszni do końca. Nie w tym, by zabić człowieka, albo coś ukraść. Na ogół byli religijni i trzymali się zasad. Wyrywano takich gdzieś z zapadłej wsi, więc starali się żeby tam nie powrócić. Jak szedłem na patrol, albo wykonywałem inne trudne zadanie, to brałem zawsze dwóch analfabętów i byłem ich pewny.

W KBW było wyjątkowo dużo przedwojennych oficerów, a także podoficerów awansowanych na oficerów. Nie wszyscy oficerowie, a szczególnie byli podoficerowie, postępowali godnie. Trafiali się straszni karierowicze, którzy posmakowawszy władzy robili wszystko, żeby mieć ją jeszcze większą. Byli też tacy, co się jakby wstydzili, że są w KBW, albo w milicji. Chyba dlatego, że jednak było sporo chamów w tych szeregach. Dopiero później dokonano weryfikacji, ale i tak nie wszystkich usunęto, bo mieli odpowiednie „plecy”.

Ja sobie myślałem wtedy, żeby zachowywać się i postępować tak, jak robiliby to mój wuj policjant. Oczywiście zielonego pojęcia nie miałem jak on by postępował, tylko tak to sobie wyobrażałem. Wiem, że sympatyzował on z PPS, partią, która przed wojną miała ogromny autorytet. Ta partia została w grudniu 1948 roku zlikwidowana. Widocznie była solą w oku, za swoją polskość i wrogość dla modelu ustroju stalinowskiego. Wtedy tak nie myślałem, bo nie wiedziałem. Dopiero teraz tak myślę. Kiedy mi zaproponowano wstąpienie do PPR w 1948 roku, to wstąpiłem. Gdyby ktoś mi wcześniej zaproponował wstąpienie do PPS, to pewnie tam bym się znalazł, bo była mi bliższą emocjonalnie. W 1948 roku szła już ostra krytyka PPS, że niby ona zdradziła idee socjalizmu, że została przesiąknięta zgnilizną. Ja znałem ludzi z PPS i tego nie widziałem, a wprost przeciwnie, podziwiałem ich za mądrość i taką

wielką bezinteresowność w działalności. W tym czasie w PPR już widać było różnych karierowiczów i kombinatorów. Gdyby nie robotnicy, którzy bacznie się im przyglądali, partia ta szybko by się zdegenerowała. Ogromny autorytet miał Władysław Gomułka i jak go zamknęli w więzieniu, robotnicy zaczęli mieć co raz mniejszy wpływ na partię. W tym czasie to już była PZPR.

Będąc w Poznaniu w 3. batalionie KBW, uczestniczyłem w akcji rozbrajania w okolicach Nowego Tomysła. Zauważyłem w ładnym gospodarstwie, przy szopie, stos skrzynek po taśmach do Bergmana. Coś mnie tknęło, że to nie złom, tylko część czegoś, co może być schowane. Powiedziałem o tym porucznikowi i zasugerowałem przeszukanie zabudowań. Ten nie chciał się na to zgodzić, lecz w końcu uległ, bo musiał usłuchać żołnierza, który był przekonany o takiej potrzebie. Gdyby ktoś doniósł i w przyszłości znaleziono w tym miejscu broń, ten oficer musiałby ponieść poważne konsekwencje służbowe. Wezwał sołtysa, który musiał z urzędu być obecnym podczas przeszukiwania zabudowań lub mieszkania i jednego z sąsiadów. W mieszkaniu była tylko kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat. Zaczęliśmy od bardzo dużego łóżka. Kiedy podniosłem poduszkę, okazało się, że jest ciężka. Kolega podniósł drugą i też powiedział, że jest dziwnie ciężka. Wyjeliśmy z nich amerykańskie płaszcze skórzane. W piwnicy kolega odkrył w wekach amerykańską siódemkę i pakiet 1738 dolarów amerykańskich. Ja za regalem wypatrzyłem przemurowaną ścianę. Po jej rozbiciu znalazłem schowek, a w nim różne dokumenty i mapy. W drugim schowku były pamiątki kilku rodzin, wśród nich album z fotografiami rodziny gospodyni. Okazało się, że kobieta miała dwóch synów oficerów w wojsku niemieckim. Została ona zwerifikowana jako Polka i dlatego jej nie wywieziono do Niemiec i jeszcze na dodatek przydzielono niewielkie gospodarstwo, które zajęła. Chciałem zobaczyć, co jest na poddaszu, ale nie było do niego wejścia. Po zdjęciu kilku gontów ujrzałem skład skrzyń. Były w nich pociski artyleryjskie, miny bakelitowe, pancernofausty, kostki trotylu i amunicja strzelecka, tak dużo, że załadowano dwa samochody ciężarowe. Wszyscy, którzy to widzieli dziwili się z wytrzymałości stropu i ludzkiej głupoty. Gdyby doszło do pożaru, to co się by stało z pobliskimi zagrodami i mieszkańcami wsi? Nie wnikał tu w cel zgromadzenia tego arsenału. Pół roku później kolega rozpoznał wśród osób zatrzymanych przy granicy syna tej kobiety. Ten oficer Abwehry w czasie wojny był w oddziale NSZ, ale jako podoficer i nosił polski mundur. Razem z oddziałem uciekł do amerykańskiej strefy okupacyjnej, gdzie dotarł do organizacji Gehlena. Skierowano go do Polski z konkretnymi zbrodnymi zadaniami. Sąd skazał tego niemieckiego agenta i dywersanta na karę śmierci.

Podczas akcji rozbrajania żołnierzom służby zasadniczej za każdą wykrętą broń płacono, a kadry zawodowej nie płacono. Było więc czasami tak, że jeżeli oficer coś znalazł, to wołał szeregowca - Chodź tu i patrz co znalazłeś! Wtedy płacono za znaleziony karabin 30000 zł, za pistolet 10000 zł, za

granat 5000 zł, a za karabin maszynowy 160000 zł. To były duże pieniądze. Za akcję koło Nowego Tomysła też otrzymałem olbrzymią nagrodę. Złotówki wymieniłem nielegalnie na dolary i oddałem je na przechowanie kuzynce i dobrze, że tak uczyniłem, bo krótko po tym odbyła się w Polsce wymiana pieniędzy i ci co przechowywali większe sumy w złotówkach stracili na tym.

Poderwano nas w nocy do akcji mającej na celu rozbić bandy, która od dość dawna terroryzowała ludność i dopuszczała się samosądów na działaczach politycznych. Byłem w trzecim pierścieniu okrążenia. Już świtało, kiedy rozstawiono nas posterunkami w granicach widzialności. Leżymy i czekamy na to co będzie. Doszedłem do wniosku, że jeśli ktoś będzie chciał uciekać, to zrobi to przez suchy parów, który kończył się jakiejś 50 metrów od nas. Wycelowalem w to miejsce i wtedy nieoczekiwanie wyskoczył z niego żołnierz z karabinkiem w rękę. Kiedy nas dostrzegł, podniósł karabinek i chciał strzelać. Byłem szybszy. Upadł. Dyskowy mówi - Bierzemy trofea i ostrożnie podczołgał się do niego, a potem ja. Zabity miał mundur polskiego żołnierza. Na rogatywce orzełek z koroną. Obok leżał długi czeski karabinek szturmowy. Zabrał martwemu papierośnicę, a ja połakomiłem się na malutki damski pistoletek - szósteczkę. Jak się okazało, zlikwidowaliśmy oddział należący do ugrupowania Wolność i Niezawisłość. Mnie oskarżono o nie wykonanie rozkazu zakazującego strzelania bez rozkazu oraz dodatkowo mnie i dyskowego za ograbienie zabitego. Zostaliśmy wypatrzeni przez kolegów kiedy byliśmy przy zabitym. Zamknięto nas w areszcie i zagrożono sądem. Sprawa ze strzelaniem została wyjaśniona szybko, bo sytuację widzieli żołnierze z sąsiedniej zasadzki, bo też w to samo miejsce się wcelowali. Gorzej było z tymi trofeami. Przekonałem w końcu prokuratora, że chciałem pistolet oddać dowódcy batalionu, bo słyszałem, że szuka prezentu dla kogoś z Warszawy. Jeśli chodzi o dyskowego, to papierośnicę uznałem za nic nie znaczący drobiazg. Prokurator pokazuje mi zegarek oraz zwitek dolarów amerykańskich i funtów angielskich. - To waszym zdaniem jest drobiazg? Aż mnie zatkało na ten widok. Co stało się z dyskowym nie wiem. Pewnie miał za paznokciami coś więcej, bo nigdy więcej już go nie spotkałem.

Po pewnym czasie zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że niektóre nasze akcje prowokowane były sąsiedzką zawiścią, albo rodzinnymi nieporozumieniami. Ludzie dla różnych korzyści donosili na siebie. Donosili też żeby się na przykład pozbyć sąsiada. To był poważny problem, władze szukały sposobów ograniczania takich sytuacji. Nie zawsze wydawało się, kto i z jakich pobudek był inicjatorem aresztowań. W naszej służbie i dla państwa liczyła się skuteczność w oczyszczaniu terenu z broni i z band. Trudno było rozróżnić, która zbrojna grupa była polityczną, a która rabunkową. Jedne i drugie dopuszczały się bezprawia. Polityczne grupy rabunek nazywały rekwizycją na potrzeby walki o niepodległość. Ludzie odbierali te rekwizycje jako zwykłą grabież. Byliśmy święcie przekonani, że są to ludzie opłacani przez wrogów Polski lub

chcący powrotu państwa burżuazyjnego. Docierały do nas informacje o mordach na niewinnych ludziach, albo tych obywatelach, którzy wykazywali gorliwość w odbudowie kraju ze zniszczeń. Czasopismo „Walka Młodych” zamieszczała nekrologi zamordowanych działaczy młodzieżowych ZWM, a od 1948 roku Związku Młodzieży Polskiej. Ogółem z tych organizacji zostało zamordowanych w latach 1945 – 1953 około 2000 młodzieży. Ludzie też mieli już dość wojny, chcieli spokoju. Dlatego coraz częściej informowali o takich grupach i osobach. Duża część osób związanych ze zbrojnym podziemiem w pierwszych latach po wojnie przenosiła się na Ziemię Odzyskane. Tutaj się osiedlali i prowadzili normalne życie. Władze o nich wiedziały, ale nie chciano zapelniać więzień, tylko dlatego, że ktoś taki należał w przeszłości do organizacji. Jeśli normalnie pracował i spełniał powinności obywatelskie, z czasem o takiej osobie zapomniano. Obecnie niektórzy z nich ujawniają się jako ludzie skrzywdzeni, a przecież niejedyn z nich uzyskał w Polsce Ludowej wysoki status społeczny. Jak widać nie za bardzo im w tym przeszkadzano. Jelenia Góra też była takim azylem dla tych ludzi i niejedyn z nich mógłby opowiedzieć o tym, że ma krew na rękach, przeciwników politycznych.

Dzisiaj również o wiele więcej wiem o tym, że władze naszymi rękami również załatwiała swoje porachunki z przeciwnikami politycznymi. Wtedy nie byłam tak świadomym tego i wydawało się mi, że zawsze uczestniczę w praworządnych działaniach, ale do czasu pewnego wydarzenia. Dla nas znaleziona broń była zawsze bronią. Jeżeli ktoś miał ją w mieszkaniu ukrytą, to za to odpowiadał. Podczas przeszukiwania mieszkania mój podwładny znalazł pistolet. Pokazuje go kapitanowi i mówi - Wczoraj znalazłem ten sam pistolet i o tym samym numerze, jak to jest możliwe? Kapitan - Tak, to możliwe, bo wróg chce wprowadzić w nasze szeregi zamęt i dlatego wyprodukowano broń o tych samych numerach. Byłem bystry i od razu chwyciłem, że ten pistolet był przez zaufanego funkcjonariusza podrzucony, by inny mógł go znaleźć. Sąsiedzi, czy sołtys przecież mieli możliwość widzieć jak odnajdywana była broń i oni tę sytuację uwiarygodniali. Prokurator odbierający oświadczenie żołnierza, że odkrył schowany pistolet, który dzień wcześniej też odkrył, i był to ten sam pistolet, nie mógł uwierzyć i zostałem wezwany na świadka. Potwierdziłem, że tak było, a ten aż się złapał za głowę i kazał mi wyjść.

Po ukończeniu w 1949 r. szkoły podoficerskiej, zostałem, w stopniu kaprala, skierowany do Centrum Wyszkożenia MSW w Szczytnie. Tam wyznaczono mnie na szefa kompanii. Pewnego dnia wezwał mnie dowódca batalionu major Szymandera i usłyszałem, że przyszedł rozkaz o skierowaniu mnie na Rakowiecką w Warszawie. Bardzo się przejął tą sprawą. Pocieszał mnie, że jeśli będę miał jakieś kłopoty, to mogę się do niego zwrócić o pomoc, bo ma o mnie bardzo dobrą opinię. Na wszelki wypadek na Rakowiecką stawilem się z plecakiem, w którym miałem najpotrzebniejsze rzeczy, gdyby chciano mnie zamknąć. Porucznik, do którego zameldowałem się, był on potem w WOPK w

kadrach, poprowadził mnie pustymi korytarzami gmachu. Po plecach leje się pot, nogi mam jak z waty. Zaprowadził do pułkownika i wyszedł. Ten patrzy się na mnie i nic nie mówi. Zaczynam robić rachunek sumienia. Pistolet mi odpuszczono, o stryju przedwojennym policjancie przecież wiedzą, na władzę nic nie gadalem, kilka razy słuchałem BBC, ale z uchem przy głośniku. Nagle mówi – No to wybierajcie! Ja zdziwiony – Ale co mam wybierać obywatelu pułkowniku? - Wybijajcie, gdzie chcecie być! - Ale ja nie wiem, o co chodzi? - Jak to nie wiecie, przecież decydujecie o swoim dalszym losie! Nogi zaczynają mi dygotać, pot zaczyna zalewać oczy. Ściskam tyłek i napiłam mięśnie ud, bo tak już mocno zaczynam się telepać. Pułkownik - Mamy dla was Kaprału propozycję nie tylko dalszej służby, ale także wyboru miejsca jej pełnienia. Wybierajcie. Do dyspozycji macie ochronę rządu, eskadrę lotniczą KBW lub Korpus Kadetów? Wybieram tę ostatnią. Kadetów widziałem w Szczytnie, gdzie ich przywieźli do zapoznania się z przyszłą szkołą. Podobali się wszystkim za dyscyplinę, sposób bycia, piękny język, jakim posługiwali się na co dzień. Wiedziałem, że mają w Warszawie swoją szkołę. Od razu pomyślałem, że może i ja coś z ich nauk skorzystam. Widzę, że pułkownik jest z mojego wyboru bardzo niezadowolony. Odsyła mnie na korytarz do zastanowienia się. Wracam po dziesięciu minutach i melduję, że wybrałem Korpus Kadetów. Pułkownik - Pamiętajcie Drzymała, to jest taka nasza szkoła rycerska. Żeby przypadkiem nie było jakiegoś szlajania się po mieście i chlania, albo gadania kadetom jakichś głupot. Będziecie szefem kompanii i macie być dla kadetów jak matka troskliwy. Większość z nich to sieroty i półsieroty i ciężko są już przez życie doświadczeni. Za najdrobniejsze uchybienie w pracy przeniesiemy was na placówkę, w najgorsze zadupie, albo wsadzimy pod klucz. Zrozumiano? To idźcie do tego korpusu. Pytam się, a gdzie ten Korpus Kadetów się znajduje? Pułkownik – Tutaj obok, za płotem.

Szkoła była na rogu Wiśniowej i Rakowieckiej. Podlegała bezpośrednio pod ministra Spraw Wewnętrznych. Przychodzę, a tam takie małe chłopaczki. Na ich widok śmiać mi się chciało, bo wyglądało to na jakiś teatr. Dzieciaki przebrane w mundury wojskowe. Wśród nich znajdował się Janek Pietrzak. Był kadetem w mojej kompanii. Praca w korpusie to najmlsze lata mojej służby. Dowódcą kompanii był porucznik Kościan. Szkołą kierował podpułkownik Bolesław Boruciński, prawnik z wykształcenia. Potem gdzieś zginął i nikt nie wie gdzie. W korpusie kadry zawodowej było mało, za to dużo profesorów cywilnych. Dyrektorem Nauk była major Ludwika Bibrowska. Była jedną ze słynnych plateranek Batalionu Kobiecego z 1 Dywizji Piechoty. Jej mąż, również oficer frontowy, w tym czasie już oficer MSW, służył na Rakowieckiej. Wobec kadetów Bibrowska matkowała i była chyba za bardzo opiekuńcza. Po pierwszych egzaminach maturalnych, jakie odbyły się w szkole w 1951 roku, zatrzymała mnie i mówi - Plutonowy, dlaczego nie uczycie się? Róbcie maturę. Korzystajcie z szansy, bo nigdzie w Warszawie takich nauczycieli nie znajdziecie, są tylko u nas. Zbuntowałem się - To ja mam z tymi chłopaczkami

siadać w jednej ławce. - Nie ma się czego wstydzić, korzystajcie z możliwości, ona na to. Jakoś nie mogłem się przełamać. Czasami chodziłem na niektóre lekcje, niby kontrolować swoich kadetów. Byłem zauroczony tym, czego ich uczono i jak do nich podchodzono. Odpowiadano im na różne, nie raz bardzo trudne pytania. Pamiętam jak na historii z zapartym tchem słuchałem opowiadania o tym, jak Polacy dwa razy zajmowali Moskwę, a nawet wysadzili Rosjanom w powietrze część Kremla. Albo o tym, że Matka Boska była najpierw hetmanką dla Rosjan, którzy ją w obronie przed Polakami wybrali na swoją obrończynie. Dopiero po latach to samo uczynił polski król Jan Kazimierz. Chłopaki zaczęli się zastanawiać jak to możliwe, że matka swoich synów z różnych narodów wysłała przeciw sobie żeby się zabijali. Wpajano im takie hasło kadeckie: „Pamiętajcie, że mieliście zaszczyt być kadetami!” Albo też ciągle im przypomniano, to co jest wykute nad wejściem do gmachu Biblioteki Krasieńskich, jeśli dobrze pamiętam „Amor patrie nostra lex” - co znaczy - „Miłość Ojczyzny naszym prawem”. Jeden z profesorów zaś mówił - Trzeba pamiętać, że dla Ojczyzny służy się po żołniersku, a to znaczy „Pro patria”, czyli „Wszystko dla Ojczyzny”. Zapisalem sobie te mądre zdania na kartce i nieraz podpisywałem się nimi przed znajomymi.

Był taki jeden drobny chłopaczek – Ludwik. On ze słownikiem łaciny chodził i wypychał kieszeń bluzy. Co rusz kazałem jemu wyjmować go z kieszeni, dla porządku przepisów mundurowych, aż kiedyś poskarżył się o tym Bibrowskiej. Ona kazała mi zaniechać takiego postępowania. - Wy Drzymala lepiej przykładajcie rękę do tego, żeby byli to w przyszłości mądry ludzie, bo zakupów dla kraju już więcej nie potrzeba. Wojna uczyniła im już wiele krzywdy, nie robcie więc dodatkowej przykrości kadetom nadmiernym rygorem. Porządek musi być, ale robiony mądrze, dla ich dobra i wspólnie z nimi. Patrzcie się na nich jak na przyszłych generałów i profesorów, a takich swoją małostkowością ich nie zrobicie. Słowa Bibrowskiej wpisały się mi głęboko w pamięć. Kiedy potem pracowałem w naszej szkole radiotechnicznej, często jej słowa przychodziły mi na myśl, bo podobnie starał się postępować nasz Kazimierski, ale był on nie do końca rozumiany nie tylko przez kadrę szkoły, również przez przełożonych. Dla niego najważniejsza była nauka i związany z tym rygor, ale nie odwrotnie, to znaczy rygor dla samego rygoru, a nauka na końcu.

Wysłano mnie kiedyś po odbiór książek z biblioteki uniwersyteckiej i tam wpadła mi w oko sympatyczna dziewczyna, ale już starsza, taka pod trzydziestkę. Zacząłem do niej zaglądać i z konieczności pożyczać książki. Panie tam pracujące jak już przechwyciły mnie w swoje ręce to nieustannie uszczęśliwiały ciekawymi lekturami. Moja wybranka chciała zrobić ze mnie czytane-go człowieka, a że się mi bardzo podobała, więc musiałem cierpliwie znosić jej w tym względzie zabiegi. Miałem nadzieję, że kiedyś wreszcie się z nią umówię. A czytanie szło mi z oporami i co raz częściej musiałem korzystać z

pomocy kadetów, żeby mi podpowiadali, co jest w treści niektórych z książek, jakie otrzymywałem do przeczytania. Byłem cały w skowronkach jak zaproponowała spotkanie w Parku Łazienkowskim. Siedzimy na ławeczce, na stawie pływają labędzie, lipy pachną i w głowie ze szczęścia aż się mąci. Ona mówi, że ma do mnie ogromne zaufanie, to ja się przysuwam i chcę ją objąć. Ona zdziwiona – Ależ Panie Julianie, tak nie można. Ja chcę panu powiedzieć w zaufaniu, że nie podoba się mi to, co robią z kadetami pod względem ich wiary. Niepotrzebnie ich ateizują, bo w przyszłości może to być zgubne dla nich jako Polaków. Słońce Stalina zgaśnie, bo tak naprawdę nikt w Polsce w niego nie wierzy. Ja natomiast wierzę, że z pana będzie dalej dobry człowiek, uczynny i sprawiedliwy. Mam jakieś przekonanie, że pan nie wejdzie w konszachty z mordercami, bo oni nie są bynajmniej Polakami, a zajmują wysokie stanowiska w milicji, w wojsku i różnych urzędach. To był dla mnie szok. O nic jej nie pytałem. Nie chciałem wyjaśnień, tak się przestraszyłem. Nie wiedziałem po tej rozmowie, co mam zrobić. Na wszelki wypadek przestałem chodzić do biblioteki, żeby przypadkiem kiedy jej poglądy się ujawnią, mnie jej z nią nie powiązano. Zastanawiałem się, czy ona przypadkiem nie jest zakamuflowanym wrogiem, który chce mnie pozyskać dla swojej sprawy, albo prowokatorką mającą mnie sprawdzić. Całe szczęście, że niedługo potem spotkałem na ulicy kolegę i zaprosiłem go na wódeczkę. Był już kapitanem w UB. Zdobyłem się na odwagę i zaczynam rozmawiać o swoich wątpliwościach, bo mam przeczucie, że coś nie tak i nie takimi metodami buduje się nową Polskę, bo ci nasi przeciwnicy też są chyba patriotami, tylko inaczej widzącymi sprawę kraju. – A czy już z kimś rozmawiałeś o tym? Powiedziałem, zgodnie z prawdą, że nie, że tylko do niego mam zaufanie, bo przecież razem zaczynaliśmy u Czekaja. Dowiedziałem się od niego, że niestety doszło w naszym kraju do wynaturzeń, czego przykładem jest aresztowanie Gomółki i procesy osób nawet bardzo zasłużonych dla kraju. Całe szczęście, że są jeszcze towarzysze, którzy mają inne poglądy na budowanie Polski, niż te, które niestety nam zostały narzucone. Wtedy ponownie przeżyłem szok. Pytam się komu wierzyć? – Julian, tylko sam sobie możesz wierzyć, ja nawet tak naprawdę nie jestem pewny, czy za chwilę nie polecisz na mnie z donosem. Z tego bagna wyjdziemy, tylko na to potrzeba dużo czasu i cierpliwości, a przede wszystkim stworzenia towarzyszom radzieckim poczucia pewności, że nigdy przeciw ZSRR nie wystąpimy. Po prostu nie mamy innego wyboru.

Pod koniec 1954 roku dowiedziałem się w zaufaniu, że Radio Wolna Europa nadaje wspomnienia zbiegłego z Polski podpułkownika Józefa Światła, pracownika Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Kupiłem w Warszawie po kryjomu Teslę, radio trochę wymiarami mniejsze od naszego Pionierka. Załatwiłem sobie słuchawki, niby na potrzeby radiowęzła, a zaufany podchorąży przy okazji naprawy celowo zepsutego radia zrobił podłączenie słuchawek i wyłącznik głośnika. Nawet żona nie wiedziała czego słucham. To

co opowiadał Światło wprost porażało, mimo, że już o wielu sprawach wiedziałem wcześniej.

W połowie lat sześćdziesiątych spotkałem dawną znajomą bibliotekarkę, była w tym czasie żoną bardzo ważnego oficera z Głównego Zarządu Politycznego. Powiedziała mi, że wyszła za mąż z rozsądku, a nie z miłości. Czuła taką potrzebę zaopiekowania się oficerem politycznym i dopilnowania żeby się nie zeświñił jako Polak. Swoich poglądów przy nim nie zmieniła, a córkę wychowuje zgodnie z nimi. Mąż jej w tym nie przeszkadza i ona też jemu nie przeszkadzała w robieniu kariery wojskowej. Obecnie jest przekonana, że może być spokojna, bo jest on normalnym, to jest uczciwym człowiekiem, który chce żeby żołnierze byli ludźmi kulturalnymi i dobrze wykształconymi, a Polska żeby była jak najwięcej suwerenna. Tylko dwa razy w życiu, poza swoją żoną, spotkałem tak szczerze osoby, które nie bały się mi o takich sprawach mówić.

Zacząłem zastanawiać się, co będę robił jak skończę zasadniczą służbę w KBW. Miałem ukończonych 6 klas, byłem bystry, szybki i wysportowany. W Poznaniu powierzano mi ważne zadania, bo brakowało oficerów i podoficerów zawodowych. Przez kilka tygodni byłem w ochronie zakładów Cegielskiego i kierowałem jedną z sekcji. W tym zakładzie prowadzono produkcję specjalną. Nawet sobie załatwiłem posadę, na czas, kiedy zakończę służbę w KBW i przejdę do rezerwy, a nie będę chciał iść do milicji. Miałem zostać brygadzystą przystrzeliwania pistoletów maszynowych na podziemnej strzelnicy. Kiedy znalazłem się w Warszawie postanowiłem zostać w niej na stałe. Ze służby w KBW byłem zadowolony. Przełożeni ze mnie też, wszędzie też mieli do mnie zaufanie. Trzymałem język za zębami i robiłem swoje. Na niko go nie donosiłem, ani też w żaden inny sposób nie przyczyniałem się, żeby mieli jakiś uszczerbek w służbie. Oczywiście nie byłem obojętnym jeśli chodziło o sprawy dotyczące zbrodni, albo krzywdy innego człowieka. Wtedy postępowałem jak nakazuje obywatelski lub koleżeński obowiązek.

Po dwóch miesiącach pracy w Korpusie Kadetów, wezwał mnie ten sam pułkownik z Rakowieckiej i zaproponował przejście do służby zawodowej. Z ochotą na to przystałem. Myślę - Za zarobione pieniądze przecież da się żyć, nawet, jeśli się ożenie. Mam już zgromadzone pewne oszczędności. Mieszkanie też będzie łatwiej zdobyć, niż jest to w cywilu. Do milicji postanowiłem nie wstępować, chociaż związków z nią nie zerwałem poprzez pozostawanie w ORMO. W pewnym momencie naszła mnie fala niechęci do babrania się w brudach ludzkiej zbrodni i nieprawości. Co innego to widzieć i reagować na to po obywatelsku, a co innego jako milicjant toczyć postępowanie w sprawach i na dodatek za to odpowiadać. Do tego trzeba mieć stalowe nerwy, żeby nie kusić się na samowolne wymierzanie sprawiedliwości.

Razem za pracę w KBW i z dodatkiem stołecznym dostałem na początek służby 22000 zł miesięcznie, to jest dwa razy tyle, co otrzymywał kapral w Wojsku Polskim. Dostałem dodatkowo 150000 zł na zagospodarowanie i jugosłowiańską gabardynę na mundury. Płaszcz i dwa mundury uszyłem w więzieniu na Pradze i zapłaciłem za to tylko 3020 zł. Wraz z przejściem szkoły do resortu Obrony Narodowej stałem się żołnierzem Wojska Polskiego.

Warszawa bardzo się mi podobała. Ten klimat jaki wtedy był w mieście jest trudny do opowiedzenia. Jak tylko znalazłem się w Warszawie od razu poszedłem zobaczyć słynną w Polsce „Trasę W-Z” to jest nową ulicę poprowadzoną przez tunel pod placem przy zamku królewskim, który w tym czasie nie istniał, bo był zgruzowany. Trasa zrobiła na mnie duże wrażenie, bo prowadziła wśród gruzowiska. Pamiętam wypowiedź przewodniczącego komisji ONZ, która szacowała straty wojenne w miastach europejskich. Powiedział, że Warszawa jest miastem najbardziej zniszczonym, a na odbudowę będzie potrzeba, co najmniej pięćdziesięciu lat. Polska na pewno odbudowy Warszawy nie wytrzyma ekonomicznie i lepiej byłoby stolicę zrobić w innym mieście. Ja wszędzie widziałem w tym czasie, budujące się w Warszawie domy mieszkalne i gmachy urzędów. O murarzach śpiewano piosenki, jak o największych bohaterach. Tak samo sławiono i hołubiono wtedy wszystkich przodowników pracy. Dużo pracy wykonywała młodzież w ramach organizacji Służba Polsce. Junaków widziało się w wielu miejscach Warszawy, a głównie na najważniejszych budowach. W kronikach filmowych i w gazetach pokazywano przysłowiowych traktorzystów i prządki oraz junaków obok ludzi wielkiej polityki. Dziś o tych zwykłych ludziach pracy już nikt nie pamięta. Poświęcili oni swoje lata młodości i zdrowie dla dobra kraju, a dziś z nich się śmieją, że byli głupi, że tak ofiarnie pracowali. Gmachy i fabryki oraz mieszkania, które zbudowali, dziś za bezcen nabywają, bynajmniej nie przyjaciele ludu.

Gdy zostałem żołnierzem zawodowym, próbowałem w Warszawie wynająć chociażby niewielki pokój, lecz bez powodzenia. Myślałem, że jak będę miał nawet najmniejsze lokum, to będę mógł rozejrzeć się za żoną. Na Kierce-laku spotkałem kolegę. Pochwalił się, mieszka w ładnym pokoju na Ochocie. Powiedziałem, że też chciałbym taki mieć. Wtedy odezwała się kobieta, która stała za moimi placami i zaproponowała, że może u niej będę chciał zamieszkać. Pojechaliśmy na ulicę Targową. Zobaczyłem niewielki budynek, który właściwie ze starości się już walił. Chciałem zrezygnować, kiedy zobaczyłem w drzwiach urwaną klamkę, a po ich otwarciu ciasny przedpokój, brudny i zawalony rupieciami i brudną zarówkę zwisającą na drutach. Okazało się, że za niewielkie pieniądze odstępuje mi niewielki, pokój, taki dwa na trzy metry, z oddzielnym wejściem z przedpokojem. W mieszkaniu był jeszcze jeden, ale wielki pokój z wnęką sypialną i oddzielna duża kuchnia. Była też łazienka z ubikacją, ale wchodziło się do niej z dużego pokoju. W łazience był junkers do podgrzewania wody, wanna i prysznic. Jak na warunki ówczesne, to był luk-

sus jakiego nie spodziewałem się. Mieszkanie sprawiało przyjemne wrażenie. Czyściutkie, ładnie urządzone, bez stęchlizny. Był też telefon. Kiedy wyraziłem swoje zdziwienie, dlaczego przedpokój jest inny, dowiedziałem się, że to kamuflaż w obronie przed różnymi natrętami i osobami zaglądającymi do mieszkania. Dlatego telefon posiadał wyciszony dzwonek, żeby przypadkiem nikt z zewnątrz jego nie usłyszał. Nie wiem czemu, ale przyszła mi na myśl opowieść o czerwonej oberży. Kobieta chyba coś zauważyła, bo powiedziała że bym się nie bał, bo ona i córka nie są kanibalkami. Zapowiedziała, że córkę poznam za kilka dni bo jest ona na wyjeździe. Kiedy zdjęła obszerny płaszcz zobaczyłem, że jest bardzo zgrabną kobietą, w wieku pod pięćdziesiątkę. Z radością wyraziłem chęć zamieszkania, ale otrzymałem warunki, że nikogo do tego mieszkania nie przyprowadzę i nikomu nie będę opowiadał, gdzie mieszkam. Ponadto gospodyni poprosiła, abym jak najczęściej starał się przebywać tutaj w nocy. Nie pytałem się dlaczego, bo zaczęły mi przychodzić na myśl różne wesole i przyjemne sytuacje. Gospodyni popatrzyła na mnie i zaprosiła do kuchni. Zostałem poczęstowany wspaniałą kolacją. W nocy czekałem, czekałem na spodziewane odwiedziny i zasnąłem. Rano mnie obudziła - Panie Julianie goń pan do pracy, bo do kadetów jest dość daleko, a czasu niewiele. Po drodze zastanawiałem się skąd ona wiedziała, że pracuję w korpusie, skoro jej o tym nie mówiłem. Kiedyś opowiem trochę więcej o tym jak się w tym domu żyło. Krótko mówiąc odkryłem, że jej córka, śliczna dziewczyna, jako pracownik UB nawiązuje kontakty z zagranicznymi gośćmi. Potrafiła biegle mówić trzema językami. Mamuśka jej też się zajmowała pewnie jakąś podobną pracą, ale tego nigdy się nie dowiedziałem. Musiałem w końcu z tego domu się wyprowadzić, bo ciągle byłem napalony na obie, a one miały zasady i dlatego nie miałem u nich żadnych szans. To mnie denerwowało, że dla innych są dostępne, a dla mnie nie.

Spotkałem w kasynie przy Rakowieckiej podpułkownika Szymanderę. Powiedziałem, że muszę mieć służbowe mieszkanie. W tym czasie żeby dostać, nawet kawalerkę, to trzeba było mieć, nie byle jakie znajomości. Ten się na mnie obruszył. - Czy wy Drzymała wiecie, do czego mnie namawiacie? Pamiętajcie, więcej na ten temat nie będziecie ze mną rozmawiać. Zmroziło mnie. Jakie było moje zdziwienie, gdy zostałem wkrótce powiadomiony o przydziale służbowej i pięknej kawalerki. W takich mieszkali wtedy oficerowie z ministerstwa.

W korpusie kadetów służyłem do czerwca 1953 roku, to jest do czasu gdy otrzymałem skierowanie do oddziału personalnego Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Dowiedziałem się, że niedaleko od Zegrza istnieje nieoficjalnie szkoła oficerska i potrzebują w niej kierownika kasyna. Zgodziłem się. Dostałem papiery i nie bardzo wiedziałem, gdzie mamjechać. Napisano, że stawić się mam w jednostce wojskowej w Benjaminowie. Wziąłem mapę i takiej miejscowości nie mogłem znaleźć. Od kolejarzy na Dworcu Gdańskim

dowiedziałem się, że muszę wysiąść na stacji kolejowej w Nieporęcie. Tam dopadam podchorążego - Jesteście ze szkoły w Beniaminowie? Ten patrzy na mnie jak na wariata i mówi, że tak. - No to prowadźcie! Idziemy, idziemy, a wokoło pola i łąki i nic na horyzoncie podobnego do koszar nie widać. Chęć z chłopakiem porozmawiać, dowiedzieć się, co to za szkoła, a ten nic nie chce mówić. Myślę sobie, to pewnie szkoła Informacji Wojskowej, skoro oficjalnie jej nie ma, a jest jednostka wojskowa. Dochodzimy do Białobrzegów, a nie do Beniaminowa. Podchorąży doprowadził. Patrzę, a wszystko stare, baraki i piach. Pewnie te koszary jeszcze po carskiej armii. Zaczęłam żałować, że wybrałam to miejsce. Myślę, trzeba wiać, bo chyba jestem tu, gdzie nikt z kadry nie chce być dobrowolnie.

Swoje przybycie musiałem zameldować szefowi Wydziału Ogólnego majorowi Baranowi. Wyszedłem od niego całkiem załamany, a przede wszystkim jego grubiańskim zachowaniem. Potraktował mnie jak śmiecia. Major Józef Baran walczył w Hiszpanii i zawsze oczekiwał z tego tytułu specjalnych honorów. Na akademiach i podczas świąt starał się usiąść obok komendanta szkoły. Był człowiekiem szorstkim i nieprzyjemnym. Gdy major Wacław Kazimierski przyszedł do szkoły, to Baran do niego skakał i przeszkadzał jemu w wykonywaniu obowiązków służbowych, chcąc zostać zastępcą komendanta. Przełożeni na Dyrektora Nauk powołali jednak Kazimierskiego, bo miał odpowiednie wykształcenie i doświadczenie. To jeszcze bardziej zadziało na Barana negatywnie. Stał się człowiekiem wprost nie do zniesienia.

W 1953 roku w Oficerskiej Szkole Radiotechnicznej byli tylko trzej podoficerowie: Majchrzak - kinooperator, Ligocki - mechanik "Kraza" i ja - kierownik kasyna. Kadra i rodziny żyły w tym czasie bardzo biednie. Ligocki już miał chyba troje, albo czworo dzieci. Kobiety z ogromnym trudem spełniały role matek i żon. Zastanawiałem się, czy warto się żenić i gnębić żonę w takich warunkach jakie były w tym czasie w Beniaminowie.

Nie byłem przygotowany do pełnienia swojej funkcji, a kasyno żywiło ponad 100 osób. Miałem problemy z zaopatrzeniem oraz przechowywaniem wyrobów mięsnych i mlecznych, bo nie było chłodni. Codziennie musiałem przywozić wszystkie produkty z Warszawy oraz z Legionowa i tylko w małych ilościach, żeby nie powodować u konsumentów zatrucia pokarmowych.

Do kasyna bardzo często przychodzili Lewandowski z Kossakiem. Bardzo się obaj przyjaźnili. Kossak miał po ojcu starego Adlera i kadra jemu tego zazdrościła. Był to jedyny prywatny samochód w Beniaminowie. Kossak pochodził z tej sławnej rodziny artystów. Kiedy przez okno widziałem jak obaj idą od sztabu, to wołałem - Pani Halinko, pół litra i zakąska na stół. Przychodzili, pogadali sobie, zjedli, wypijali wódeczkę i wychodzili do dalszej pracy. Prowa-

ziłem specjalny rachunek i Lewandowski regularnie, co miesiąc opłacał należność i to jemu bardzo się podobało.

Przed rozpoczęciem w Benjaminowie pracy, gościłem w swojej kawalerce brata, komendanta posterunku MO z Leska w Bieszczadach. Wraz z nim przyjechało kilka osób na krajową naradę przodowników nauki i pracy ZMP resortu Spraw Wewnętrznych. Od razu wpadła mi w oko śliczna dziewczyna o czarnych włosach. Myślałem, to jakiś cud, że brat ją przywiózł. Zaprosiłem dziewczynę na dancing do kasyna przy Rakowieckiej. Tam bawiliśmy się do trzeciej w nocy i potem był długi powrót do domu. Ręce mi latały, ale ona cały czas trzymała dystans. Goście wieczorem odjeżdżali, więc odprowadziłem ich na dworzec. Coś mnie zaczęło nosić. Zacząłem kombinować jak tę dziewczynę zatrzymać przy sobie. Kilka razy żegnałem się z nimi, wychodziłem z wagonu i za chwilę wracałem. Coś mi w środku mówiło - Tylko ona, tylko ona, tylko ona. Wchodzę do przedziału, klękam przed nią i mówię - Tylko Ty będziesz moja i tylko ja będę twój. Obecni w przedziale i ona się śmieją, myślą że ich tak rozweselałem. A ja mówię dalej - Szykuj się do ślubu, za sześć tygodni do ciebie przyjadę. Ona - Jeśli odważysz się przyjechać do Hoczwi, to się zgodzę. Brat, bardzo zaskoczony, pogratulował mi dobrego wyboru narzeczonej. Potem przysłał list pytając się, czy ja naprawdę chcę się żenić, po jednodniowej znajomości dziewczyny? Nie odpisałem, bo za kilka dni trzeba było do niej jechać. Poszedłem do pułkownika Genrykowa i powiedziałem, że chcę się żenić. - Jedź! Siem dniej oddycha!

Pojechałem. Wysiadam z pociągu, a tam dróg nie ma. Pustkowie. Myślę, że chyba się pomyliłem, albo zwariowałem. Chcę wrócić, ale jak? Poza tym gdy wrócę bez żony, to Genrykow powie, że go oszukałem. Tego jemu zrobić nie mogę. Patrzę jedzie furka. Gość spogląda na mnie spode łba. Ja w mundurze, stopień sierżanta. Pytam się czy jedzie w tę stronę, w którą ja chcę jechać. - Jak Boh da, to tak budżet. Więc siadam i kombinuję, czy dobrze mnie wiezie i tak przez prawie dwie godziny. Przez ten czas nie odzywał się, to i ja nic nie mówiłem, tylko mocno trzymałem się kłonicy. Dojechałem do wybranki i zastałem ją na podwórzu. Ona w tym momencie jest bardzo zaskoczona i jakaś taka niechętna dla mnie. Wchodzimy do mieszkania, a ja od razu, jeszcze w progu domu, powiedziałem jej rodzicom, że przyjechałem na ślub swój i ich córki. Na to nikt nie był przygotowany. Straszne zamieszanie się zrobiło. - Ze ślubem, czy bez ślubu i tak Ciebie stąd zabieram, powiedziałem. Dwa dni później 8. sierpnia 1953 roku ożeniłem się, a po kolejnych dwóch dniach zabrałem żonę do Benjaminowa. Dziś może to być śmieszne, ale ja swoją żonę w całej nagości zobaczyłem po raz pierwszy po przywiezieniu jej do Benjaminowa. Przez prawie dwa tygodnie musiałem ją przekonywać, że naprawdę jesteśmy już małżeństwem. Zatrudniłem ją jako bufetową u siebie w kasynie. Miałem kolejne szczęście, bo wkrótce w nowym bloku otrzymałem

mieszkanie, 2 pokoje z kuchnią i łazienką. Start małżeński mieliśmy więc bardzo udany.

Kierownikiem kasyna byłem przez rok i zaczęło mnie to już bardzo męczyć. Żona też nalegała żebym zmienił pracę i był dalej od bufetu. Pewnego razu Lewandowski mówi - Chodź do mnie, do służby samochodowej, na kierownika parkowej stacji obsługi. Poszedłem i byłem nim przez trzy miesiące. Spore trudności miałem, bo nie znałem się na naprawach samochodów. Wtedy w parku samochodowym w OSR były następujące pojazdy: Skoda model 1100, kilka ZIS-ów "piat" i dwie amerykańskie półciężarówki Dodge. Jak porucznik Kotewicz odszedł ze stanowiska dowódcy plutonu samochodowego do sztabu szkoły, na szefa służby samochodowej, to ja znalazłem się na jego miejscu. Lewandowski powiedział - Na początku tylko trzymaj w plutonie dyscyplinę, a techniki szybko się nauczysz. Jeśli będzie inaczej powiesz ciębie za dzwony. Nie musiał, bo dogadałem się z chłopakami mechanikami, a i mnie fascynowała technika, nawet radiolokacja. Wszystkiego chwycyłem się po trochu. Zapisalem się też do liceum wieczorowego, które Kazimierski uruchomił w naszej szkole, bo żona miała średnie wykształcenie, a ja nie. Chodziłem również na zajęcia z budowy i eksploatacji stacji radiolokacyjnej P - 3, które prowadził Kazimierski, i to nie podobało się niektórym oficerom.

W rejonie szkoły trwały prace budowlane, wznoszono garaże, magazyny i nadbudowywano baraki koszarowe dla podchorążych. Dla rodzin budowano blok mieszkalny. Pracowali żołnierze z batalionu budowlanego, tylko kierowcami samochodów byli cywile. W lesie wznoszono wielkie magazyny amunicyjne. W parku samochodowym sami zbudowaliśmy dużą myjkę dla pojazdów. W nocy przy świetle reflektorów samochodowych, uruchomiliśmy betoniarkę podprowadzoną od budowlanców i rano mury myjki były gotowe. Z wierzchu pokryliśmy ją drzewem i obstawiliśmy pojazdami, tak że nikt nic nie widział. Tego cementu zużyliśmy im może z 10 ton, nawet tego nie zauważyli. Trzeba było mieć spryt do takich działań.

Pułkownika Genrykowa wszyscy w szkole lubili, bo był człowiekiem o wysokiej kulturze bycia. Otwarty dla kadry, troskliwy wobec ich rodzin i opiekuńczy dla podchorążych. Rozmawiał ze wszystkimi. Chodził po koszarach i wszystko go interesowało. Doradzał kadrze jak mają prowadzić zajęcia. Osobiście uczył radiolokacji na przykładzie stacji Redut. Inaczej było w Zegrzu pierwszym i w Zegrzu drugim, gdzie dowódcami też byli Rosjanie, ale to byli chamscy ludzie. Nieustannie pokazywali swoją wyższość wobec polskiej kadry. Korzystali ze stanowisk ile się tylko dało. Mieli chyba bardzo mocne plecy, bo długo ich nie zdejmowano ze stanowisk. Pułkownik Genrykow nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Opowiadał, że został skierowany do szkoły tylko na dwa lata, żeby ją zorganizować. Potem wraca do domu w Rosji. Byłem myśliwym, handlowało się też flintami i miałem ogromne szczęście znajdowania

pięknych egzemplarzy. Nie potrzeba było żadnych zezwoleń. Genrykow lubił polowania, ale nie był przy kieliszku wylewnym. Kiedy nadszedł czas jego pożegnania, to kadra szkołyniosła go na rękach z kasyna, aż na górkę Koze-
do. Tam znajdował się amfiteatr i kino. Kupiliśmy jemu na pamiątkę piękną flintę. Genrykow, był chyba jednak z NKWD. Przecież tylko zaufanych przysy-
łali. Nosił mundur koloru khaki, bryczesy czarne i z lampasami jak u generała i to mnie bardzo zastanawiało.

W szkole było kilku radzieckich oficerów. Podpułkownik Izdebski nosił mundur oficera artylerii. Prawdopodobnie w czasie wojny z Armią Radzieckiej do Wojska Polskiego przeszedł w sposób niezbyt legalny. Jego żona bardzo bała się powrotu do ZSRR. Któregoś dnia zabrali go do samochodu i powieźli. Zdążył jeszcze powiedzieć - Gdzie jadę, to nie wiem. W oczach miał łzy. Z jego żoną bardzo przyjaźniła się Mańkowska. Mówili, że Mańkowska potrafi mówić pięknym literackim językiem rosyjskim.

Podpułkownik Kurtaszew, ciągle wymyślał jakieś imprezy kulturalne. Szczególnie lubił organizować nad Narwią biwaki. Wynosiło się z kasyna bu-
fet i urządzało zabawy. Nie było jeszcze wtedy Zalewu Zegrzyńskiego, a woda w rzece była bardzo czysta.

W szkole, w tym czasie sprzętu radiolokacyjnego było niewiele, a na samym początku były stacje: radziecka Redut, amerykańska SCR 584 i angielska LW. Potem przystali SON-4 i P-3a. Obsługi tej ostatniej uczył począt-
kowo sam Kazimierski.

W szkole był sierżant podchorąży Bartosik, jak nikt inny fanatyk na punkcie radiolokacji. U mnie w parku samochodowym stała stacja artyleryjska SON-4. On przychodził i kręcił talerzem anteny. Wszyscy się śmiali że on na mnie poluje, że chce mnie namierzyć i wiedzieć gdzie jestem, bo jemu podoba się moja żona, a ja jej ciągle pilnuję. Wiedziałem, że żartują, ale do czasu. Kiedyś w tej stacji zastałem inżynierów z WAT i mimochodem usłyszałem, jak jeden do drugiego mówi - Uwważaj, bo podgrzejesz sobie jajeczka. Pytam się jak i czym można sobie tutaj podgrzać jajeczka, a ten mówi, że falami można nawet gotować zupę i upiec mięso. Trzeba tylko mieć odpowiednią antenę. Mówią żebym przypadkiem o tym nie rozpowiadał, bo nie trzeba się paniki. Dopadam w kasynie podporucznika Tadzia Krasowskiego z izby chorych, stawiam wódkę i pytam się, co może grozić jak mocno przygrzeje się jądra, ten zdziwiony. - A czym je sobie podgrzałeś? Jakoś udało się od niego dowiedzieć, że grozi to impotencją. Zacząłem więc Bartosika gnębić, kiedy tylko przechodził przez park i stwarzać jemu trudności w korzystaniu z Sonki, a on jak na złość coraz częściej anteną za mną wodził. Któregoś dnia o mało go nie uderzyłem. Wreszcie się pyta - Czego obywatel sierżant ode mnie żąda? Jak

przestaniecie obywatelu sierzancie podchorąży tę antenę na mnie kierować, to dam Wam spokój. Przestał.

Kiedy poszukiwano miejsca do przeniesienia szkoły gdzie są lepsze warunki niż w Beniaminowie, brano pod uwagę Koszary w Poznaniu, Elblągu i w Jeleniej Górze. Mówił mi o tym Kazimierski. Przeważała opinia grupy rozpoznawczej, która przebywała w Jeleniej Górze. A wszystko za sprawą władz miasta, które chciały mieć u siebie szkołę oficerską i to o profilu elektronicznym. Marzyło się im, że wraz ze szkołą ściągną do siebie również przemysł o tym profilu, bo nie podobały się im zakłady chemiczne. Ponadto komisja tak została oczarowana krajobrazem i przez Jeleniogórzanki, że zrobili wszystko, chcąc wrócić na stałe w tak urocze miejsce. Kazimierskiemu ten pomysł się nie podobał, ze względu na ukształtowanie terenu i bliskość granic. Ministerstwo podjęło decyzję zbyt późno i martwił się on jak zdążyć w terminie trzech tygodni przygotować szkołę do rozpoczęcia nauczania na nowym miejscu, a wcześniej przeprowadzić podwójnie zwiększony nabór kandydatów.

Przeprowadzka sprawiała wiele trudności, brakowało kołków i drutu do mocowania sprzętu na wagonach. Trzeba było kombinować. Zwoje drutu gwizdnęło się budowlancom i zakopało w piachu, nie znaleźli chociaż szukali. Liczył się spryt. Mocowałem na wagonach cały sprzęt i samochody. Saper był wkurzony, bo to jego rola, a nie miał czym mocować. Doszło wtedy z nim do zatargu. Chciał on skorzystać z dodatkowego transportu prywatnych rzeczy. Ja też o tym samym myślałem, a potem zrobiłem. Nie liczył się wtedy stopień, tylko funkcja. Mnie wyznaczył komendant do likwidacji pozostałości szkoły w Beniaminowie, nawet na podpisanie obiegówek. Z Beniaminowa do Jeleniej Góry wszystko wywieziono w trzech transportach kolejowych i to był niewątpliwy sukces, tym bardziej, że nie zniszczono przy okazji ani jednej pomocy szkoleniowej.

Wraz z przeniesieniem szkoła została odtajniona, a nas przebrano w mundury lotnicze. Byliśmy z tego wydarzenia bardzo zadowoleni, chociaż lotnikom te mundury nie podobały się, bo były typu sowieckiego, jak to oni mówili. W Jeleniej Górze spotkały mnie ogromne problemy z ulokowaniem gdzieś rodziny, żony i dwójki dzieci. Mieszkań nie było, tylko ciągle przeprowadzki. Rodziny lokowano po dwie w jednym mieszkaniu. Z tego powodu wybuchały ciągle awantury, bo kobiety chciały być na swoim i nie cierpiały kiedy inne zaglądały im do garów.

Będąc jeszcze w Beniaminowie, pojechałem służbowo samochodem do Warszawy. Zabrałem ze sobą Lewandowskiego i innych z kadry, razem pięć osób. Przy okazji wypilo się. Wróciliśmy i porozwoziłem wszystkich pod mieszkania, a potem pojechałem do parku. Kierowca sanitarki nalega o jej zatankowanie, bo może będzie za chwilę potrzebna. Więc tankuję. Wsiadłem

do Dodga wyjeżdżam na ulicę Koszarową. W tym czasie na praktyce byli w szkole inżynierowie - oficerowie i chorążowie. Nie lubiłem się z nimi, bo mi często dokuczali, zazdroszcząc żony. Niektórzy ostentacyjnie próbowali smażyć do niej cholewki. To mnie często wyprowadzało z równowagi. Trzech szło z przeciwka. Chciałem ich nastraszyć. Dwóch odskoczyło, a jeden podporucznik wpadł pod samochód i poczułem jak go przejechałem. Wyskakuję, patrzę, a on spod samochodu próbuje wyjść. Podbiega tamtych dwóch i wyciągają kolegę, a ja biegiem do parku, biorę sanitarkę, ładuję rannego i do szpitala w Warszawie. Okazało się, że ma tylko pęknięty obojczyk i ogólne drobne potłuczenia. W szpitalu na urazówce, przyjmował porucznik Hattowski, nasz lekarz, taki bardzo religijny człowiek. Od niego dowiedziałem się, że przejechany podporucznik nie odniesie większego uszczerbku na zdrowiu. Jak wróciłem do Beniaminowa od razu wziął się za mnie podporucznik Grzebyk z Informacji Wojskowej. Zapowiedział, że mam pewnie, co najmniej trzy lata do odsiadki i degradację. Pojechałem więc do szpitala i zaproponowałem podporucznikowi odszkodowanie w wysokości 3000 zł. Były to wtedy duże pieniądze. Pomimo zadośćuczynienia sprawa ciągnęła się długo, bo to przecież wypadek samochodowy i kierowca po spożyciu alkoholu. W tym czasie, był to rok 1955, awansowałem na stopień starszego sierżanta i otrzymałem medal za służbę w wojsku, a jesienią już byliśmy w Jeleniej Górze i myślałem, że sprawa w Warszawie rozplynie się po kościach. Pod dystrybutor benzyny na parku samochodowym przyjechał „wuefermką” oficer informacji i chciał paliwem napełnić bak. Zaczął tego żądać natarczywie i straszyć, że jak nie to będę musiał do niego często przychodzić. Powiedziałem jemu w złości spiepszaj, nie ma ciebie na zaopatrzeniu. Ten się zdenerwował i mówi - Jeszcze będziesz Drzymała za kratkami piszczał za wolnością. Powiedział to i odjechał. Potem się zaczęło. Zrobili rozprawę za wypadek samochodowy. Sąd był w Warszawie i odpowiadałem z wolnej stopy. Zasiadało dwóch ławników poruczników, bo na takim etapie byłem. Przed rozpoczęciem rozprawy oficer informacji podał jednemu z nich karteczkę. Podczas przerwy, przed ogłoszeniem wyroku, chodzę po sali i patrzę ta karteczka leży. Biorę, a tam napisane: „Półtora roku więzienia bez zawieszania”. Schowałem ją do kieszeni na pamiętkę.

Od razu mnie nie zamknęli. Mija jeden miesiąc, mija drugi i nic. Potem przyjeżdża do szkoły prokurator i mówi - Już dłużej wyroku odraczać nie mogę, bo szykują się poważne kłopoty, ze strony kolegów sierżanta. - Jakich kolegów? Prokurator zmieszany nie odpowiada. - Sierżant na pewno wszystkie sprawy rodzinne już pozalatwiał, więc musi iść za kratki. I tak trafiłem do pudła w Jeleniej Górze. Od razu napisałem podanie o skierowanie do pracy w kamieniołomie Zaręba koło Lubania. Za pracę w kamieniołomie, po każdym roku zaliczyli półtora roku więzienia, a ja przecież tyle w wyroku otrzymałem. W październiku 1956 roku ogłoszono amnestię. To już było po powrocie Gomułki z więzienia. Wypuszczono więc i mnie na wolność. W więzieniu byłem tylko przez cztery miesiące. Idę do Kazimierskiego i proszę o ponownie przyjęcie

mnie do służby zawodowej, a on mówi że nie może. Tę decyzję mogą podjąć tylko w kadrach naszego rodzaju wojsk. Jadę do Warszawy bez biletu, w mundurze. Mam z sobą dokument zwolnienia z więzienia. Konduktorzy i rewizorzy są uprzejmi. Nikt o nic nie pyta. Kiedy na biurze przepustek powiedziałem, że wracam z więzienia, żołnierze od razu zaczęli odnosić się do mnie z wielkim szacunkiem. Otrzymałem czysty ręcznik i maszynkę do golenia, a następnie posiłek. Kadrowy z wielką serdecznością - Czy chce pan wrócić do służby? - Tak i to od razu i do szkoły w Jeleniej Górze - mówię. On mi tłumaczy, że mogę mieć uraz do tego miejsca, bo tam byłem aresztowany. Ja, że takich przykrości odczuwał nie będę, bo szkoła nie jest winna, tylko Informacja Wojskowa. Tym sposobem wróciłem do szkoły i wszyscy byli zdziwieni.

Kapitan Zimny, szef Informacji Wojskowej w szkole, to był istny młot i cham. Chwalił się wszystkim, że brał udział w aresztowaniu Spychalskiego. Wiem od kolegów, uderzył nawet uderzył Spychalskiego w twarz, jak ten zdziwiony spytał się za co jest aresztowany. Przez dłuższy czas mieszkali obok siebie, byli dobrymi sąsiadami. Kpt. Zimny to był gość wysoki i dość tęgi. Kancelarię miał taką jak ciemnia fotograficzna, z zasłoniętym oknem i lampą biurową z 200 watomą żarówką. Wzywał do siebie ludzi, świecił im w oczy i bił. Każdy wychodzący wcześniej podpisywał zobowiązanie do milczenia. Na ogół jeśli ktoś nie wychylał się pod względem politycznym, albo czegoś nie zataił w papierach, to informacja nie czepiała się. Najwięcej mieli zajęć w związku z podszeptami usłużnych. Podporucznik Grzebyk z informacji w czasie przesłuchania wybił zęby podporucznikowi z naszej szkoły, jego nazwisko gdzieś mi uciekło. Jak wypuścili z więzienia Spychalskiego i Zimny dowiedział się o tym, dostał zawału serca i zmarł. Kiedyś opowiem o Grzebyku, bo to też ciekawa historia.

W Legionowie pobrałem do kasyna 6 litrów wódki, czekoladę i inne produkty. Byłem tam wtedy z sierżantem Majchrzakiem i porucznikiem Buko. To wszystko gdzieś się po drodze zapodziało. Potem musiałem to przez dłuższy czas rozpisywać. Żona radziła porozmawiać z Majchrzakiem, bo on dobrze wie, co się z tym towarem stało. Mój kolega na mnie doniósł, że po pijanemu strzelałem. Z bronią chodziło się wtedy na co dzień. Dochodzenie w sprawie strzelania prowadził Zimny. - Ja sobie poradziłem ze Spychalskim, to i z tobą sobie poradzę skurwysynu - powiedział na powitanie. - Nic nie musicie Obywatelu Kapitanie, przyznaję się z radością bo strzelałem na wiwat na wieść, że będę ojcem - mówię, a temu szczęka opada, że stracił okazję wypróbowania swoich metod. Dostałem od Genrykowa za strzelanie jeden dzień aresztu domowego. Ale jak tu siedzieć. Młoda żona przy bufecie w kasynie. Smalą do niej co niektórzy cholewki, a ja mam siedzieć w domu. Nie wytrzymałem. Brakowało jeszcze trzech godzin do końca aresztu, kiedy poszedłem do kasyna. Oficer, który pilnował prawidłowego odbycia kary, poleciał do Genrykowa, że piję wódkę, a ten go wygonił.

Pojechaliśmy do Duninowa przejąc z tamtejszej jednostki wojskowej stację radiolokacyjną P-3 na potrzeby szkoły. Pytam się porucznika, wyznaczonego na dowódcę stacji, czy wszystko już sprawdził, bo dopiero wtedy mogę przyjmować część samochodową? Mówi, że tak. Wtedy przydała mi się wiedza z zajęć o stacji, które prowadził Kazimierski. Pytam się - A gdzie jest 100 metrów koncentryka? Zdający wpadli w panikę. Jeżeli samochodziarz zna się na sprzęcie radiolokacyjnym, to tym bardziej nie przepuści fuszerek ze swojego działu. Od razu przyznali się, że podmienili jeden agregat. Dogadaliśmy się, bo do szkolenia nie był nam tak potrzebny, jak im na posterunku. Wtedy też u nich był Kraz, bo naprawiano stację Nysa. Wchodzę do stacji, oni mówią że siedzą tutaj już dwa dni. Nie było na wskaźniku podstawy czasu. Pytam się czy mogę zajrzeć. Patrzę wyciągnięty blok, ja lekko dotykam jednej lampy i pojawia się podstawa czasu. - Jak pan to zrobiłeś? Chcą wiedzieć. Ja - Trzeba się na tym znać. Dopiero rozniosło się po posterunku, że sierżant z Jeleniej Góry potrafi wszystko, a mnie tak po prostu udało się.

Bardzo często przewoziłem sprzęt radiolokacyjny z Jeleniej Góry do naprawy w Zielonce. Pewnego razu, koło Zgierza miałem kłopoty z silnikiem. Okazało się, że zepsuły się panewki na wale korbowym. Zafatwałem nowe, lecz silnik dalej był uszkodzony i z dużymi trudnościami dojechałem na miejsce. Tam radaru do naprawy bez sprawnego silnika przyjąć nie chcieli. Wy-montowałem więc silnik i zawiozłem do Warszawy. Bez kłopotów został do naprawy przyjęty. Jak silnik rozłożono, zobaczyłem na ściankach cylindrów rysy na szerokość palca. Kiedy zdziwiony powiedziałem o tym szefowi stacji napraw, ten nie był tym zaskoczony. Ja tak, bo samochód miał przejechane dopiero 1520 kilometrów. Szef stacji napraw - Jeśli pan się nie domyśla, to ja panu powiem. Rosjanie sprzedają nam stary sprzęt, tylko odpowiednio wyszycowany. Wróciłem do szkoły i nie meldowałem, że silnik jest już w remoncie, bo chciałem szefa zaskoczyć wiadomością, jak już zostanie naprawiony. Tymczasem otrzymałem od niego polecenie jechać i naprawić silnik na miejscu w Zielonce, a do pomocy dał mi dwóch mechaników - szeregowych. Pojechałem. Myślę, diety są, a potrzebny w szkole nie jestem, żołnierze rozkazy wyjazdów mają. Puściłem więc ich do domów, a sam w Polskę. Po dwóch miesiącach wracam. Kazimierski do mnie, że byłem na długich wczasach. Ja się bronię i mówię - Skądże, na jakich wczasach, przecież ciężko pracowałem. Kazimierski - Tak twierdzicie Dzrymała? To w takim razie gdzie byliście skoro ja was w Zielonce szukałem dwa tygodnie? Przechytrzyliście wszystkich i mnie. Cóż musiałem się przyznać do winy, ale fakt faktem silnik był jak nowy i stacja do remontu została przyjęta.

Porucznik Wasilowski dostał nową stację P-12. Chodził koło niej jak koło jakiegoś cudu. Przyszali ci z Rosji starego trupa - mówię do niego. On - Drzymała, chyba zwariowałeś! Pokazuje, że wszystko jest nowe i lśniące. Ja - To ci

udowodnię. Szukam i znajduję ślimak na wale wyrobiony, tak że aż dziwne. Wszystko powymieniali, ale o ślimaku w którym mocuje się korbę Rosjanie zapomnieli. Wtedy przyznał mi rację.

W szkole wybuchła sprawa, kto urządzi nieetatowy ośrodek wczasowy w Mrągowie. Raportów o skierowanie do tej pracy było chyba ze dwadzieścia. Lewandowski mówi komendantowi: Wyslijmy Drzymałę. Więc pojechałem. Załadowałem na wagony stare autobusy, które miały stać się domkami letniskowymi i razem z nimi do Mrągowa. Tam na stacji Lewandowski poszedł załatwić transport. Ja miałem pomyśleć jak autobusy zdjąć z wagonów. Patrzę jedzie dźwig. Ja do kierowcy: Będzie butelka. On w pół godziny wagony rozładował i pojechał dalej. Lewandowski zdumiony: Jak to zrobisz? Ja odpowiadam, że cudem, żeby osiowego nie trzeba było płacić. Urządziliśmy nasz ośrodek nad jeziorem Trzos. Mogło z niego korzystać jednocześnie 30 osób. Nawiązałem kontakt z komendantem Ośrodka Szkolenia Łączności w Mrągowie, płk. Głaszewskim. Dał do pomocy elewów, którzy ustawili budy autobusów na przygotowanych podporach. Wcześniej wymontowałem z nich silniki i koła. Siedemdziesięciu elewów taką budę podnosiło jak piórko. Nawet świetlicę urządziłem w budzie od Szewroleta. Wstawiłem do niej telewizor.

Zbliżało się otwarcie ośrodka. Miałem do pomocy bystrego chłopaka, szeregowego Wenera, takiego, co to nawet liczył: ajns, cwaj... i dlatego nazywałem go Krzyżakiem. Wołam: Krzyżak, chodź tu! Ty masz wokół pełno ziemiaków. Postaraj się załatwić jakieś naczynia stołowe, bo tutaj nic takiego nie mamy, a będziemy mieli ważnych gości. Dałem jemu Junaka, którego ze sobą przywozłem. Chłopak zadowolony, że pojeździ pognął i... przywozi piękną srebrną zastawę stołową, takie stare srebra. Na otwarcie Kazimierski zaprosił dowódcę wojsk gen. Paszkowskiego, szefa sztabu płk. Romana i płk. Głaszewskiego. Jak oni zobaczyli wykwintnie urządzony w świetlicy stół, to ich zamurowało. Srebro na dwanaście osób robiło wrażenie. Kazimierski się wystraszył, że będzie musiał się z tego tłumaczyć. General Paszkowski: No, no, coś takiego widywałem przed wojną, ale na salonach. Chyba te cacka z jakiegoś muzeum. Ja: Udało się wypożyczyć dla uczczenia znakomitych gości. General wznosił pierwszy toast za kierownika ośrodka, który potrafi wszystko dobrze i sprawnie załatwić. Potem mówi do pułkownika Głaszewskiego, że jeśli jego ośrodek może wyżywić 30 wczasowiczów, to i jeden więcej zapewne się znajdzie dla kierownika wczasowiska. Otrzymałem więc darmowy wikt. Były nad jeziorem jeszcze inne ośrodki wczasowe. Tam komendantami byli starsi oficerowie. Ja cały czas chodziłem po cywilnemu, tak że nikt nie widział mojego stopnia starszego sierżanta, bo od razu zmienili by do mnie stosunek. Za pasem nosiłem pistolet, taką siódemeczkę - muzerka. Major z ośrodka Warszawskiego Okręgu Wojskowego mówi: - Jak pan to robisz, że masz u siebie wszystko, co potrzebne? On do mnie przychodził czasami po samochód, bo nie miał czym czegoś tam dowieźć. A ja miałem do dyspozycji Nyskę

z klubu, na cywilnych numerach i kierowcę po cywilnemu. Dlatego swobodnie się jeździło. Korzystali z Nyski różni goście, odpoczywający w innych ośrodkach. Warunek, po powrocie pełny bak i dodatkowo kanister z benzyną. Uzbierałem ich 19. Byłem w ośrodku przez całe lato. Kłopotów nie miałem, tylko same przygody i to przyjemne. Jeszcze nigdy tak nie żyłem.

W szkole pracowało dużo żon kadry. Najdłużej Grabska, Kozłowska i żona komendanta Jasina. Była ona chora i bardzo cierpiała z powodu reumatyzmu. Moja żona jak urodziły się dzieci przestała pracować i zajmowała się domem. W czasie gdy poszedłem do więzienia zatrudniono ją w szkole na księgową w służbie samochodowej, gdzie pracowała do emerytury w 1985 r.

Kazimierski budował dniami i nocami stadion, i trzeba było przewozić w dużej ilości ziemię, a w szkole nie było wywrotek. Pojechał do Warszawy załatwić trzy wywrotki, ale tam go zbyt. To ja do niego mówię, że pojedę i załatwię, a on się na to zgodził. Pojechałem do szefostwa służby samochodowej. Wypraszano mnie, a ja wracałem i znowu nalegałem. W końcu załatwiłem. Dostaliśmy trzy wywrotki z batalionu budowlanego w Kaliszu. Kazimierski ucieszył się, ale nie było do nich paliwa. Pojechałem tym razem do dowództwa Wojsk Lotniczych i załatwiłem limit 3000 kilometrów, to już był sukces. Żona też dużo spraw dla szkoły załatwiała. Różne przejazdy, kilometry i inne związane z transportem.

Kazimierskiego przełożeni nie lubili, bo był odważny i mówił prawdę. Ciągłe coś nowego wymyślał i sprawiał tym kłopoty. Potem, jak już miał dostać habilitację, zaczęli się jego bać, że zostanie w Warszawie szefem od szkolnictwa i dobierze się do niektórych komendantów nieuków. Kiedyś, jak już on był w rezerwie, pojechaliśmy na grzyby. Opowiadał, że Jaruzelski miał do niego pretensję o to, że nie umie dobrze mówić po polsku. On chciał żeby oficerowie w szkolnictwie byli wzorowi również pod tym względem. Kazimierski nigdy nie szykował się do zajmowania stanowisk w Warszawie. Chciał wydzwignąć szkołę na jak najwyższy poziom nauczania. Jego zamiarem było kształcić w Jeleniej Górze oficerów - inżynierów i magistrów. On o to zabiegał już od końca lat pięćdziesiątych.

Kazimierski nie cierpiał politycznych, bo na niego donosili, różnymi kanałami. Generał Czapla, z którym się znał od wojny, pokazał jemu kilka meldunków pisanych na adres szefa Głównego Zarządu Politycznego przez jednego z naszych politruków. Ten uraz do politycznych powstał u niego wtedy, gdy był w jednostkach frontowych. Kiedyś nawet potwierdził słowa Alka Kowalewskiego, że panoszyli się. Byli w walce na drugiej linii, ale do orderów i odznaczeń zawsze w pierwszej. Wystarczyło jeszcze niedawno popatrzeć na niektórych naszych, jak byli oklejani baretkami. Nie znaczy, że wśród nich byli tylko tacy o których przed chwilą mówiłem. Większość, których znam, w na-

szej szkole, to bardzo mądrzy, porządni i uczynni ludzie. Ale niestety, często dominowali nad nimi ich przełożeni - szuje. Tych kadra nie lubiła. Oni nie byli tacy czyści, jak się na zewnątrz starali prezentować. Kiedy syn jednego z naszych głównych politycznych, przebywał na długim samowolnym oddaleniu i miał przy sobie broń służbową, sprawę zatuszowano wbrew postanowieniu Kazimierskiego. Szkoła była wtedy w Benjaminowie. Teraz niektóre kanafile chorują, załatwiają kategorie zdrowia, żeby mieć wyższe emerytury, a czym się oni tak rozchorowali? Za zagryzanie przez sumienie nic się nie należy, bo to nie choroba, bo na to nie ma lekarstwa. Nawet konfesjonał nie pomoże.

Po przejściu na emeryturę pracowałem w straży przemysłowej w Jeleniogórskich Zakładach Mięsnych. W czasie stanu wojennego zakład obsłabiali kadeci. Przyjeżdżał na ich kontrolę komendant Szkoły Chorążych i chyba był ślepy, albo miał inne sprawy na głowie. Mówiłem jemu o tym jak postępują kadeci. Bardzo często stał w bramie taki kadet: Na nogach tenisówki, pas opuszczony i brak szacunku dla ludzi. Ja będąc byłym wojskowym, po prostu nie mogłem tego niechlujstwa u nich ścierpieć i tego pogardliwego stosunku do ludzi. Zacząłem ich delikatnie pouczać i zawstydząć, ale wszystko jak grochem o ścianę. Patrzę idzie nasz dyrektor, więc proszę kadeta: - Przepuść Pan naszego dyrektora. Kadet na złość pyta się dyrektora czy czegoś z zakładu nie wynosi i zdejmuje jemu czapkę z głowy i sprawdza czy czegoś pod nie ma ukrytego. Przy tym bezczelnie się śmieje, bo zobaczył tysią głowę. Jak później taki znieważony człowiek może mieć szacunek do wojska?

W tym czasie też i niektórzy byli zawodowi zachowywali się dziwnie. Na przykład były sierżant, żołnierz od 1943 roku, w szkole wzór litery prawa, namawiał podchorążych żeby przechodzili na stronę Solidarności, albo porzucali broń. Jeden z podchorążych mówi do niego: - Ja pana znam, ale gadasz pan nie do rzeczy. Pan namawiasz do tego żeby była rzeź w kraju, a ja nikogo nie zamierzam mordować. Kiedyś go spotykam, a on narzeka, że obecnie jest wszędzie moralne bagno. Ja natomiast jemu mówię: - Sam do bagna ludzi pchałeś, namawiając ich do łamania przysięgi, to nie dziw się, że nastąpił taki moralny upadek w społeczeństwie.

Będąc w mundurze, już od czasów milicyjnych wiedziałem, że tylko na siebie mogę liczyć i na swój spryt. Dla świętego spokoju najlepiej było przytakiwać i robić swoje. Ja taki nie byłem. Mnie zawsze nosiło jakieś lichy. Staralem się być użyteczny dla ludzi z wyjątkiem tych, którzy byli chamami i szujanami. Lubilem też się zabawić, wypić wódkę i pożartować. Zawsze pamiętałem kogo skrzywdziłem i starałem się krzywdę naprawić najlepiej jak umiałem. Nie chcę pamiętać o tych co mi szkodzili. Było ich niewielu. Część z nich już nie żyje, część ledwie po świecie chodzi. Człowiek jest człowiekiem i nie sądzę żeby byli wolni od wspomnień. Sumienie potrafi natrętnie wracać do pewnych zdarzeń. Wielu szans mi dawanych jednak nie wykorzystałem.



Na zdjęciach. Na górnym st. sierż. sztab. Julian Drzymała przed przejściem na emeryturę w 1980 r. Na dolnym z żoną Teresą. Zdjęcie wykonane w 1994 r. w ich mieszkani. Na ścianie portret ich wnuka.



WYBRANE PROBLEMY ETYKI I MORALNOŚCI WSPÓŁCZESNEJ

W codziennej rzeczywistości bardzo często spotykamy się z takimi wyrażeniami jak etyka i moralność. Etymologicznie pojęcia te są definiowane bardzo podobnie. Mówi się, że wyrażają one ogół ocen, sądów i norm przyjętych i funkcjonujących w danej epoce historycznej, w danym środowisku. Określają one zakres poglądów i zachowań uważanych w tym środowisku za właściwe. Takim środowiskiem może być rodzina, społeczność lokalna, zawodowa, region, a najczęściej całe społeczeństwo. Jednak do celów naukowych pojęcia etyka i moralność są wyraźnie rozdzielone.

W tym przypadku etyka jest nauką o moralności, natomiast moralność, to rzeczywistość zbiór ocen, norm, sądów i wyobrażeń funkcjonujących w społeczeństwie, których fundamentalną podstawę stanowią kategorie dobra i zła. Krótko mówiąc moralne to tyle co dobre, niemoralne to tyle co złe. Rozważania o etyce i moralności mają wymiar stricte filozoficzny, toteż nierozzerwalnie związane są one z kategorią światopoglądu.

Z tego wynika kolejny stan rzeczy. Ponieważ etyka i moralność są składnikami światopoglądu, to implikuje to kolejną zależność. Podobnie jak wyróżnia się typy światopoglądu np. Ksiądz Stanisław Piwowarski wymienia światopogląd religijny i ateistyczny, a np. Nieżyjący już profesor Józef Borgosz klasyfikował światopogląd na religijny i naukowy, tak też i moralność może być określana jako religijna, lub świecka. Na tym tle rodzi się główna przyczyna sporu zwolenników i przeciwników poszczególnych typów światopoglądu i moralności. Sporu tego nie zamierzam kontynuować, lecz ograniczę się do częściowej charakterystyki moralności w odniesieniu do naszej współczesnej rzeczywistości. Na początek godzi się przypomnieć, że w strukturze moralności wyróżnia się: wzorce osobowe, oceny moralne, normy i sankcje. Wzorcami moralnymi są najczęściej wybitne jednostki ludzkie, których sposób bycia i zachowanie stanowią bezdyskusyjny przykład do naśladowania ich dobroci i szlachetności. Moralne to przecież tyle samo co dobre, szlachetne, uczciwe, godne najwyższego uznania.

Historia nasza dostarcza wielu przykładów wzorców moralnych, mamy je również i teraz, jednak złożoność pojęcia dobra i jego interpretacja ro-

dają wiele dwuznaczności. Stąd nie wszyscy skłonni są akceptować te same wzorce, dlatego ich oceny tak często różnią się, iż w końcu stają się skrajnie odmienne. Dowodem na to może być zróżnicowanie z jakim w poszczególnych środowiskach odbierani są nasi bohaterowie z przeszłości, zarówno tej dalszej jak np. Tadeusz Kościuszko, jak i tej bliższej – patre Józef Piłsudski. Dziś dla milionów Polaków wzorcem moralnym jest Jan Paweł II, ale na pewno nie wszyscy podzielają ten pogląd. Powiedzonko że Polacy kochają Papieża, ale go nie słuchają nie wydaje się całkiem bezpodstawne.

Oceny moralne to też element w strukturze moralności w którym wyraża się osąd czynów, działań i zachowań ludzkich mających aspekt moralny. Takie, lub inne zjawisko może być odbierane z aprobatą i szacunkiem, ale może też stanowić wyraz największego zła, chamstwa i łajdactwa. Wtedy ocena jest wyrazem, bądź najwyższej pochwały, bądź też najwyższej pogardy społecznej.

Trzecią kategorią w strukturze moralności stanowią normy moralne. Jak zawsze norma, to wymiar czegoś, co musi być przestrzegane, jeśli chcemy realizować przyjęty uprzednio porządek działań. Normy moralne mają charakter nakazów, lub zakazów. Pierwsze podpowiadają co należy czynić by być w zgodzie z moralnością np. Szanuj rodziców, wspieraj ubogich, pomagaj słabszym itd. Drugie zaś próbują powstrzymać nas przed złymi czynami np. Nie kłam, nie kradnij, nie czyni innym zła itp. Z normami moralnymi rodzi się kolejny problem. Otóż tylko niektóre z nich mogą się dać zmierzyć i mogą być wyegzekwowane przez przymus prawny. W przeciwieństwie do norm prawnych, normy moralne zwykle nie mają fizycznego zabezpieczenia. W prawie występuje przymus fizyczny. Siłę norm moralnych stanowią tradycje, sumienie ludzkie i świadomość społeczna.

Zamykającą część struktury moralności stanowią sankcje, czyli konsekwencje jakie rodzi nieprzestrzeganie norm moralnych. Te konsekwencje mają przede wszystkim wymiar duchowy. Przejawiają się w społecznej akceptacji, bądź potępieniu pewnych działań i zachowań. Ktoś z narażeniem życia śpieszy na ratunek potrzebującym, godzien jest najwyższego szacunku. Ale ktoś inny bestialsko atakuje staruszkę, wyrwa jej ostatni grosz, a przy tym jeszcze bardzo często znęca się fizycznie, zasługuje na największą pogardę. Moralność tym różni się od prawa, że w prawie wszystkie negatywne czyny są sklasyfikowane i zagrożone dolegliwością fizyczną lub materialną. W moralności tego nie ma. Tu złe zachowanie może skutkować utratą dobrego imienia, szacunku, czasem mówimy utratą twarzy – czyli dobrego wizerunku w oczach innych. W poglądach na moralność istnieje wiele sprzecznych wyobrażeń. Najbardziej wyraziste są te, które mają swe źródło w odmienności światopoglądowej. Moralność refi-

gijna opiera się na wierze w wartości pozaziemskie, traktuje życie doczesne jakom okres przejściowy. Jego zwolennicy wierzą, iż ma ono boskie pochodzenie, jest doskonała i niezmienna.

W przeciwieństwie do tego moralność świecka uznaje wyłącznie wartości ziemskie, dlatego oba typy moralności różnią się zdecydowanie, chociaż w niektórych miejscach mają też wspólne cechy. Swoistą kontynuacją moralności świeckiej stanowi etyka niezależna uprawiana przez profesora Tadeusza Kotarbińskiego. Ta niezależność to oczywiście niezależność etyki od religii. Wspomniany tu, aczkolwiek niestety nieżyjący już profesor Kotarbiński uważa i twierdzi, że by postępować godnie, uczciwie i rzetelnie, wcale nie trzeba odwoływać się do Boga. W etyce religijnej bardzo mocno podkreśla się, że nieprzestrzeganie norm spotka się z karą boską, jeśli nie w życiu ziemskim, to już na pewno po śmierci na sądzie ostatecznym. W naukowym poglądzie na świat nie ma miejsca na Opatrzność, ani na życie przyszłe. Centralnym problemem etyki niezależnej jest jak uczynić życie człowieka, by było ono znaczne, godne uznania i szacunku, dalekie od pogardy i haniebnosci. W etyce niezależnej nie trzeba odwoływać się do Opatrzności, ani nieśmiertelności, by uznać za słuszne to, że chwali się męstwo, dobroć serca, prawość, panowanie nad sobą. Każdy kto tak czuje, nie potrzebuje zaświatowych uzależnień gdy ma stanąć w obronie słabszego, by oddać pożyczoną rzecz, by nie pozwolić sobie na zdradę wierności małżeńskiej. To się ma w świadomości, to się po prostu czuje.

Po tym wprowadzeniu warto wreszcie pokusić się o kilka uwag na temat moralnych problemów naszej rzeczywistości. Diametralne normy w niej stanowią przeobrażenia ustrojowe, trwające już prawie 20 lat. W poprzednim systemie ustrojowym zdecydowanie odcinano się od etyki religijnej, dziś pełni ona rolę wiodącą. Wynika z nauki Kościoła Katolickiego, który w nowych realiach korzysta z pełnej swobody i licznych przywilejów. Jego rola nauczania i wychowania społeczeństwa niestety nie zawsze spełnia oczekiwania. Wyniki bardzo często pozostają w sprzeczności z oczekiwaniami. Tradycje religijne w naszym społeczeństwie nie bardzo pokrywają się z podporządkowaniem nauce kościoła. W praktyce oznacza to, że ludzie określający się jako wierzący w życiu codziennym chodzą własnymi drogami, zapominając o wierze i nauce kościoła. Oznacza to, że wiara ta ma charakter bardziej deklaracyjny niż praktyczny, bardziej tradycyjny niż przekonywujący, bardziej teoretyczny niż praktyczny. Wynika to z licznych uwarunkowań. Po pierwsze kościół to instytucja niezwykle konserwatywna i zhierarchizowana. W dobie szybkiego postępu jego tradycyjne nauczanie odstaje od rzeczywistości. Podstawą moralności katolickiej stanowi dekalog i z tym zdecydowana większość wierzących się zgadza, jednak przykazania kościelne nie są już tak wyraźnie akceptowane przez wiernych, stąd rozwody, zdrady małżeńskie, współzycie i życie

bez ślubu oraz wiele innych przykładów lekceważenia wezwrań kościoła. Te próby nie odnoszą skutku mimo, że często ich autorem jest sam papież, postać w naszym społeczeństwie bardzo popularna. Problemy moralne naszej dzisiejszej rzeczywistości są bardzo złożone. Zrodziła je transformacja ustrojowa. Miliony ludzi żyje u nas dziś w wielkiej biedzie, są bezrobotni, brak im jakichkolwiek perspektyw na przyszłość. Na ich oczach wyrosła nowa klasa tak zwanych „nowobogackich” - ludzi, którzy weszli w posiadanie ogromnych fortun nie zawsze uczciwą drogą. To wyzwala złość i skrajne niezadowolenie milionów ludzi. W warunkach nędzy ekonomicznej trudno przestrzegać norm moralnych, trudno rozmawiać o honorze i uczciwości. Tym bardziej, że negatywne zjawiska nie omijają też dostojników najwyższej władzy, a nawet Kościoła. Przykłady łamania prawa, wielkie afery nadszarpaneły rangę moralności. Społeczeństwo nasze przechodzi niestety wielki kryzys moralny. Mówią o tym przywódcy państwa, dostojnicy Kościoła, chociaż sami bardzo często nie mają czystych rąk. To też ich głosy nie docierają do społeczeństwa. Nie ma ono prawdziwych wzorców do naśladowania. Codziennie „masmedia” informują o aferach i „przekrętach”, które w żaden sposób nie mogą być wyjaśnione, a ich sprawcy nie ponoszą odpowiednich kar. W takiej rzeczywistości mówić o moralności, to tak jakby głuchemu przyspiewywać do snu.

Na pocieszenie pozostaje tylko to, że w części naszego społeczeństwa wartości moralne nadal zachowują swoje miejsce. Ich nosicielami są niestety ludzie skrzywdzeni, często ciężko doświadczeni przez życie, a chciałoby się by te wartości posiadali ci od których najwięcej zależy – politycy i rządzący, ale tu z moralnością jest jeszcze gorzej. Ten problem jednak wymagałby oddzielnego potraktowania.



NIEKIEDY BOLI JEDYNNIE MAŁY PALEC

Śmiercią następującą w ciągu sekundy - nazywają lekarze nagły zawał serca, którego ofiarami staje się co roku kilkadziesiąt tysięcy osób. A przecież 75 proc. spośród nich mogłoby żyć nadal. Zawał serca przychodzi wprawdzie „nagle i nieoczekiwanie”, ale rzadko kiedy bez wstępnych ostrzeżeń.

Nieszczęściem jest, że jego ofiary nie zwracają uwagi na sygnały ostrzegawcze, albo też nie potrafią ich rozpoznać. Nie wszyscy przecież wiedzą, że ból promieniując od lewego ramienia na mały i serdeczny palec lewej ręki, albo bóle dolnej szczęki mogą mieć swój początek w chorobie serca. Ważniejsze i najczęściej pojawiające się sygnały niebezpieczeństw to:

- nagle wystąpienie potu połączonego mdłościami;
- ucisk lub uczucie bólu w środku, piersi na domniemanej linii między brodawkami;
- rwące bóle po wewnętrznej stronie ramion, uważane często za bóle reumatyczne;
- trudności z oddychaniem połączone z bólami, które mogą wystąpić jednocześnie w plecach, szyi i podbrzuszu.

Za pomocą każdego z tych sygnałów serce informuje nas, że jest chore. Istnieją jednak i takie „bóle serca”, które nie mają nic wspólnego z sercem. Usadwiają się one w pobliżu lewej brodawki sutkowej, są krótkie i kłujące, albo też długotrwałe i przytłumione. Działają alarmująco i choć są na ogół nieszkodliwe; to sygnalizują, że organizm jest zanadto przemęczony.

Większość ludzi, którzy stali się ofiarami zawału, przez dziesiątki lat przemęczało i nadwężało swoje serce. 29 proc. spośród nich ulega jednak zawałowi nie z własnej winy. Nie palili, nie pili, zdrowo się odżywiali, uprawiali nawet sport. Przyczyną W tym wypadku jest obciążenie genetyczne. Dziedziczny jest nie sam zawał, ale predyspozycje do zaburzeń w przemianie materii. Kto miał więc krewnych, którzy zmarli na zawał serca, powinien począwszy od 20 roku życia:

- raz w roku zbadać swój poziom cholesterolu LDL i HDL we krwi;
- raz w roku mierzyć ciśnienie krwi i rytm serca (EKG);
- nie palić;

- regularnie uprawiać lekki sport: wędrowki, pływanie, jazda na rowerze;
- jadać mało mięsa, dużo jarzyn, sałaty, chleb razowy i ziemniaki.



Samotność, zerwanie więzi z domem rodzinnym, pusta gonitwa za uciechami, za rozrywką, wzrost liczby rozwodów — oto znamiona naszych czasów. Nasuwa się pytanie — czy istnieje w ogóle jakiś skuteczny środek na psychiczny stres? Trudno na to odpowiedzieć. Warto jednak przestrzegać kilku praktycznych rad:

PROWADŹCIE ZGODNE ŻYCIE MAŁŻEŃSKIE.

Nie tylko rozwód, ale także nieustanne kłótnie, zazdrość, rozczarowanie i zgorzkniałość mogą przyczynić się do choroby serca.

SPRÓBUJCIE „ZAPUŚCIĆ KORZENIE”.

Mobilność jest wprawdzie pożądana w naszym społeczeństwie, ale rozbija także przyjaźnie i kontakty rodzinne, a to z kolei prowadzi do izolacji.

NIE SIEGAJCIE PO PAPIEROSA, GDY JESTEŚCIE ZDENERWOWANI.

Po trzykroć powiększacie w ten sposób ryzyko wystąpienia zawału.

NIE SIEGAJCIE PO ALKOHOL, GDY JESTEŚCIE ZDENERWOWANI.

Może to prowadzić do powstania uzależnienia, a ponadto alkohol zwiężając naczynia krwionośne może przyczynić się do pogłębienia choroby serca.

BADŹCIE AMATOREM JAKIEGOŚ ZAJĘCIA.

Człowiek posiadający zainteresowania ubogaca się duchowo i odrywa od codziennych zajęć.

UTRZYMUJJCIE KONTAKTY KOLEŻEŃSKIE.

One pozwalają na czucie się być potrzebnym dla innych, a przede wszystkim ograniczają poczucie izolacji od otoczenia.

BADŹCIE AKTYWNYMI INTELEKTUALNIE, FIZYCZNIE I PSYCHICZNIE

Najważniejsze jest osiągnięcie harmonii tych aktywności. Pamiętajcie, że uczyć się nie tylko można, nawet należy w każdym wieku dorosłości.



Na zdjęciu kpt. Marian Wadowski z absolwentkami Szkoły Chorążych, przed ostanią w historii promocją w 2002 roku.

Z archiwum „Impulsów”



Zdjęcie z 1936 lub 1937 roku. W tym czasie jeszcze na bramie koszar nie było posągów jeleni.

widowisko muzyczne w dwóch aktach oparte na szlaku
pt. „Dziś do Ciebie przyjąć nie mogę”

WYKONAWCY

Lidia Kuzmierczak
Alina Pierzycka
Jerzy Szule
Zbigniew Janoś
Otylia Łahań
Krzysztof Drowańk
Jerzy Piwowarski

Mieczysław Czekał
Maciej Harnicki
Andrzej Woźniak
Grzegorz Buchara
Janusz Najsarek
Elżbieta Gilletycz
Zbigniew Kowalczyk

scenariusz i reżyseria



Powyżej fragment afisza zespołu artystycznego WOSR z wykazem wykonawców, wśród nich jest podchorąży Zbigniew Janoś

Na zdjęciu obok portret bibliotekarki Klubu WOSR wykonany w pracowni fotograficznej klubu, w 1991 r., prawdopodobnie przez pchor. Karwackiego.

Znane postacie
w karykaturze
majora W. Marczyka



